

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 51/507 19–26 GRUDNIA 2022

- Kto walczyłby dziś za Polskę?
- Racje polityczne Grzegorza Brauna
- Ostatnie rozmowy ze Stefanem Kisielewskim „Kisielom”
- Siła wiary księdza Twardowskiego
- Z ambasadorem USA Markiem Brzezinskim – o jego rodzinie i polityce
- Tajemnice Janusza Walusia

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
5 1 >
9 772299 850000
Nakład: 53 500 egzemplarzy



ŚLEDZTWO W SPRAWIE CHRZEŚCIJAN W BETLEJEM

PISZA: LISICKI • CEJROWSKI • SEMKA • ZIEMKIEWICZ • WARZECHA • JUREK • NOWAK • ROSZKOWSKI
SIEDLECKA • MASŁOŃ • GMYZ • KARWELIS • POSPIESZALSKI • KOMUDA • GOCIEK • GABRYEL



wPolsceNajlepiej.pl



Do zobaczenia
**w naszych
obiektach!**



Niech Nowo Narodzony Chrystus
nie sie ze sobą pokój, miłość, nadzieję i radość
Niech ma nas w swojej opiece.

Spokojnych świąt Bożego Narodzenia
w rodzinnej atmosferze
życzy redakcja tygodnika „Do Rzeczy”



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Szokująca szczerość Angeli Merkel

Często pisałem o tym, że polscy politycy nie potrafią utrzymać języka na wodzy. Cóż, jak pokazał ostatni wywiad byłej już kanclerz Niemiec Angeli Merkel dla „Die Zeit”, nie tylko polscy. Pani Merkel stwierdziła mianowicie, że podpisana w 2014 r. umowa dotycząca zawieszenia broni w Donbasie, tzw. porozumienia mińskie, była „próbą dania Ukrainie czasu”, żeby ta lepiej przygotowała się do wojny z Rosją. Szok!

Przypomnę, że podpisane latach 2014 i 2015 w Mińsku porozumienia w sprawie uregulowania sytuacji na wschodzie Ukrainy przewidywały zawieszenie broni, wycofanie broni ciężkiej z tzw. linii kontaktu oraz reformę konstytucyjną Ukrainy, której kluczowymi elementami miały być decentralizacja tego państwa i przyjęcie ustaw o specjalnym statusie obwodów donieckiego i ługańskiego. W ten sposób mieszkający tam w większości Rosjanie mieliby zyskać daleko idącą autonomię i jednocześnie Ukraina zachowałaby swoją integralność. Porozumienia mińskie zostały wynegocjowane przez przywódców Francji – François Hollande’a, Niemiec – Angelę Merkel, Rosji – Władimira Putina, Białorusi – Alaksandra Łukaszenkę i Ukrainy – Petra Poroszenkę. Jak

wiadomo, nigdy nie zostały w całości zrealizowane: o ich praktyczne złamanie Moskwa oskarżała Kijów, a Kijów Moskwę. Otóż teraz, jeśli to, co mówi pani Merkel, jest prawdą, okazałoby się, że głównym powodem braku przestrzegania porozumień była od początku zła wiara Zachodu. Porozumienia, twierdzi była kanclerz, były grą pozorów. Cały ich sens polegał na zyskaniu na czasie: chodziło o to, by Zachód dozbroił Ukrainę.

Czy te słowa to prawda? Cóż, możliwości są dwie. Po pierwsze, kanclerz Merkel mówi to, co mówi, bo w ten sposób chce bronić się przed zarzutami tych, którzy twierdzą, że to jej polityka pozwoliła przygotować się Rosji Władimira Putina do wojny. Była kanclerz zmyśla, bo chce bronić siebie. To bliska współpraca Berlina z Moskwą, czego symbolem była budowa Nord Stream 2, dała Rosjanom czas i pieniądze na przygotowanie się do ofensywy – tak brzmi powszechny zarzut. Była kanclerz go zbija i odwraca: „Owszem, współpracowaliśmy z Rosją, ale dla dobra Ukrainy. Nie jest prawdą, że popełniłam błąd. Udawałam i szukałam, bo tak naprawdę chciałam zyskać na czasie, żeby Ukraina była gotowa do wojny”.

Druga możliwość jest taka, że była kanclerz nie zmyśla, tylko mówi teraz prawdę. Oznaczałoby to zatem, że od początku mieliśmy, jeśli chodzi o Zachód, do czynienia z podstępem.

Trudno powiedzieć, które z tych twierdzeń jest prawdziwe. Pewne jest natomiast, że wypowiedzianie teraz takich opinii jest skrajnie nieodpowiedzialne. Czy Zachód grał w 2014 r. czy też podpisał porozumienia z Rosją w dobrej wierze? To nie jest tylko pytanie z przeszłości. Słowa byłej kanclerz to przede wszystkim woda na młyn obecnej propagandy rosyjskiej, co zresztą szybko wychwycił prezydent Putin. Dzięki Merkel Rosja może teraz twierdzić, że sama była gotowa do pokoju i porozumienia, a całe zło wynikało z tego, że po drugiej stronie siedzieli oszuści. Poza tym, i to powód drugi, słowa Merkel skrajnie utrudniają jakkolwiek nowy kompromis. Ktoś, kto raz oszukał, traci wiarygodność.

Nie bardzo mogę zatem zrozumieć, czemu ta wypowiedź służy. Nie umiem dostrzec innego motywu poza próbą wybielenia siebie. No, chyba że pani Merkel, przez lata przedstawiana jako mózg i lider polityki europejskiej, mówi to, co mówi, powodowana niebывwałą, wręcz dziecięcą szczerością. ©

NASTĘPNY NUMER „DO RZECZY” UKAŻE SIĘ WE WTOREK 27 GRUDNIA



TEMAT TYGODNIA

16 WITOLD REPETOWICZ

CHRZEŚCIJANIE ZNIKAJĄ Z BETLEJEM
Śledztwo „Do Rzeczy”

20 PAWEŁ LISICKI

W OCZEKIWANIU NA MESJASZA
– KAPŁANA

KRAJ

24 ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ
BRUKSELA NOTORYCZNIE ŁAMIE
PODSTAWOWE ZASADY

Institucjom unijnym zależy na pacyfikacji
naszych krajów

28 PIOTR SEMKA

JAKA SMUTNA KATASTROFA

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ALFABET PROPAGANDY

34 ROZMOWA Z PIOTREM GURSZTYNEM
DLA POLSKI SKOŃCZYŁ SIĘ
BEZPIECZNY CZAS

38 TOMASZ ROWIŃSKI
GRZEGORZ BRAUN
JAKO LORD VADER

41 BARBARA GRUSZKA-ZYCH
PRZYSZEDŁ MNIE NAWRACAĆ

44 ŁUKASZ ZBORALSKI
SAMOTNOŚĆ NAD WISŁĄ

KULTURA

46 WIEŚŁAW CHEŁMIŃIAK
DLA OZDOBY I WYGODY
41 pałaców Wilna

49 PIOTR GOCIEK
I HOLLYWOOD STWORZYŁ POLAKA...

52 ROZMOWA Z KATARZYNĄ OŁKOWICZ
BOHDAN SMOLEŃ
– 165 CENTYMETRÓW HUMORU

NIE PRZEGAP

54 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

60 ROZMOWA Z KS. PROF. WALDEMAREM
CHROSTOWSKIM

TRZEBA ZACHOWAĆ POWŚCIĄGLIWOŚĆ
O Rosji, Ukrainie i wojnie

64 WOJCIECH GOŁONKA
KTO BĘDZIE WALCZYŁ
ZA POLSKĘ?

66 MAŁGORZATA WOŁCZYK
ŚWIĄTECZNY FESTIWAL
BLUŹNIERSTW

HISTORIA

68 MACIEJ KLEDZIK
PO CO MI BYŁA
POPULARNOŚĆ
Rozmowy z „Kisielcem”

74 GRZEGORZ MAJCHRZAK
PRZECIĄGANIE WAŁĘSY

78 TOMASZ LENCZEWSKI
KSIĘŻNICZKA ZABÓJCZYNI

ŚWIAT

82 ROZMOWA Z MARKIEM BRZEZIŃSKIM
KIEDY POWTARZAM, ŻE POLSKA
JEST BEZPIECZNA, NIE MÓWIĘ
TYLKO ZA SIEBIE

Ambasador USA w Polsce: Będziemy bronić
każdego centymetra terytorium NATO

86 PIOTR WŁOCZYK
WALUŚ WOLNY,
ALE WCIĄŻ NA CELOWNIKU

90 MACIEJ PIECZYŃSKI
PODRÓŻ ZA JEDNĄ ŚMIERĆ

EKONOMIA

92 JAKUB WOZIŃSKI
KOGO BARDZIEJ BOLĄ SANKCJE
Unia Europejska i USA a Rosja

94 ŁUKASZ WARZECHA
KLIMATYSTYCZNY GANG OLSENA

PODRÓŻE

98 JACEK PAŁKIEWICZ
W POSZUKIWANIU ŻŁOTEGO MIASTA
Polowanie na legendę

STYL

104 JOANNA BOJAŃCZYK
TARGOWISKO PRÓŻNOŚCI
Misja „prezenty”



**ALIOR
BANK**

KONTO JAKŻE OSOBISTE

WSZYSTKICH KRĘCI 2% ZWROTU ZA PŁATNOŚCI MOBILNE

PROMOCJA!
DO 28.02.2023 R.



www.aliorbank.pl

Oferta specjalna „Zwrot za zbliżeniowe płatności mobilne do 2%” trwa od 1 grudnia 2022 r. do 28 lutego 2023 r. i jest skierowana do klientów, którzy posiadają lub otworzą Konto Jakże Osobiste z aktywną korzyścią Zwrot za Zbliżeniowe Płatności Mobilne. Zwrot za zbliżeniowe płatności mobilne w trakcie trwania oferty specjalnej wynosi 2% wartości płatności bezgotówkowych wykonanych w sklepach stacjonarnych z użyciem Google Pay, Apple Pay, Fitbit Pay, Garmin Pay, SwatchPAY!, Xiaomi Pay oraz usługi BLIK, nie więcej jednak niż 50 zł w miesiącu kalendarzowym. Do płatności zbliżeniowych Apple Pay, Google Pay, SwatchPAY!, Garmin Pay, Xiaomi Pay lub Fitbit Pay jest wymagane urządzenie obsługujące tę funkcję. BLIK zbliżeniowy jest dostępny w telefonach z Androidem 6.0 (lub nowszym) oraz aktywną usługą NFC. Szczegółowe warunki oferty znajdują się w regulaminie oferty specjalnej „Zwrot za zbliżeniowe płatności mobilne do 2%” dostępnym na stronie www.aliorbank.pl. Aplikację Alior Mobile można pobrać bezpłatnie na telefon ze sklepów App Store (iOS), Google Play™ (Android™) lub AppGallery (dla urządzeń Huawei). Android, Google Pay i Google Play to znaki towarowe Google Inc. Nie pobierzemy opłaty 10 zł za prowadzenie konta, jeśli w danym miesiącu kalendarzowym na konto wpłynie jednorazowo min. 1500 zł z innego banku lub z konta firmowego w naszym banku (jako wpływ nie są traktowane przelewy z rachunków Kantoru Walutowego Alior Banku należących do klientów indywidualnych i biznesowych) lub jeśli nie masz ukończonych 26 lat. Dwie korzyści są bezpłatne, każda kolejna kosztuje 3,50 zł miesięcznie. Korzyść wybrana do konta będzie aktywna od następnego dnia. W przypadku rezygnacji z korzyści przestaje być ona aktywna pierwszego dnia kolejnego miesiąca kalendarzowego. Szczegółowe informacje znajdują się w Taryfie Opłat i Prowizji Alior Banku SA dla Klientów Indywidualnych, Regulaminie rachunków oszczędnościowo-rozliczeniowych, oszczędnościowych i terminowych lokat oszczędnościowych, Regulaminie kart płatniczych Alior Banku SA, Regulaminie korzyści do Konta Jakże Osobistego oraz w Regulaminie korzystania z kanałów elektronicznych dla Klientów Indywidualnych. Zastosowane w niniejszym materiale pojęcia oznaczają zgodnie z wykazem usług reprezentatywnych: prowadzenie konta – prowadzenie rachunku płatniczego, Alior Mobile – usługa bankowości elektronicznej. Stan na 1.12.2022 r.

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Zachodnia wspólnota wartości”, Paweł Lisicki, DRz 49/2022

Szanowna Redakcjo, w niemal doskonałym artykule wstępnym pt. „Zachodnia wspólnota wartości” („Do Rzeczy” nr 49/2022) Sz.P. Redaktor Paweł Lisicki trafnie obnażył fałsz kryjący się pod pojęciem „zachodniej wspólnoty wartości”, w obronie których stają Unia Europejska i większość państw członkowskich, nie tylko, notabene, w przypadku wojny ukraińsko-rosyjskiej. Nie są to z pewnością wartości cywilizacji grecko-rzymsko-chrześcijańskiej, wzrastającej i rozkwitającej w Europie od starożytności niemal do czasów współczesnych. Ale z tego nie należy wyprowadzać wniosku, że nie istnieją żadne inne wartości czy spoiwo łączące obecnie

część świata określaną potocznie mianem Zachodu. One istnieją i stanowią potężną broń ideologiczną i nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy nie nazywać rzeczy po imieniu takimi, jakimi są.

Te współczesne „wartości” definiują nowy, wspaniały świat, zbudowany na bazie światopoglądu liberalnego, który radykalnie zmienił naszą świadomość i nasz język. Jego istotę fenomenalnie uchwycił Patrick J. Deneen, wskazując na „przeformułowanie pojęcia wolności”, która nie jest pojmowana jako „stan rządzenia sobą” albo prawo „wzrostu drzewa w polu [...], klimat, w którym człowiek rośnie wznwyż” (Antoine de Saint-Exupéry), ani jako wolność obywateli polis (Werner Jaeger), lecz jako „uwolnienie od ograniczeń zewnętrznych, włączając w to normy zwyczajów”. W świetle dominującej obecnie ideologii liberalnej jedynym ograniczeniem jednostkowej wolności mogą być wyłącznie „właściwie uchwalone” (sic!) prawa, gwarantujące utrzymanie porządku wśród

jednostek. Ta ideologia niszczy jak walec wszystkie inne ograniczenia: normy moralne, zwyczaje, tradycje, wspólnoty, od rodziny poczynając, na narodach skończywszy,

zastępując je superpaństwem, cynicznie nazywanym „imperium wolności”.

Z poważaniem
Wojciech Turek
Gdańsk

NEKROLOG

Z wielkim żalem żegnamy



prof. nadzw. dr. hab. Zbigniewa Wawra

wybitnego historyka wojskowości, muzealnika, autora licznych publikacji naukowych i popularyzatorskich, dyrektora Muzeum Wojska Polskiego w latach 2012–2016, dyrektora Muzeum Łazienki Królewskie od 2017 r., odznaczonego Krzyżem Oficerskim Odrodzenia Polski, członka Rady ds. Muzeów i Miejsc Pamięci Narodowej oraz Rady Ochrony Zabytków przy MKiDN, a także laureata Nagrody Instytutu De Republica w 2022 r.

Rzetelnego badacza oraz popularyzatora historii, a przy tym człowieka skromnego i życzliwego.

Rodzinie składamy
najszersze wyrazy współczucia.

Dyrekcja i pracownicy
oraz Rada Naukowa Instytutu De Republica



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: Paweł Lisicki
Zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel

SEKRETARIAT REDAKCJI: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Radosław Wojtas

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowski, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadziński, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torajski, Szezech Weiss, Piotr Włoczek, Marcin Wolski,

Małgorzata Włoczek, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski,
Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska,
Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski,
Łukasz Zygadło.

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczys
Korekta: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSONOWNICY: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa
Okładka: Adobe Stock

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska,
Jolanta Kłoc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: Piotr Pech tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmppg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmppg.pl, tel.: 539 953 631; Joanna Gosek, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można

składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adaptacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Nowoczesny kocioł kondensacyjny

VIESSMANN VITODENS 050-W

Dopasuje się do Twojego wnętrza

Wybierz naszą ofertę i zyskaj:



kocioł gazowy Viessmann
w atrakcyjnej cenie **4 598 zł**

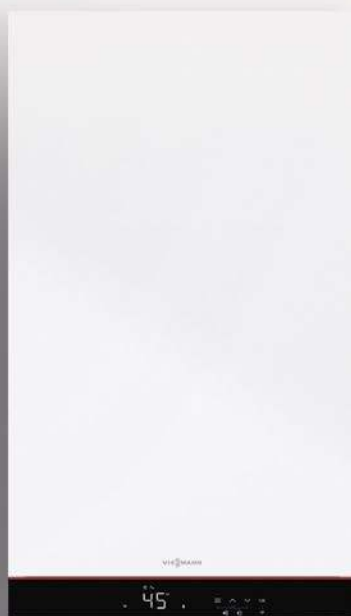


bezpłatną dostawę
i uruchomienie kotła



oszczędność dzięki wysokim
parametrom technicznym
urządzenia

Sprawdź na:
pgnig.pl/viessmann-vitodens



NA PIERWSZY OGIEŃ

Na topniejącej medialnej krze



PIOTR SEMKA

Netflix uraczył swoich widzów sześciuodcinkowym serialem o księciu Harrym i jego wybrance Meghan Markle. Serial, zapowiadany jako ujawnienie kolejnych sekretów na temat konfliktu w rodzinie królewskiej, wywołuje powszechne rozczarowanie. Autorzy przedstawili lukrowaną wersję wydarzeń wyłącznie z punktu widzenia swoich „wolnościowych” bohaterów. Harry i Meghan są zawsze w porządku, a rodzina królewska podstępna i ukrycie rasistowska.

Ale tych dowodów rasizmu, mimo że o nich ciągle bohaterowie dokumentu opowiadają, nie jest dużo. Raz są to wypowiedzi prasy brytyjskiej odnoszące się do faktu, że do rodziny Windsorów wchodzi po raz pierwszy osoba o innym niż biały kolorze skóry, a kolejnym razem dowodem na rasizm ma być renesansowa broszka z głową Mau-
ra, którą jedna z odleglejszych ciotek założyć miała na wspólne rodzinne spotkanie. Snucie sugestii ułatwia używanie bardzo niejasnego języka. Dowiadujemy się, że „ktoś” z rodziny miał się zastanawiać, jaki kolor skóry będzie miało ich dziecko, ale nie wiadomo czy chodzi

o kogoś z najważniejszych członków rodziny czy też o jakiegoś odległego nietaktownego wujaszka. Wszystko to wymieszane jest z narzekaniami na brytyjskie tabloidy w tak sprytny sposób, że widz nie wie, które zarzuty o stworzenie atmosfery wrogości odnoszą się do rodziny królewskiej, a które do brukowców.

Meghan Markle, bo ona jest główną gwiazdą tego filmu, spychając na drugi plan swojego w stu procentach wspierającego ją męża, jednocześnie prezentowana jest jako osoba niemal całkowicie bez wad. Autorzy z chęcią wchodzą w rozważania, w jakim stopniu redakcje tabloidowe są pod względem rasowym białe i w jakim stopniu brytyjska Wspólnota Narodów to sprytnie ukryta formuła brytyjskiego neokolonializmu. Widać, że autorzy serialu nie są w stanie zrozumieć oburzenia, które wywołali nad Tamizą. Uważają, że mają prawo przedstawiać Commonwealth w paru zdaniach, które pochodzą żywcem z jakiegoś notatnika neomarksistowskiego działacza ruchu Black Lives Matter.

Serial to kolejna próba zaistnienia przez parę Harry i Meghan przy jednoczesnych ciągłych deklara-

cjach, że chcą oni zachować swoją prywatność. Co rusz przyjmują zaproszenia do mediów, aby za grube pieniądze ujawniać półprawdy i szczegóły ze swoich relacji z rodziną królewską, których nie sposób zweryfikować. Korzystają przy tym z tego, że dom Windsorów jest zbyt dumny, by wchodzić w polemiki z twierdzeniami młodej pary. A jednocześnie oskarżając co rusz tabloidy o przeinaczenia, sami dają się przyłapać na rozmaitych manipulacjach. Nawet dom, w którym przeprowadzany jest główny wywiad, jak ustaliła prasa, nie należy do księżęcy pary, tylko został wynajęty.

Na tym polega też dramat Harry’ego i Meghan. Nie zbudowali żadnej na tyle interesującej własnej działalności, by móc ją eksploatować. A jak to bywa w wypadku skandalistów, którzy „ujawniają wszystko” – liczba sekretów się zmniejsza i trzeba mnożyć coraz bardziej ogólne skargi, aby przyciągnąć uwagę mediów. 100 mln dol., które zarobiła księżęca para za udział w produkcji Netflixu, rozejdzie się za jakiś czas. Czym wtedy spróbują przykuć uwagę mediów książęcy celebryci? © ©



FOT. MAREK BODAWSKI/KPRP

KOLEJNE WETO PREZYDENTA

– Nie potrzebujemy dzisiaj w Polsce dodatkowych napięć. Ludzie są niespokojni – tak prezydent Andrzej Duda tłumaczył, dlaczego zgłosił kolejne weto w sprawie ustawy, która popularnie nazywana jest „lex Czarnek 2.0”. – Odmawiam podpisania ustawy oświatowej. Proszę, aby pracować tak, by ten spokój społeczny zapewniać – oznajmił prezydent Duda, zwracając uwagę, że w nowej wersji ustawy nie zostały uwzględnione postulaty organizacji rodzicielskich oraz założenia z projektu prezydenckiego. (jap) © ©



Prof. Adam Glapiński, Prezes NBP, podczas gali Giganci Polska Press 2022 został uhonorowany nagrodą za wybitne zarządzanie bankiem centralnym w czasach pandemii, wojny w Ukrainie i kryzysu energetycznego.

Warszawa, 8 grudnia 2022 r.

NARODOWY BANK POLSKI INFORMUJE:

Międzynarodowa nagroda *Excellence in Currency* w kategorii „Najlepsza nowa moneta, zabezpieczenie lub rozwiązanie logistyczne”, została przyznana NBP za innowacyjną usługę zamiany monet w urządzeniach samoobsługowych.

„The Coin Conference”, Amsterdam, 18 października 2022 r.



Nagroda *Strażnik Pamięci* w kategorii „Instytucja” została przyznana NBP za Centrum Pieniądza NBP.

Warszawa, 7 listopada 2022 r.



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Biała Flaga

Pisząc te słowa, nie wiem jeszcze, co dokładnie kazała Komisja Europejska przyjąć naszemu Sejmowi w nowej ustawie o Sądzie Najwyższym. Cokolwiek tam się znalazło, nie mam wątpliwości, że żadnych pieniędzy nie dostaniemy, przynajmniej dopóty, dopóki u władzy jest PiS, postrzegany przez Timmermansa i Jourova jako obce ciało i katolicko-nacjonalistyczny wrzód na tęczowym ciele federalizowanej Europy, który trzeba wyciąć tak, jak kiedyś wycięto Berlusconię i zmuszono Włochów do przyjęcia premiera wyznaczonego przez eurokratów.

Już wchodząc w mechanizm KPO, zrobiliśmy najgorszy interes od czasów owych Indian, którzy sprzedali Holendrom za 60 guldenów Manhattan. To zaś, co się

działo potem, to katastrofa, jakiej świat nie widział. Komisja Europejska powiada, że pieniędzy z pożyczki, którą współżyrujemy i od której płacimy odsetki, nie da nam dopóty, dopóki i nie spełnimy takich a takich warunków. PiS krzyczy, że Unia nie może nam takich żądań stawiać, bo nie ma do tego prawa. Po czym podpisuje z Unią „kompromis”, polegający na tym, że w zamian za obietnicę odblokowania funduszy oficjalnie i prawnie skutecznie jej to prawo przyznaje. Następnie rozpoczyna propagandową fiestę: są pieniądze, mamy je, rozdamy wam, stawia billboardy ogłaszające, ile to dostaniemy z unijnej łaski, i sławi sam siebie w państwowych mediach za to, że załatwił kasę. Wtedy Komisja Europejska stwierdza, że PiS idzie w dobrym

kierunku, ale nie dość daleko, i stawia kolejne warunki.

Bez wątplenia uchwalenie podyktowanej przez Timmermansa i Jourova ustawy o SN też nie wystarczy, jak nie wystarczyły „kamienie milowe”, a wcześniej zgodne uzależnienie wypłat od „oceny praworządności”. Podnoszony przez rząd fakt, że „tym razem mamy wszystko na piśmie”, jest żalony. Traktaty, które tak lekko potraktowała Unia, też są przecież na piśmie. I co?

PiS zdaje się wierzyć, że kasa z Unii w końcu przyjdzie i pozwoli utrzymać władzę. Kasa nie przyjdzie, wynik przyszłorocznych wyborów zależeć będzie od innych spraw, natomiast konsekwencje tej fatalnej polityki ponosić będziemy, niestety, jeszcze długo. ©©



MAREK JUREK

OD POČZĄTKU

Świat się zmienia

Zmienia się Ameryka. Ćwierć wieku temu (epoka Billa Clintona i AWS w Polsce) Kongres przyjął ustawę DOMA o „ochronie małżeństwa”. Potwierdzała (jak konstytucje w Polsce, na Słowacji, na Węgrzech), że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny. Teraz Kongres zastępuje tamtą ustawę – ustawą RFMA o „szacunku dla małżeństw”, homoseksualnych oczywiście. Zobowiązuje władze stanowe do ich uznawania, nawet jeśli ich nie chcą udzielać. Ustawa RFMA zaznacza jednak, że tytułowym „szacunkiem” nie obejmuje małżeństw poligamicznych i grupowych. Nie wyjaśnia jednak dlaczego. Na to przyjdzie czas później. Na dalszy rozkład prawa

rodzinnego, bo uzasadnienie przecież jest już gotowe. Respect!

Zmienia się również Rzym. Epoka DOMA to czasy pontyfikatu św. Jana Pawła II. Fundamentalne orzeczenia Kongregacji Nauki Wiary mówiły wtedy wprost, że zasadniczym narzędziem politycznego ruchu homoseksualnego jest manipulacja opinią katolicką i opinią publiczną w ogóle. Liderzy ruchu homoseksualnego wysuwają najbardziej skrajne żądania, by za chwilę ogłosić, że odmowa ich spełnienia to naruszenie „szacunku” i prawna „dyskryminacja”. Ze wsparciem Rzymu opinia katolicka potrafiła systematycznie, nawet jeśli nie zawsze skutecznie, tej manipulacji się przeciwstawiać.

Dziś w manipulowaniu opinią publiczną, w kolportowaniu retoryki politycznego ruchu homoseksualnego, uczestniczą politycy tacy jak Joe Biden i Nancy Pelosi (oboje w przyjęciu RFMA odegrali rolę kluczową), których katolickość poręczają sam papież i bliscy mu kardynałowie, bez oglądania się na większość amerykańskich biskupów.

Świat się zmienia. Na szczęście są rzeczy, które zmienić się nie mogą. Na przykład pierwszy rozdział Listu Apostoła Pawła do Rzymian, z jego jasną moralną dezaprobatą homoseksualizmu. Także nauka Kościoła, która z nauki Pawłowej wynika. I tego się trzymajmy, nie oglądając się na ich „respect”. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Pieniądze za prawotządnośc

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Opowieść wigilijna

Pier Luigi Bersani to od lat jeden z najważniejszych polityków włoskiej lewicy. Osiem lat temu omal nie został premierem. Pograżyli go koledzy z Partii Demokratycznej, której wówczas szefował. Nie kryje się ze swoimi komunistycznymi poglądami.

Kilka dni temu dał się sfotografować w butik Louisa Vuittona, gdzie damska torebka potrafi kosztować kilkanaście tysięcy euro. Alessandro Sallusti, redaktor naczelny prawnicowego „Libero”, niemal codziennie z powodzeniem występujący w programach włoskich telewizji, takiej okazji przepuścić nie mógł. Wywalił fotografię na pierwszą stronę dziennika ze złośliwym podpisem, że rzecznik biednej klasy robotniczej robi zakupy w luksusowym butik dla milionerów.

Bersani odpowiedział: „Alessandro, zrujnowałeś niespodzian-

kę, którą szykowałem dla żony pod choinkę”. Sallusti najpierw zadzwonił do Bersaniego z przeprosinami, a potem publicznie dokonał samokrytyki. Powiedział, że zachował się jak moralizujący gówniarz. Dodał, że Bersani jest dobrym i godnym szacunku człowiekiem. Bersani przeprosiny przyjął i oświadczył, że Sallusti też jest dobrym człowiekiem. Przypomniał, że kiedy osiem lat temu dostał udaru i walczył o życie, Sallusti, wówczas naczelny

„Il Giornale”, należącej do rodziny Berlusconi, dał na pierwszą stronę ogromny tytuł: „Bersani, trzymaj się!”. I napisał: „Bersani, nie rób sobie żartów, nie umieraj. Jesteś jedynym prawdziwym wrogiem, którego mamy. Uwielbiamy się z Tobą kłócić i przekomarzać. Nie zrób nam tego! Przecież nie będziemy się kłócić z tym nudziarzem Franceschinim”. Franceschini to były minister kultury i ważny działacz lewicy. Bersani powiedział, że choć jest komunistą i jego poglądy totalnie się różnią od poglądów Sallustiego, to tak pięknego gestu z jego strony nigdy nie zapomni.

A więc można... Byłem ostatnio przez kilka tygodni w Polsce. Siłą rzeczy oglądałem telewizję i czytałem prasę. Do naszych elit polityczno-publicystycznych mam jeden apel: „Patrzcie i ucztujcie się!”. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

**Pier Luigi Bersani,
jeden z najważniejszych
polityków włoskiej
lewicy, kilka dni temu
dał się sfotografować
w butik Louisa Vuittona**

ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

Z DALA OD
POLSKIEGO ZOO

Jak tam przygotowania do świąt? Pewnie w trakcie. Gdyby ktoś miał ochotę na chwilę choć wczuć się w problemy tych naprawdę zaganianych, to z pomocą



FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

przychodzi aktorko-piosenkarko-projektantko-niewiadomkojeszcze Julia Wieniawa. Ona wie, co to oznacza być zmęczonym. I ma na to sposób. – Wyjechać to jest najlepsza odcinka – stwierdziła Julka. To jednak wcale nie takie proste, jak mogłoby się wydawać. – W Polsce nie mam za bardzo jak pojechać do SPA i odpocząć, bo jestem zazwyczaj małpką w zoo – żali się gwiazda. – Bardzo lubię odpoczywać w polskich warunkach, zazwyczaj jak już gdzieś w Polsce, to jakaś chatka gdzieś w górach czy na Mazurach. Miejsca takie jak SPA nie są dla mnie za dobre. Wszyscy zawsze gdzieś mnie tam kojarzą – dodaje Wieniawa. W takim razie już wiadomo, dlaczego Julia wybiera na wakacje tak egzotyczne kierunki, jak

Mauritius (serwisy plotkarskie wysłodziły, że celebrytka wybrała hotel, który kosztuje 30 tys. zł za tydzień) czy Bali. Wolałaby Międzyzdroje albo Tatry, ale po prostu tysiące kilometrów z dala od kraju ma święty spokój. Od nas wszystkich. A jak wiadomo, spokój kosztuje.

BIEDNA ŻONA
PANA CZARKA

Spokój od mediów po ostatnim występie w podkaszcie Kuby Wojewódzkiego i Piotra Kędzierskiego powinien dać sobie chyba Cezary Żak. Ale po kolei. Wypowiedzi, która wzburzyła komentujących internautów najbardziej i obiegała portale, jest ta o... 16-latkach. – Są tacy, którzy twierdzą, że w szkole interesowały cię dziewczyny, ale bardziej interesowała cię szkoła. Skąd takie teorie? Usłyszałem dzisiaj od pewnej bliskiej ci osoby, że podobno zawsze lubiłeś rozmawiać ze starszymi paniami, mądrymi. Kręciły cię starsze panie w szkole? – zagał Wojewódzki. Żakowi chyba bardzo nie spodobała się ta sugestia. – Nigdy. Wręcz przeciwnie, mnie do dzisiaj kręca 16-latki – stwierdził. – Nie mów o tym! 18-latki – doradził mu Wojewódzki. – A przepraszam. No mówię właśnie – poprawił się Cezary Żak. Aktor dał się wciągnąć w dalsze rozważania na temat „pokusu” i tego, że „nie jest święty” w kontekście ogólnie pojętych relacji damsko-męskich. – Mam pokusy, jakoś sobie radzę – przyznał. Biedna małżonka pana Czarka.

WIDZU, NIC NIE
ROZUMIESZ

To nie koniec intelektualnych popisów Karola z „Miodowych lat”. W tym samym wywiadzie ponarzekła na Polaków. Powód? Zbyt łatwo ich rozbawić. – Nie chcę mówić, że jestem coraz gorszego zdania o polskiej publiczności, ale nie jest ona wymagająca. Ja to wiem, bo gram 250 spektakli w roku, głównie komedii, i widzę, że mniej publiczność ode mnie wymaga – żalił się Żak. – Ktoś mnie czasem kiedyś zaprosił na jakiś koncert, powiedziałem monolog sprzed 30 lat i on ciągle śmieszył. A od jakiegoś

czasu on już nie śmiesz i nie dlatego, że przestał być śmieszny, ale ludzie go nie rozumieją. Widzę też, że jak w teatrze coś jest „pod tekstem”, jak coś jest metaforyczne, ludzie nie wiedzą, o czym gramy i na jaki temat – dodał niezrozumiany aktor. Cezary Żak siedzi w głowach widzów i wie, że oni się śmieją nie dlatego, że coś jest zabawne, tylko dlatego, że są głupi. No ja bym się jednak jako taki widz pana Czarka (którym nie jestem) lekko obraziła.

LIŚĆ ZAWODU

Tak jak obrazić mogliby się kucharze z okrzykniętej najlepszą restauracją świata Eleven Madison Park w Nowym Jorku, gdyby tylko przejmowali się opiniami polskich celebrytów. Takiej np. Klaudii Halejcio, która wybrała się do przybytku i skrupulatnie zrelacjonowała wizytę na Instagramie. Kolacja trwała kilka godzin i towarzyszył jej specjalny kelnerski „ceremoniał”. Już przy pierwszej przystawce Halejcio chwyciła za telefon. – Ponoć lepiej się nie da. Osobiście nie rekomenduję. Jesteśmy po pierwszej przystawce. Co myślisz? Wal prawdę, bo to nie ma sensu – mówiła do ukochanego celebrytka. – Fantastycznie, zwykła marchewka. Nic więcej. Jeszcze restauracja wege – odpowiedział niepokieszony partner. Dalej było tylko gorzej. Kolejną potrawą był „liść”. – Uwaga. Podano liść – ogłosiła oburzona Klaudia (jak można wyczytać w Internecie było to danie z poduszanej kapusty galicyjskiej z nitkami jedwabistego tofu). – Dramat, serio. Ale co ja tam wiem – podsumowała aktorka wizytę. Klaudio, rozumiem. Również preferuję swojskiego schabowego z ziemniakami i burakami na ciepło. ©©



FOT. ADRIE STOCK



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, zastanawialiśmy się, jakiego rodzaju prezenty powinniśmy sobie wręczyć z okazji nadchodzących

Winter Holidays. Wiecie, takie najczęściej rozdawane odpadają, ponieważ nie chcemy podążać bezmyślnie za średniowiecznymi trendami, które zakładają, iż prezent ma być praktyczny, jak skarpetki czy też może kabel od żelazka dla wąsatego Janusza, aby mógł nim w czasie Winter Holidays okładać osobożoną.

W dodatku mamy inflację, a więc wszystko jest droższe. Dlatego też mamy kilka propozycji prezentów handmade, które przy minimalnym nakładzie sił i środków możecie przygotować dla członków teamu, kolektywu czy tam rodziny, jeśli ktoś jedzie na Winter Holidays do małego ośrodka.

Salatka z tofu, smutku i wodorostów – nie ma lepszej alternatywy dla tradycyjnej sałatki jarzynowej skąpanej w majonezie. Salatka jarzynowa tradycyjnie podawana na polskich stołach to kompozycja złożona z tradycyjnych polskich warzyw pod gust zwykłego Janusza, aby mógł sobie wałnąć pod nią kielona. Natomiast nasza propozycja pozwala poczuć smak wielkiego miasta i życia w nim, łącznie z atomizacją społeczną, której nie sposób doświadczyć w przeludnionych wsiach i przysiółkach między Krosnem a Jasłem.

Łańcuch z bibuły – symboliczny prezent dla wąsatego Janusza, iżby przestał używać kabla od żelazka, a zwłaszcza

Książeczki o kształtowaniu racjonalnego światopoglądu u dzieci – jak powszechnie wiadomo, chrześcijaństwo

zawłaszczyło sobie Winter Holidays i trudno jest uciec od symboliki przepełnionej znaczeniami pochodzącymi z tejże religii. Jednak ponieważ żyjemy w państwie świeckim, należy już teraz podejmować dalekosiężne kroki w celu rozdziału Winter Holidays od Kościoła. Dlatego dzieci powinny od najmłodszych lat być edukowane w zakresie egalitarnego i świeckiego obchodzenia tych uroczystości, tak aby były wyczulone na takie formy dyskryminacji i prześladowania jak np. wigilia w szkole, jasełka czy wspólne śpiewanie kolęd.

Wszystko to, kochani, powinno odbywać się w formule zdalnej, a stoły wigilijne itd. stosowaliśmy

of kors jako figury retoryczne. Pamiętajcie, iż podróżowanie do niewielkich ośrodków powoduje zwiększenie ilości pozostawianego śladu węglowego. Dlatego lepiej włączyć na ograniczony czas Teamsy czy Zooma i mieć później świecki spokój, iż pomimo społecznej presji udało się zrobić coś dobrego dla planety!!!11

Neutralnych Winter Holidays!!!!1111jeden @@

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

Tradycyjnemu obejtzynu „Kevinu”, ale żadnego dodatkowego uakrycia, bo jeszcze by jakiś piśiot przylazł...



c e z z r y k r y j z t o r z

końcówki z żelazkiem, a zamiast tego odwiesił swoje patriarchalne przemocowne nawiązanie do drzewo.

Materiały konferencyjne z dowolnego spotkania dotyczącego równości – czas najwyższy, iżby zamiast tematów politycznych, sportowych czy innych głupot zająć wąsatych wujków i pisowskie babacie czymś naprawdę istotnym. Dlatego warto byłoby wszystkim rozdać, zamiast opłatka, np. ulotki o odpowiednim stosowaniu zaimków. Dyskusja, która wokół tego się rozwinie, powinna być jednak przez was bardzo uważnie moderowana, iżby nikogo nie obrazić.

PODSŁUCHANE

Kafelki w MON

Mariusz, proszę mam.
Co tam, Elu?

Kuzyn dostał wezwanie na ćwiczenia, 30 dni. A w ustawie jest ten punkt, że nie podlegają

osoby o szczególnym znaczeniu dla obronności państwa. Mogłbyś piśemko machnąć w tej sprawie?

Pewnie tak. A co kuzyn robi?

No... specjalistą jest. Wysokiej klasy.

Jasne. Ale w jakiej dziedzinie?

Zajmuje się budownictwem. Architekt?

Tak jakby. Kafelki kładzie, konkretnie. Zlecenia ma na pół roku, więc byłby kłopot. Ale to się na pewno jakoś da podciągnąć...

Jak się nie da, jak się da? Napisać się, że on te kafelki ma kłaść u mnie w MON i już.

Cudownie!

Ale coś za coś. Właśnie kuchnię remontuję. @@

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Bezpłatne leki dla seniorów – kolejne kłamstwo epoki PiS”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze



dwaj panowie G



Przygotowanie świątecznych prezentów rozpoczynamy od przedstawicieli Eine Totalopposition. A dokładnie – demonstrantów działających pod jej auspicjami, jej wyborców. To kilka wagonów niemieckich flag. Skoro już podczas manifestacji w Zielonej Górze doszło wreszcie do stanięcia w prawdzie i protestów przeciw Kaczorowi Dykatorowi pod barwami RFN, to domyślamy się, że nasz prezent będzie rozchwytywany we wszystkich lokalnych oddziałach PeŁo, KoŁe i KOD. Na walen-tynki dostaniecie kolejny transport – tym razem flag rosyjskich. Do kompletu.

Dla polityków Eine Totalopposition – wspólna lista. Ale nie jest to lista wyborcza. Chodzi o listę wszystkich dawnych umizgów do Władimira Władimirowicza. Dziwnym trafem najwięcej jest na niej punktów, za które odpowiadają Radek Sknerus Sikorski oraz ekipa BBN z czasów prezydenta Bronisława I Wąsatego.

Dla Złego Donalda z Sopotu – biuro w Londynie, najlepiej w zmurszałej kamieniczce z czasów Dickensa. Oraz stosowny strój z owych czasów. W kantorku będzie mógł obliczać wysokość swojej europejskiej emerytury i wpływy z przyszłych wykładów, w których wkrót-cze zastąpi Lecha Bolka Wałęsę. A ubranko dżentelmena z XIX stulecia przypomni londyńskim ulicznikom, że powrócił Scrooge, osobnik wielce zgorzkniały. Tyle że nie ma szans na to, by odwiedziły go jakiegokolwiek duchy.

Dla Lecha Bolka Wałęsy – nowa żona. Taka, która nie będzie pijawką wiecznie żądającą pieniędzy. A do tego teczka. Ładna, mało używana, pusta. Żeby wreszcie miał jakąś, w której nie ma dowodów na jego dawne dokonania na niwie współpracy z SB.

Dla Włodzimierza Czarzastego – zestaw garnków, patelni i mik-serów. Sporo ostatnio gotuje dla Donalda Tuska, który jest jego odkryciem towarzyskim, więc trzeba wspomóc jego kuchenny park maszynowy. Na wypadek gdyby to Donald gotował podczas tych wspólnych spotkań, dla Włodka mamy solidną porcję leków usuwających toksyny z organizmu. Gdyż wiemy dobrze, jaki los zwykle gotuje Donald swoim odkryciom towarzyskim.

Dla Władka Tygrysa-Kamysza – zestaw farb do brody. Nie wystarczy bowiem zapuścić trochę włosów, by robić wrażenie patriarchy polskiej polityki. Trzeba jeszcze posrebrzyć. Zestaw jest skromny, większość opakowań zabrał nam Jan Rokita.

Dla Szymka Płaczliwego Hołowni – sadzonka. Małe drzewko, które będzie mógł posadzić, gdy mrozy miną. Tak się bowiem składa, że drzewo, które, jak ogłosił na początku kariery politycznej, zasadził w sercach milionów Polaków, niezbyt się przyjęło.

Dla Rafcia Trzaskowskiego – tu problem, bo chcieliśmy dać samochód. Taki bez uprawnień prezydenta miasta, bez bomby na dachu itp. Żeby sobie trochę jako zwykły kierowca pojeździł po Warszawie. Ale uświado-miliśmy sobie, że prezenty nie mogą być zagrożeniem dla życia odbiorcy, więc rezygnujemy. Bo Rafcio z pewnością po paru przejażdżkach dostałby apopleksji – jak każdego dnia mieszkańcy miasta, którym administruje.

Dla prezydenta Andrzeja Sebastiana Dudy – coś na niestrawność. Trudno mu bowiem będzie bez tego podpisywać nowe ustawy sądownicze odblokowujące kasę z KPO.

Dla Naczelnika Państwa, prezesa Jarosława Kaczyńskiego – buty siedmiomilowe. Bez nich ciężko będzie zdążyć we wszystkie miejsca, gdzie powinien zaktywizować aktywy przed wyborami. Ale zaktywizować we właściwym kierunku, bo na razie aktywy się zaktywizował, ale przeciw sobie nawzajem, w ramach przedświątecznych manewrów.

Dla premiera Mateusza Morawieckiego – nowy Dworzczyk, bo staremu, jak słyszeliśmy, nie tylko skończyło się stanowisko, lecz także okres przydat-ności w kancelarii – z końcem stycznia ma być już tylko zwykłym posłem.

Dla wicepremiera Piotra Glińskiego – Pałac Saski. Obawiamy się bowiem, że gdyby przyszło do zmiany władzy, to pałac zamieni się w byt po-nowinie niebyły. A nasz pałac jest gotowy do użytku, można postawić od razu we właściwym miejscu i korzystać.

Zwymienionych powyżej powodów dla całego rządu oraz wszystkich normalnych Polaków mamy w pre-zencie gotowy Centralny Port Komu-nikacyjny. Uwaga, jest duży, więc rogi opakowania wystają spod choinki.

Dla wicepremiera Mariusza Błaszczaka – 500 zestawów HIMARS, których pragnie także Naczelnik. Niech to będzie taki nasz program „500+”. Świąteczna magia jest tu bardzo potrzebna, bo zanim tyle Amerykanie wyprodukują, minie trochę czasu, a Polacy nie są jedynymi chętnymi.

Dla ministra Zbigniewa Raua – zestaw nowych, nieużywanych ambasa-dorów, w dodatku w nic nieuwi-klanych. Potrzeby są bowiem ogromne, a zasoby kadrowe dość skąpe.

Dla Jacka Kurskiego – Sylwester Marzeń na Times Square. Kto wie, może wpadnie nawet Krzysiek Szczerski z ONZ, jak już wróci z Krakowa z torbą pełną.

Dla Zbigniewa Ziobry – właściwie nic nie musimy mu dawać. Ma wszystko: piękną żonę, udane dzieci, ciekawych współpracowników, interesu-jącą pracę i bezkonfliktowych partnerów w polityce. Zwłaszcza w niebudzących kontrowersji przedsięwzięciach, takich jak reforma sądownictwa.

Dla wszystkich wiewiórek, które współpracują z naszą rubryką – przenośne kserokopiarki. Kopiujcie zawczasu, co się da, będziemy w przy-szości korzystać. Nigdy bowiem nie wia-domo, co przynieść może rok wyborczy. A jak się wszystko skończy dobrze, to razem zrobimy ognisko i wypijemy po browarku. ©©

Łączymy naukę, technologie
i umiejętności, aby pokonywać
choroby i dbać o zdrowie ludzi
dzięki nowoczesnym lekom
i szczepionkom

DZIAŁALNOŚĆ GSK W POLSCE*

45 lat

w Polsce

2 000+

zatrudnienie (2021)

2,23 mld zł

wartość inwestycji (2021)

48 badań klinicznych
o wartości

47,5 mln zł,

240 ośrodków i 4,6 tys.
pacjentów (2021)

750

liczba nowych miejsc
pracy w GSK Poland
Global Hub w 2021

2,36 mld zł

łączy wkład do PKB Polski (2020)

25 mln opakowań

dostawa leków i szczepionek
dla polskich pacjentów (2021)

297 mln zł

daniny publiczne (CIT, PIT, VAT, ZUS)
(2020)

* Na podstawie raportu „GSK w Polsce. Innowacyjna firma biofarmaceutyczna. PARTNER POLSKIEJ GOSPODARKI”, sierpień 2022



Witold Repetowicz

Stwierdzenie, że Betlejem jest niezwykle ważnym miejscem dla chrześcijan, wydaje się być truizmem, ale wobec zanikania wyznawców Tego, który w tym mieście przyszedł na świat, nabiera innego znaczenia. Wpisuje się też w szerszy problem exodusu chrześcijan z Bliskiego Wschodu. W Betlejem presja występuje jednak z dwóch stron: radykalnych islamistów oraz fundamentalistów żydowskich

Wiele lat temu miałem okazję być na pasterce w betlejemskiej bazylice Narodzenia Pańskiego, co było dość emocjonującym doświadczeniem. Pamiętam jednak, że z meczetu, znajdującego się po drugiej stronie centralnego placu miasta (zwanego placem Żłóbka, po arabsku: majdan al-mahd), w chwili, gdy zaczynało się nabożeństwo, rozległo się niezwykle głośne wezwanie muzułmanów do modlitwy. Znajdujące się 80 m od chrześcijańskiej świątyni głośniki zagłuszały wszystko i trudno było oprzeć się wrażeniu, że robiły to specjalnie. Warto pamiętać, że muzułmanie uznają Jezusa za proroka i mesjasza, ale jego rola jest odmienna niż w chrześcijaństwie, w szczególności nie uznają oni oczywiście proroka Isy (bo tak jest w Koranie nazywany) za Boga ani za Syna Bożego.

Koraniczna opowieść o narodzinach Jezusa zaczyna się w surze III zwanej „Rodzina Imrana” od opisu zwiastowania Maryi (Maryam) narodzin Jezusa (Isy) przez archanioła Gabriela (Dżibrila). „O Mario! Bóg zwiastuje ci radosną wieść o Słowie pochodzącym od Niego, którego imię Mesjasz, Jezus, syn Marii”. Dalej Maria wyraża wątpliwości: „O Panie mój! Jakże będę miała syna, skoro nie dotknął mnie żaden mężczyzna?”. Ten fragment niewiele różni się od opisu znajdującego się w Ewangelii św. Łukasza 1, 26–38. Zasadnicza różnica tkwi jednak w odpowiedzi: „Tak będzie! Bóg stwarza



to, co chce!”. Koraniczny Isa nie jest zatem synem Boga i został przez niego stworzony, a nie z niego zrodzony. Koran rozwija to w surze XIX „Maria”, z której wynika, że zwiastowanie, poczęcie i poród nastąpiły zaraz po sobie, a dziecko miało od razu zdolność mówienia i działania jako prorok. „Zaprawdę, ja jestem sługą Boga! On dał mi księgę i uczynił prorokiem”. Dalej Koran nie pozostawia już żadnych wątpliwości, że odrzuca chrześcijańską optykę: „Nie jest odpowiednie dla Boga, aby przybrał sobie Syna”. I dalej „Oni powiedzieli »Miłosierny wziął Sobie syna!«. Popełniliście rzecz potworną! Niebiosy niemal nie rozrywają się, a ziemia omal nie popęka szczelinami, a góry omal nie

rozpadną się w proch – od tego, iż oni przypisali Miłosiernemu syna. A nie godzi się Miłosiernemu, aby wziął sobie syna”.

KULT RACHELI

Betlejem, o którym pierwsza wzmianka pochodzi z ok. 1400 r. p.n.e., jest również ważne dla Żydów, co wiąże się ze znajdującym się tu grobowcem Racheli, żony starotestamentowego patriarchy żydowskiego Jakuba, syna Izaaka i wnuka Abrahama. Kult Racheli zapoczątkowali jednak miejscowi chrześcijanie, a dopiero po nich, w średniowieczu, przyłączyli się judaїci oraz muzułmanie. Wiąże się on z płodnością, gdyż Rachel początkowo nie mogła mieć dzieci, lecz później zo-



Kościół św. Katarzyny Aleksandryjskiej w Betlejem, sąsiadujący z bazyliką Narodzenia Pańskiego FOT. ADOBE STOCK

stała pobożnością i urodziła Jakuba oraz Beniamina, umierając przy ostatnim porodzie.

Obecną świątynię w miejscu, które tradycja wskazuje jako miejsce pochówku Racheli, stworzył w 1841 r. brytyjski bankier i filantrop pochodzenia żydowskiego sir Moses Montefiore. Miała ona być otwarta dla wszystkich trzech religii, ale po powstaniu Izraela i zajęciu Zachodniego Brzegu przez Jordanię Żydzi stracili do niej dostęp do 1967 r., czyli do wojny sześciodniowej, dzięki której przejęli kontrolę nad Zachodnim Brzegiem. Żydowski fundamentalizm uczynił przy tym z grobowca Racheli trzecie najważniejsze miejsce judaizmu po Ścianie

Płaczu i Jaskini Patriarchów w Hebronie. Tymczasem zgodnie z porozumieniami palestyńsko-izraelskimi z Oslo z 1995 r. całe Betlejem, wraz z grobowcem Racheli, miało znaleźć się pod administracją Autonomii Palestyńskiej. Jednakże w 2005 r. miejsce to zostało otoczone murem odgradzającym Izrael od Palestyny i w związku z tym zarówno chrześcijanie, jak i muzułmanie stracili do niego dostęp.

Betlejem było również miejscem narodzin króla Dawida i jest wielokrotnie wspominane w Starym Testamencie. W Księdze Micheasza zawarte jest natomiast proroctwo, że właśnie tam narodzi się Mesjasz. „A ty, Betlejem Efrata, najmniejsze jesteś wśród plemion judz-

kich! Z ciebie mi wyjdzie Ten, który będzie władał w Izraelu, a pochodzenie Jego od początku, od dni wieczności”. Jak wiadomo z Ewangelii św. Mateusza, gdy Jezus przyszedł na świat, Betlejem było pod rządami króla Heroda Wielkiego jako część królestwa Judei. Herod władał nim jednak jako wasal Rzymu, z nadania tamtejszego senatu. Królestwo Judei zresztą wkrótce potem przestało istnieć i w 6 r. n.e. zostało przekształcone w rzymską prowincję (na krótko reaktywowano je w latach 41–44 pod rządami Heroda Agryppy). Pod rządami rzymskimi Betlejem przetrwało do podboju muzułmańskiego w 637 r., na krótko pozostając jednak pod rządami perskich Sasanidów w latach 614–637. W tym czasie Judea podlegała jednak znacznym zmianom. Do antyrzymskiego powstania Bar Kochby w 135 r. cała ta kraina miała wciąż żydowski charakter. Ale po stłumieniu żydowskiej rebelii cesarz Hadrian zaczął prześladowania Żydów, co doprowadziło do ich exodusu. Chrześcijaństwo było wciąż nielegalne i prześladowane, ale rozwijało się coraz szybciej wśród Rzymian. Zmieniło się to po wydaniu edyktu mediolańskiego przez cesarza Konstantyna Wielkiego w 313 r. Wkrótce potem, w 327 r., rozpoczęto budowę bazyliki Narodzenia Pańskiego, którą ukończono sześć lat później. Inicjatywa jej wzniesienia wyszła od św. Heleny, cesarzowej i matki Konstantyna. W 565 r. na rozkaz cesarza Justyniana I Wielkiego bazylikę przebudowano, nadając jej obecny kształt.

Podział cesarstwa na zachodnie i wschodnie oraz upadek Rzymu w 476 r., który wyznacza umowną granicę między starożytnością i średniowieczem, nie miały znaczenia dla życia mieszkańców Judei (przemianowanej najpierw na Syrię Palestynę, a następnie podzielonej na Palestynę Primą i Secundę), w tym Betlejem, gdyż znajdowało się ono z dala od perturbacji związanych z wędrownymi germańskimi plemionami. Wstrząsem był natomiast rok 614, gdy w wyniku długotrwałej wojny między Persją a Bizancjum zajęły je wojska szacha Chosrowa II Parwiza wraz z żydowskimi buntownikami Nehemiasza bin Huszila oraz Beniamina z Tyberiadu, którzy stali na czele rewolty przeciwko cesarzowi Herakliuszowi. Początkowo chrześcijanie byli prześladowani, a wiele kościołów zostało zniszczonych. Nie dotknęło to jednak bazyliki Narodzenia Pańskiego, gdyż według legendy perski dowódca Szarbaraz był pod wrażeniem



Wizerunków trzech królów, których szaty przypominały ubiór Persów. W 617 r. Persowie zresztą zmienili politykę wobec chrześcijan, a Nehemiasz został zabity. Po odzyskaniu kontroli nad Palestyną przez cesarza Herakliusza w 627 r. Żydzi znów zostali stąd wygnani. Tyle że 10 lat później zaczęły się rządy muzułmańskie.

PRZEŚLADOWANIA I KRUCJATY

Zgodnie z tradycją, przekazaną m.in. przez wybitnego arabskiego filozofa i historyka Ibn Chalduna, drugi kalif Omar, po zdobyciu Betlejem, odrzucił zaproszenie jerozolimskiego patriarchy do odbycia modlitwy w bazylice Narodzenia Pańskiego i zamiast tego wybrał miejsce znajdujące się naprzeciw. „Gdybym modlił się w kościele, to inni muzułmanie poszliby moim śladem, mówiąc »Omar się tu modlił«” – tak to tłumaczył kalif według Ibn Chalduna. To właśnie w tym miejscu powstał jedyny meczet w Betlejem, nazywany w związku z tym meczetem Omara. Bazylika została jednak oszczędzona i nie zamieniono jej w meczet, w przeciwieństwie do wielu innych kościołów na zdobywanych wówczas przez muzułmanów terenach chrześcijańskich.

Przez następne 462 lata Betlejem pozostawało pod rządami muzułmańskimi, najpierw kalifów omajadzkich, następnie abbasydzkich, wreszcie szyickich Fatymidów. W tym czasie chrześcijanie, w zasadzie, cieszyli się tam wolnością religijną, choć następowały też okresy prześladowań. Największe miały miejsce w czasie rządów fatymidzkiego kalifa Al-Hakima, w latach 1004–1012. W 1009 r. władca nakazał nawet zburzenie betlejemskiej

bazyliki, ale napotkało to opór również ze strony muzułmanów. Rządy Fatymidów nad Betlejem nie trwały długo. W 1073 r. Ziemię Świętą podbili tureccy Seldżuci, których religijny fanatyzm doprowadził do ponownego prześladowania chrześcijan i w rezultacie do krucjat. W 1099 r. Betlejem znalazło się w granicach nowo powstałego, chrześcijańskiego Królestwa Jerozolimy, ale 88 lat później, po przegranej przez krzyżowców bitwie pod Hattin, wkroczył do niego ajubidzki sułtan Saladyn.

W latach 1229–1244, na mocy traktatu między cesarzem Fryderykiem II oraz sułtanem Al-Kamilem, znów znalazło się pod rządami chrześcijańskimi. O ile pod rządami Ajubidów chrześcijanie mogli się cieszyć względną tolerancją, o tyle w 1250 r. zmieniło się to wraz z dojściem do władzy mameluków. Dziesięć lat później, w odległości nieco ponad 100 km na północ od Betlejem, pojawiła się niepokonana dotąd armia mongolska pod dowództwem chrześcijańskiego generała Kitbogi, prawej ręki chana Hulagu. Kitboga, podobnie jak wielu Mongołów w tym okresie, był jednak wyznawcą nestoriańskiego chrześcijaństwa, co spowodowało, że krzyżowcy zachowali „przychylną neutralność” w stosunku do mameluków. Dzięki temu muzułmańska armia przeszła przez tereny krzyżowców i rozbiła najeźdźców w bitwie pod Ajn Dżalut.

658 LAT MUZUŁMANÓW

Betlejem, podobnie jak cała Ziemia Święta, pozostało więc pod rządami muzułmańskimi przez kolejnych 658 lat, przy czym w 1518 r. tureckie imperium osmańskie zakończyło tutejsze rządy



Oznaczenie miejsca narodzin Jezusa w grocie pod kościołem Narodzenia Pańskiego w Betlejem. FOT. ADOBE STOCK

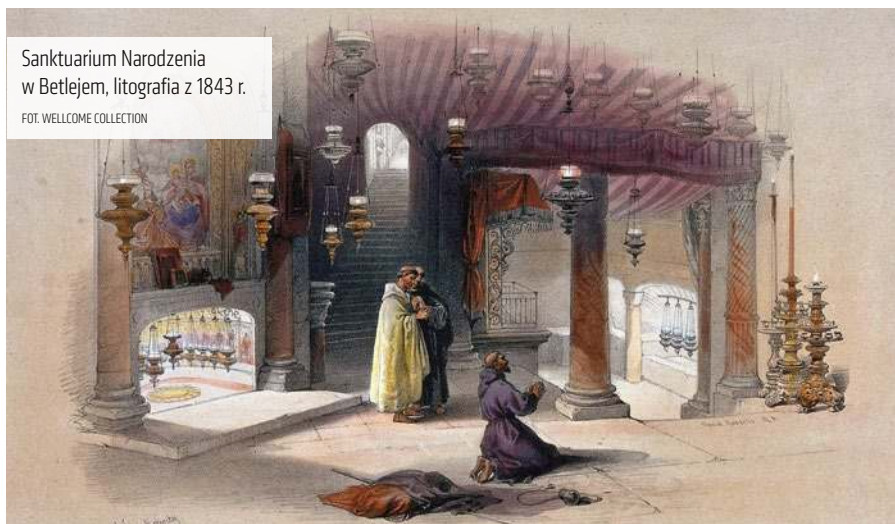
mameluków. Tureckie władztwo przebrwali natomiast Brytyjczycy, pokonując Osmanów w pierwszej wojnie światowej. W chwili, gdy Betlejem weszło w skład imperium osmańskiego, zamieszkiwało je ok. 1,5 tys. osób, z czego 60 proc. stanowili chrześcijanie. Trzysta pięćdziesiąt lat później populacja miasta podwoiła się, a chrześcijanie różnych denominacji stanowili ok. 90 proc. mieszkańców. Pod rządami Brytyjczyków Betlejem znalazło się w granicach terytorium mandatowego Palestyny, do którego w ramach alii zaczęło migrować coraz więcej Żydów. Pojawili się oni również w mieście narodzin Jezusa, choć nigdy nie było ich tu zbyt wielu.

W 1948 r., gdy powstał Izrael, chrześcijanie stanowili 85 proc. mieszkańców miasta, a muzułmanie – 13 proc. Byli to przeważnie greccy prawosławni podlegający Patriarchatowi Jerozolimy oraz rzymscy katolicy. W wyniku wojny arabsko-żydowskiej Betlejem nie znalazło się jednak w granicach nowo powstałego państwa żydowskiego, lecz zostało zajęte przez Jordanię, a Żydzi musieli te tereny opuścić. Uległo to zmianie po wojnie sześciodniowej w 1967 r. W tym czasie zmieniły się jednak proporcje mieszkańców miasta i chrześcijan było już tylko 46 pro., a muzułmanów 54 proc.

Ocenia się, że chrześcijanie stanowią 6 proc. spośród 14-milionowej populacji Palestyńczyków, z których większość mieszka jednak poza Palestyną. W 1946 r., według oficjalnych danych, odsetek chrześcijan wśród arabskiej populacji Palestyny wynosił 12 proc. (145 tys.). W 1948 r. ok. 114 tys. chrześcijan zamieszkiwało tereny, które znalazły się w granicach Izraela, z czego 75 tys. musiało opuścić te tereny, a 39 tys. pozostało. Natomiast na terenach

Sanktuarium Narodzenia w Betlejem, litografia z 1843 r.

FOT. WELLCOME COLLECTION





włączonych do Jordanii mieszkało ich wówczas 35 tys. Obecnie w Izraelu (poza terenami palestyńskimi) jest ok. 190 tys. chrześcijan (ok. 2 proc. całkowitej populacji Izraela) i są to Arabowie, z niewielką liczbą Asyryjczyków i Aramejczyków, przy czym żaden z członków izraelskiego parlamentu nie jest chrześcijaninem. Na terenach Autonomii Palestyńskiej mieszka natomiast ok. 50 tys. chrześcijan, z czego 47 tys. na Zachodnim Brzegu (1,5 proc.) i 1–3 tys. w rządzonej przez Hamas Strefie Gazy (0,1 proc.). Jeszcze w latach 70. chrześcijan na Zachodnim Brzegu było ok. 5 proc. W samym Betlejem liczba chrześcijan do 2016 r. spadła do 11 tys., co czyni to miasto wciąż jednym z większych skupisk palestyńskich wyznawców Chrystusa, ale jest to już tylko 12 proc. całej jego populacji.

DLACZEGO CHRZEŚCIJANIE ZNIKAJĄ?

Spadek liczby chrześcijan często tłumaczy się tym, że mają mniejszy przyrost naturalny niż muzułmanie, a ponadto łatwiej jest im emigrować, gdyż lepiej asymilują się na Zachodzie. Ten drugi argument prowadzi do wskazywania na izraelską politykę wobec Palestyny, w tym na blokadę Strefy Gazy, jako główny powód tego exodusu. Choć nie jest to oczywiście bez znaczenia, to presja występuje jednak także ze strony muzułmańskiej, co wpisuje się w ogólny obraz zanikania chrześcijaństwa na muzułmańskim Bliskim Wschodzie.

W Strefie Gazy istnieją tylko trzy chrześcijańskie kościoły: katolicki, prawosławny i protestancki. Ten ostatni jest w zasadzie zamknięty, gdyż liderzy spo-

łeczności protestanckiej wyjechali z Gazy w 2007 r., po zamordowaniu jednego z nich, Ramiego Ajada, który prowadził też księgarnię chrześcijańską. Natomiast kościół prawosławny został zaatakowany w 2011 r. Niektórzy duchowni chrześcijańscy bronią jednak Hamasu, twierdząc, że ataki były dziełem grup salafickich, przed którymi Hamas ochrania chrześcijan. Chrześcijanie w Gazie nie mogą jednak publicznie świętować Bożego Narodzenia.

Na Zachodnim Brzegu jest lepiej, choć nie idealnie. Artykuł 18 palestyńskiej konstytucji z 2002 r. gwarantuje pełną wolność religijną, ale niektórzy skarżą się na nieformalną dyskryminację, np. w zakresie obrotu ziemią. Większość palestyńskich chrześcijan czuje jednak ścisłą więź ze swoimi muzułmańskimi rodakami i podobnie jak oni skarży się przede wszystkim na utrudnienia ze strony Izraela. Chodzi m.in. o mur, który przechodzi również przez Betlejem, a także o stale rozprzestrzeniające się osiedla żydowskie, których powstawanie jest niezgodne z porozumieniami izraelsko-palestyńskimi z Oslo. Obecnie proces pokojowy jest w zasadzie martwy, a prawdopodobieństwo powstania państwa palestyńskiego bliskie zeru. Powrót Beniamina Netanjahu do władzy i perspektywa wejścia do rządu fundamentalistów ortodoksyjno-syjonistycznych, którzy uważają, że cała Palestyna, aż do rzeki Jordan, powinna należeć do Żydów, jeszcze pogarsza sytuację.

Palestyńscy chrześcijanie, podobnie jak muzułmanie, narzekają na konfiskaty ziemi, restrykcje w poruszaniu się, coraz mniejsze poczucie bezpieczeństwa i ogólne problemy ekonomiczne. Bezrobocie w Betlejem wynosi 27 proc. i jest wyższe od średniej na Zachodnim Brzegu (22 proc.). Tymczasem umowa koalicyjna Netanjahu z partiami religijnych syjonistów przewiduje legalizację osiedli i rozbudowę infrastruktury łączącej je z Izraelem, co oznacza kolejne utrudnienia dla Palestyńczyków, w tym chrześcijan. Można się też spodziewać przychylności rządu dla powstawania kolejnych osiedli, co najprawdopodobniej doprowadzi do nowego walk z Palestyńczykami i być może stanowić będzie gwóźdź do trumny miejscowego chrześcijaństwa, znów wziętego w dwa ognie.

Jednym z głównych źródeł dochodu Betlejem jest turystyka, ale mieszkańcy narzekają, że przyjeżdżający do bazy-

liki Narodzenia Pańskiego spędzają w mieście tylko kilka godzin, po czym wracają na izraelską stronę, a to oznacza, że tylko niewielka część ich wydatków zostaje po stronie palestyńskiej. Sama bazylika, zgodnie z wydanym w 1853 r. przez osmańskiego sułtana Abdülmecida dokumentem, uznanym później w traktacie berlińskim z 1878 r. za akt prawa międzynarodowego, znajduje się pod wspólną pieczęą prawosławnych (Patriarchatu Jerozolimy), katolików oraz Ormian (Kościoła Apostolskiego). W kwietniu 2002 r., podczas drugiej intifady, kilkunastu uzbrojonych bojowników różnych formacji palestyńskich weszło do bazyliki, uciekając przed oddziałami izraelskimi, które wkroczyły do Betlejem. W świątyni znajdowało się wówczas ponad 200 mnichów oraz innych osób, które również się tam schroniły. Izraelczycy rozpoczęli 38-dniowe oblężenie, w trakcie którego dochodziło do ostrzału z obu stron, a ośmiu Palestyńczyków zginęło. Ucierpiała też mocno sama bazylika.

Dokładnie 10 lat później UNESCO na wniosek Palestyny (przyjętej do tej organizacji w 2011 r.) wpisało bazylikę na listę światowego dziedzictwa. Wywołało to spore kontrowersje, gdyż odbyło się w tzw. trybie pilnym, co miało być uzasadnione nagłą koniecznością remontu i utrudnieniami ze strony Izraela w sprowadzaniu odpowiednich materiałów. Chrześcijanie nie byli przy tym entuzjastami tego kroku, gdyż obawiali się, że krytyczne stanowisko Izraela doprowadzi do jeszcze większych komplikacji, co w istocie nastąpiło, a w końcu 2018 r. zarówno Izrael, jak i USA w ogóle opuściły UNESCO.

Różne grupy chrześcijańskie na świecie sprzeczą się, kto jest winny zanikaniu chrześcijaństwa w Palestynie. Sympatyzująca z Izraelem chrześcijańska prawica w USA obarcza winą radykalnych islamistów, wskazując na ogólne zjawisko zmniejszania się liczby wyznawców Chrystusa w krajach muzułmańskich. Według badań Pew Research w latach 1900–2010 odsetek chrześcijan na Bliskim Wschodzie i w północnej Afryce zmniejszył się z 10 proc. do 5 proc. Obecnie, po pożodrze arabskiej wiosny i aktywności Państwa Islamskiego, zapewne jest jeszcze gorzej. Ale sami Palestyńczycy, bez względu na wyznanie, nie darzą Izraela sympatią i mają ku temu powody. To negatywne uczucie jest zresztą odwzajemnione.



W oczekiwaniu na Mesjasza – kapłana



Abraham, Abel i Melchizedek na mozaice w bazylice Sant'Apollinare in Classe w Ravennie (Włochy) FOT. ADOBE STOCK



Paweł Lisicki

Fragmenty książki „Wygnanie Melchizedeka. W jaki sposób Kościół katolicki może odzyskać zagubione sacrum”

Wmyśli Izraela pierwotny syn zajmował wyjątkowe miejsce. Był on w tym najwcześniejszym okresie zawsze kapłanem.

Pierwotny syn otrzymywał błogosławieństwo od ojca i w zamian przekazywał to błogosławieństwo swemu pierwotnemu przed śmiercią. Błogosławieństwo miało niezwykłą moc – dlatego tak bardzo zabiegał o nie Jakub, wydzierając je podstępnie Ezawowi. Ta kapłańska rola pierwotnego syna poprzedzała powołanie urzędowego kapłaństwa. Skoro Adam był w pierwszej mierze kapłanem w raju, to również po upadku taką rolę odgrywali jego synowie i potomkowie. Później tę funkcję wypełniali powołani przez Mojżesza Aaron i jego potomkowie.

Złożenie całopalenia i błogosławienie ludu były przez prawo zastrzeżone dla kapłanów z rodu Aarona. Jest to wyraźny nakaz Boży. „Oddaj więc lewitów Aaronowi i jego synom; winni mu być całkowicie oddani ze strony Izraelitów. Aaronowi i jego synom zlecisz, by pełnili powierzona im służbę kapłańską. Gdyby się zbliżył ktoś niepowołany, ma być ukarany śmiercią” (Lb 3, 9–10). Mimo tego tak Saul, jak Dawid i jego potomkowie wypełniali funkcje kapłańskie.

Ostatecznie to Bóg odebrał kapłaństwo pierwotnym synom i wyznaczył do niego potomków Lewiego. „I rzekł jeszcze Pan do Mojżesza: »Oto Ja wziąłem lewitów spośród synów Izraela na miejsce wszystkich pierwotnych, którzy się narodzili z łona matek, dlatego lewici są moją własnością«” (Lb 3, 11). Niektóre teksty Pisma sugerują, że tym, co ostatecznie sprawiło, że kapłaństwo przeszło z pierwotnych synów na lewitów, był bałwochwalczy kult złotego cielca (Lb 3, 40–51; 8, 16). „Po tym, co zdarzyło się ze złotym cielcem, i prawdopodobnie dlatego, że w ten bałwochwalczy kult uwikłani byli pierwotni, zadania kapłańskie stały się wyłącznym obowiązkiem lewitów” – pisze o. Lane.

Samo pochodzenie – ani w przypadku naturalnych synów, ani później kapłanów

z rodu Lewiego – nie wystarczało. Zawsze potrzebny był zewnętrzny, obiektywny akt, gest, znak, który przenosił niejako człowieka ze stanu profanum do stanu sacrum. Najważniejszym elementem rytuału ordynacji, jak opisał go Mojżesz, było pokropienie kapłanów i ich stroju olejką namaszczenia zmieszaną z krwią zebraną z ołtarza ofiarnego (Wj 29, 21; Kpł 8, 30).

TĘSKNOTA ZA CZYSTOŚCIĄ

Mimo całej wielkości i godności kapłaństwa Izraela czegoś brakowało. „Jeśli bowiem krew kozłów i cielców oraz popiół z krowy, którymi skrapia się zanieczyszczonych, sprawiają oczyszczenie ciała, to o ile bardziej krew Chrystusa, który przez Ducha wiecznego złożył Bogu samego siebie jako nieskalaną ofiarę, oczyści wasze sumienia z martwych uczynków, abyście służyć mogli Bogu żywemu” (Hbr 9, 13–14). W tych dwóch zdaniach zawarte jest chrześcijańskie rozumienie wyższości ofiary Nowego Przymierza nad Starym. To drugie bowiem odnosiło się do oczyszczenia ciała, do tego, co zewnętrzne i rytualne. Dopiero śmierć Chrystusa, nieskalana ofiara, pozwala na oczyszczenie i służbę Bogu żywemu. Chrześcijaństwo zatem nie neguje i nie przekreśla kapłaństwa Aarona, ale dodaje do niego bardzo istotny, kluczowy element: oczyszczenie sumienia i ofiarę skruszonego serca. Nie jest to jedynie rzutowanie chrześcijańskiego rozumowania na tradycję żydowską. Tęsknota za nowym, czystym, duchowym i nieskalanym kultem obecna była w zapowiedziach proroków Izraela.

Wyjątkowo wyraźnie przepowiadał pojawienie się nowego kultu i – co za tym idzie – nowego kapłaństwa Malachiasz.

„Niechby ktoś spośród was raczej zamknął drzwi [świątyni], byście nie zapalali światła na ołtarzu moim nadaremnie. Nie mam Ja upodobania do was, mówi Pan Zastępów, ani Mi nie jest miła ofiara z waszej ręki.

Albowiem od wschodu słońca aż do jego zachodu wielkie będzie imię moje między narodami, a na każdym miejscu dar kadzielnny będzie składany imieniu memu i ofiara czysta. Albowiem wielkie będzie imię moje między narodami – mówi Pan Zastępów” (Ml 1, 10–11).

Na czym miała polegać wielkość imienia Pana między narodami? Prorok wiąże tę wielkość ze składaniem na każdym miejscu daru kadzielnego i ofiary czystej. Słowa te powszechnie były uznawane



■ przez ojców Kościoła za zapowiedź ofiary mszy. Taką interpretację potwierdził i ogłosił uroczyste Sobór Trydentyński. Stwierdził, że Msza Święta jest ową „czystą ofiarą, która nie może być skalana przez niegodność lub złość ofiarującego i o której Pan przez Malachiasza przepowiedział, że ma być składana na każdym miejscu Imienia Jego, które będzie wielkim między narody” (Sob. Tryd. XXII, rozdz. 1). Krytycy współcześni, co zrozumiałe, wychodzą z założenia, że prorok Malachiasz, żyjąc wieki przed narodzinami Chrystusa i ustanowieniem Kościoła, nie mógł myśleć o mszy. W takim razie co chciał powiedzieć?

Nie ma wątpliwości, że prorok co najmniej dostrzegał wypaczenia i niebezpieczeństwo współczesnego mu kultu. Wywoływał on nie Bożą przychylność, ale gniew. „Niechby ktoś spośród was raczej zamknął drzwi [świątyni], byście nie zapalali świeć na ołtarzu moim nadaremnie. Nie mam Ja upodobania do was, mówi Pan Zastępów, ani Mi nie jest miła ofiara z waszej ręki”. Mocne oskarżenie.

Nie wiadomo dokładnie, dlaczego z ust proroka padają tak surowe słowa potępienia. Z dalszej części fragmentu wynika, że być może chodzi o to, że kult Izraela nie przyciąga innych narodów i nie przyczynia się do chwały imienia Pana między nimi. Cokolwiek można powiedzieć o systemie kapłańskim Izraela, nie pozwalał on na to, by imię Pana było wysławiane między narodami. Przeciwnie: im bardziej zazdrośnie Izrael strzegł dziedzictwa, im bardziej pilnował, by w kulcie mogli uczestniczyć jedynie czystej krwi Izraelici, tym bardziej narody odrzucały imię Pana.

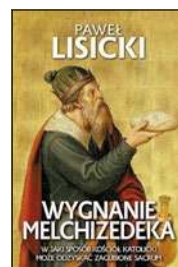
Dodatkowe wskazówki opisujące kształt nowego kultu także można znaleźć w dalszej części proroctwa. Gdy Pan przybędzie do swej świątyni, przepowiedział Malachiasz, oczyści i przetopi lewitów, tak że będą składać ofiarę czystą, cieszącą Boga. Jeśli trzeba przetopi lewitów tak, by składali ofiarę czystą, to znaczy, że współcześni mu lewici, ci, którzy żyli za jego czasów przed Chrystusem, przetopieni nie byli. Wynikało z tego, że nie mogli składać nieskalanej ofiary. „Oto Ja wyślę anioła mego, aby przygotował drogę przede Mną, a potem nagle przybędzie do swej świątyni Pan, którego wy oczekujecie, i Anioł Przymierza, którego pragniecie. Oto nadejdzie, mówi Pan Zastępów. Ale kto przetrwa dzień Jego nadejścia i kto się ostoi, gdy się ukaże? Albowiem On jest jak ogień złotnika i jak

ług farbiarza. Usiądzie więc, jakby miał przetapiać i oczyszczać srebro, i oczyści synów Lewiego, i przecedzi ich jak złoto i srebro, a wtedy będą składać Panu ofiary sprawiedliwe. Wtedy będzie miła Panu ofiara Judy i Jeruzalem jak za dawnych dni i lat starożytnych” (Ml 3, 3–4). Prorok mówi tu wyraźnie dwie rzeczy. Po pierwsze, tym, który przybędzie do świątyni, nie będzie żaden wysłannik lub pełnomocnik, ale sam Pan. Jego przyjście do świątyni poprzedzi misja anioła/postańca, który przygotuje nową teofanię. Po drugie, wraz z Jego zstąpieniem do świątyni nastąpi przemiana kultu lewitów. Zostaną oni przecedzeni i oczyszczeni. Prorok nie określa, kiedy to się stanie.

„Malachiasz nawet, jeśli nieświadomie, przepowiedział Chrystusa i jego kapłanów Nowego Przymierza, ofiarujących eucharystię jako jedyną czystą ofiarę miłą Bogu” – słusznie komentuje o. Lane. Nieświadomie, nie ma wątpliwości, dla siebie i dla swoich współczesnych. Ale przecie, czytając ten tekst, Żydzi musieli zadawać sobie pytanie, na czym będzie polegać oczyszczenie lewitów. Podobnie musieli badać, w czym nowe ofiary będą lepsze i wyższe od tych, które znali. Mogli wnioskować, że w przyszłości dokona się coś podobnego do aktu ustanowienia kapłaństwa lewickiego: Bóg znowu wypowie słowo i znowu znajdzie sobie arcykapłana. Niezależnie od tego, co sądzą na ten temat żydowscy polemici, jest prawdą historyczną, że żadna inna postać historii żydowskiej nie pasuje tak dobrze do portretu naszkicowanego przez Malachiasza jak właśnie Jezus z Nazaretu. Tylko On widział w sobie Pana, tylko On ustanowił nowe kapłaństwo, tylko on doprowadził do tego, by imię Pana chwalone było nie tylko w wąskim kręgu narodu żydowskiego, lecz także przez wszystkie narody świata.

POGANIE PRZY OŁTARZU

Ta sama tęsknota za nową, czystą ofiarą wybrzmiewa w tekstach proroka Izajasza. Izajasz 56, 6–7 zawiera obietnicę Boga, że obcy będą składać całopalenia i ofiary na świętej górze, a Bóg przyjmie je na swoim ołtarzu. „Całopalenia ich [cudzoziemców] oraz ofiary będą przyjęte na moim ołtarzu, bo dom mój będzie



PAWEŁ LISICKI
„WYGNANIE MELCHIZEDEKA. W JAKI SPO-SÓB KOŚCIÓŁ KATOLICKI MOŻE ODZYSKAĆ ZAGUBIONE SACRUM”
WYDAWNICTWO FRONDA 2022

nazwany domem modlitwy dla wszystkich narodów”. Do tej zapowiedzi bezpośrednio nawiązuje sam Jezus, gdy wkracza do Świątyni Jerozolimskiej. W Izraelu, czego niektórzy zeświecczeni teologowie nie są w stanie pojąć, dosłownie wszystko krąży wokół kultu.

Izrael został powołany przede wszystkim po to, by składać Bogu ofiarę, by oddawać Mu cześć we właściwy sposób. Sensem istnienia Izraela nie była potęga, dążenie do ziemskiej wielkości, podbój, podporządkowanie sobie innych ludów, dominacja i siła.

Pierwszym i najważniejszym powodem, dla którego Bóg wyprowadził lud z ziemi egipskiej, była troska o kult. Na ziemi Egipcjan nie można było składać Bogu właściwych ofiar.

Kiedy zatem Izajasz wspomina o całopaleniach cudzoziemców, które będą przyjęte na ołtarzu Boga, to zapowiada coś, z perspektywy swoich współczesnych, całkiem niebywałego i niesłychanego. Troska o świętość ołtarza Jahwe wymagała, by chronić go od wszelkiego kontaktu z tym, co świeckie i nieczyste. Kiedy Bóg objawia się na górze Synaj, mówi do Mojżesza: „Oznacz ludowi granicę dokoła góry i powiedz mu: Strzeżcie się wstępować na górę i dotykać jej podnóża, gdyż kto by się dotknął góry, będzie ukarany śmiercią. Nie dotknie go ręka, lecz winien być ukamienowany lub przeбит strzałą. Człowiek ani bydło nie może być zachowane przy życiu” (19, 12–13). Bóg wyznaczył świętą granicę wokół góry, potem ta sama granica objęła Przybytek i świątynię w Jerozolimie.

Poganie byli, ze względu na udział w praktykach bałwochwalczych, naturalnie nieczyści. Nie chodziło tu wprawdzie o rasizm, jak utrzymują dziś niektórzy, co nie zmienia faktu, że poganin był z natury skażony rytualnie. Nie wolno im było przestępować ściśle wytyczonych granic, separujących ich od świątyni i świętego świętych. Znane z historii przypadki złamania tej reguły – przez Antiocha IV Epifanesa w roku 170 przed Chr. lub przez Pompejusza Wielkiego w roku 64 przed Chr. – uznawane były za prawdziwe narodową tragedię. W obu przypadkach zadecydowała siła – Żydzi nie byli w stanie obronić się przed brutalną ingerencją. Kiedy podobny pomysł pojawił się kilka



lat po śmierci Jezusa i świątynię zamierzał zbezczęścić Kaligula, kraj stanął na progu wojny. Gdyby nie rozsądek, zimna krew i odwaga Petroniusza, rządcy Syrii, doszłoby zapewne do wojny. Na co dzień, przed wybuchem powstania w 66 r. po Chr., Rzymianie przestrzegali zasad żydowskiej autonomii religijnej. Dlatego poganie mieli wstęp jedynie na zarezerwowany dla wszystkich dziedziniec. Poganin, który nie respektował przepisów, sam na siebie ściągał śmierć: taki był sens owej dziwnej gramatycznej formy napisu na tablicach w Świątyni Jerozolimskiej.

Dopiero kiedy pamięta się o tym, można dostrzec szokującą treść przesłania Izajasza. On nie tylko zapowiada dopuszczenie pogan do sanktuarium, ale, jakby tego było mało, mówi, że na ołtarzu Świętego jedynego, w tym nieskalanym i najbardziej sakralnym miejscu na ziemi, Bóg przyjmie całopalenia cudzoziemców. Przyjmie ich ofiary tam, gdzie wolno je było składać wyłącznie Izraelitom, i to nie wszystkim, ale do tego wyznaczonym, właśnie kapłanom. Przyjmie je jako właściwą formę kultu – bo świątynia będzie domem modlitwy wszystkich ludów.

Tekst Izajasza 56, 6–7 zawiera szokującą przepowiednię, że cudzoziemcy będą składali ofiary w świątyni – słowo użyte w tekście, „sarai”, zwykle opisuje służbę liturgiczną. Prorok widzi pogan, którzy składają ofiary w Jerozolimie. Okazuje się zatem, że według Izajasza także cudzoziemcy będą pełnić służbę Bożą w przyszłym czasie. „Aby eunuchy i poganie mogli »służyć« Panu, wejść do Jego domu i złożyć ofiarę, którą On przyjmie – stanie się to w czasie przybycia Mesjasza, którego Izajasz zwykle nazywa »sługą Pańskim« – niektóre aspekty prawa Mojżeszowego musiały zostać zniesione lub co najmniej w części unieważnione” – zauważa John Bergsma.

„Fragment ten pominięto w zwojach kumrańskich może dlatego, że idea ta była tak odpychająca” – komentuje o. Lane. Jeśli taki był istotny motyw tej decyzji mieszkańców Kumran – nie mogli znieść myśli, że poganie będą składali ofiary w Jerozolimie – to wynikają z tego dwie rzeczy. Po pierwsze, swego rodzaju kurczenie się świadomości religijnej Izraela. Troska o czystość rytualną doprowadziła do usuwania nawet wyroczni Bożej, jeśli ta nie zgadzała się z wrażliwością religijną Żydów. Izrael nie był już światłem dla pogan, miał być ich sędzią i oskarżycielem. Pierwotny zamysł Boży ulega tu zwęże-

niu. Po drugie, usunięcie tekstu pokazuje też, że cenzorzy liczą się z niebezpieczeństwem, jakie on w sobie niósł. Czy nie wskazuje to na to, że również w tym czasie w Izraelu żyli pobożni wyznawcy, którzy słowa Izajasza brali na poważnie i czekali na moment, kiedy do świątyni Boga jedynego popłyną ludy pogan?

OBIETNICA DLA DAWIDA

Ze wszystkich tych tekstów wynikało jednoznacznie oczekiwanie na nową postać kultu. To one były podstawą nadziei na nową, czystą ofiarę, na kult, który przyciągnie do Jerozolimy narody. Z tego punktu widzenia nie mniejszą wagę miały proroctwa zawarte w psalmach, powszechnie przypisywanych w większości królowi Dawidowi. Otóż jedno z najważniejszych proroctw wyraźnie mówi, że przyszedł Mesjasz będzie nie tylko królem, co do godności równym Bogu, lecz także arcykapłanem na wzór Melchizedeka. To drugi fragment Starego Testamentu wspominający o tej tajemniczej postaci króla Salemu. Ale jakże ważny! Dawid wyraźnie zapowiada:

„Pan przysiągł
i żał Mu nie będzie:

»Tyś Kapłanem na wieki
na wzór Melchizedeka«” (Ps 110, 4).

To najbardziej uroczysta forma przysięgi i zobowiązania się: „Pan przysiągł” – mówi prorok. Co jest jej treścią? „Tyś Kapłanem na wieki na wzór Melchizedeka”. Czyli, po pierwsze, tyś. W sensie historycznym to konkretny król, do którego skierowane są słowa psalmu. Może był to sam Dawid, może któryś z jego następców. Ważniejsze jest co innego: król ma kapłaństwo na wieki! Nie jest kapłanem jednorazowo i przypadkowo. Nie, jest nim na wieki. Jak to rozumieć? Tylko w ten sposób, że każdy król z dynastii Dawida jest jednocześnie kapłanem. Jeszcze ciekawsze jest inne pytanie: Co to znaczy na wzór Melchizedeka? Na pewno słowa te przeciwstawiają sobie dwa porządki kapłaństwa: jeden to kapłaństwo Aarona, lewickie, to, które ustanowił Mojżesz. I drugi, na wzór Melchizedeka, o którym wiemy jedynie dzięki opisowi z Księgi Rodzaju oraz, pośrednio, dzięki przekazom historycznym na temat kapłańskiej działalności samego Dawida i jego potomków. Co do tego, że Dawid wypełniał funkcje kapłańskie, Biblia – wspominałem już o tym – nie pozostawia wątpliwości. „Dawid wraz z całym domem izraelskim prowadził

Arkę Pańską, wśród radosnych okrzyków i grania na rogach. [...] Przyniesioną więc Arkę Pańską ustawiono na przeznaczonym na to miejscu w środku Namiotu, który rozpiął dla niej Dawid, po czym Dawid złożył przed Panem całopalenia i ofiary biesiadne. Kiedy Dawid skończył składanie całopaleń i ofiar biesiadnych, pobłogosławił lud w imieniu Pana Zastępów” (2 Sml 6, 15–18).

Opis ten jest jasny: Dawid składał całopalenia dla Boga i błogosławił lud – funkcje zastrzeżone dla kapłanów z rodu Aarona. A jednak przekaz ten dotarł do nas nienaruszony. Podobnie ta sama Księga Samuela mówi, że kapłanami byli potomkowie Dawida. „Synowie Dawida byli kapłanami” (2 Sml 8, 18). Pojawia się proste pytanie: W jaki sposób Dawid i jego synowie, którzy nie byli lewitami, mogli być kapłanami? I drugie: Jak to możliwe, że przekazy te dotarły nienaruszone, mimo że to kapłani lewicy troszczyli się o czystość i wiarygodność Pisma? Sposób opisu sugeruje, że kapłańska działalność króla nie powodowała zgorszenia i oporu. Fakt, że opis do nas dotarł, pokazuje, że kapłani także to akceptowali. Wydaje się, że można to wyjaśnić tylko w jeden sposób, odwołując się do Psalmu 110.

Najwyraźniej kapłaństwo Dawida i jego potomków pochodziło od Melchizedeka. Prawdopodobnie namaszczenie na króla w Jerozolimie łączyło się z otrzymaniem urzędu kapłaństwa. Izraelici uważali, że jest ono ważne, gdyż pochodziło bezpośrednio od Sema, syna Noego, którego tradycja utożsamiała z Melchizedekiem. A Melchizedek, gdy wyszedł na spotkanie Abrahama, był królem-kapłanem Jerozolimy. Z tego powodu Dawid otrzymał po nim prawo do sprawowania funkcji kapłańskich. Dawidowi złożono zatem dwie obietnice. Po pierwsze, z ust proroka Natana usłyszał, że jego dom i potomkowie będą panować na wieki. „Przedemną dom twój i twoje królestwo będzie trwać na wieki. Twój tron będzie utwierdzony na wieki” (2 Sml 7, 16). Po drugie, z królestwem tym wiązało się nierozdzielnie kapłaństwo według wzoru Melchizedeka: „Tyś kapłanem na wieki według wzoru Melchizedeka”. Od tej pory każdy potomek Dawida rościł sobie prawo do królowania i kapłaństwa. Logiczne jest zatem, że jeśli Jezus z Nazaretu był następcą Dawida, to uważał siebie nie tylko za króla, lecz także za kapłana według porządku Melchizedeka.



Z prof. Ryszardem Legutką,
europosełem PiS
rozmawia Paweł Chmielewski

Bruksela notorycznie łamie podstawowe zasady

PAWEŁ CHMIELEWSKI: W wydanej kilka lat przed pandemią książce „Czwarta rewolucja przemysłowa” Klaus Schwab, prezes Światowego Forum Ekonomicznego, przepowiadał nieuchronny zmierzch państw narodowych. Czy rozwój Unii Europejskiej nie dowodzi, że wizja ta rzeczywiście jest stopniowo realizowana?

PROF. RYSZARD LEGUTKO: Kiedy ruszał proces integracji europejskiej, Konrad Adenauer powiedział, że za kilkadziesiąt lat nie będzie już państw narodowych. Minęło już jednak więcej nawet lat, a państwa narodowe nie chcą zniknąć. Po wojnie uważano, że

ten proces nastąpi samoczynnie. W Niemczech i we Francji panowało poczucie ogólnego kryzysu i załamania. Dzisiaj nikt już nie mówi o samoczynnym zanikaniu państw narodowych i spontanicznym tworzeniu się na ich miejsce demosu europejskiego – i to pomimo tego, że mamy kosmopolityczną kulturę masową. Słuchać teraz raczej o planowym likwidowaniu państw narodowych. Jest zadziwiające, że elity polityczne krajów zachodnioeuropejskich, które dysponują silną suwerennością polityczną, podtrzymują cały czas tę reto-

rykę. O ile w przypadku Francji i Niemiec można sądzić, że chodzi o przechwycenie tego procesu dla celów wzmocnienia własnego państwa, o tyle mniejsze kraje, jak Belgia czy Holandia, mogą mieć nadzieję na rolę „bliskich kuzynów”. W przypadku Europy Wschodniej nie ma szans nawet na taką rolę. Jeżeli plan likwidacji państw narodowych się ziszczy, to nie będziemy kuzynami, ale rezydentami.

Może w zachodniej Europie taka retoryka ma uspić czujność społeczeństw podobnych do pol-



FOT. ADAM STOLK

skiego i nakłonić je do wspierania sił politycznych niechętnych państwu narodowemu, co pozwoli Zachodowi na zwiększenie swoich wpływów?

Do pewnego stopnia tak rzeczywiście jest. Wchodziliśmy do UE z przekonaniem, że Polska i inne kraje naszego regionu się wzmocnią: usiądziemy razem przy stole, a dobrzy ludzie z zachodu Europy będą nam pomagać; gdy to się już stanie, zaczniemy odgrywać większą rolę. Tymczasem strona zachodnia patrzyła na nas jak na problem, widząc grupę krajów, które trzeba kontrolować, bo

są nie tylko zacofane, lecz także nieprzewidywalne. To doprowadziło do wzrostu ambicji politycznych na Zachodzie.

To by zakładało, że te ambicje były kiedykolwiek nie tak wielkie.

Myślę o instytucjach europejskich. Chciały się dzięki nam wzmocnić. Nie mogły przecież poprawić swojej pozycji kosztem Francji, Niemiec, Włoch czy wówczas jeszcze Anglii; to byłoby niesłychanie trudne. Natomiast w stosunku do krajów Europy Wschodniej – jak najbar-

ziej. Przecież duża część społeczeństw państw wschodnioeuropejskich sama chciała zostać wzięta pod takie skrzydła. Jeżeli teraz instytucje europejskie odniosą zwycięstwo nad tendencjami suwerennościowymi we wschodniej Europie, to będzie to ich wielki triumf. Ogromnie zależy im na pacyfikacji naszych krajów. Bo przecież nie tylko politycznie się wzmocnią, lecz także przemogą to, co postrzegane jest jako anachroniczne – te wszystkie konserwatywne i narodowe postawy, które miałyby wynikać z zapóźnienia.

Przez całe lata prawicowi politycy sprzyjający obecności Polski w Unii mówili o jej przemianie. Wielokrotnie słyszeliśmy to również od PiS.

To są dwie kwestie. Jedna dotyczy samego początku łączenia się z Unią. Myśmy niemądrze wówczas uważali – mówię my, bo ja też wówczas ten błąd popełniłem – że wchodząc do Unii jako swoisty czeladnik, bardzo szybko przyuczymy się i już niedługo będziemy wśród zarządzających. Wyobrażaliśmy sobie też, że Unia to miejsce, gdzie państwa dzielą się doświadczeniami, więc sądziliśmy, że i my coś wniesiemy, np. nasz katolicyzm, nasze przywiązanie do historii, bo przecież Europa Zachodnia straciła duszę, a my możemy ją jej dać. Federalistyczne hasło „Donner une âme à l'Europe” [pol. „Dać duszę Europie”] my interpretowaliśmy po swojemu, czyli jako częściową rechrystianizację Unii. To była skrajna naiwność – i to naiwność na poziomie logiki politycznej, a także złego rozpoznania, czym Europa wówczas była. Ale to problem przeszły. Dzisiaj istotna jest inna kwestia – czy uda się wzmocnić konserwatywną stronę w Unii i tutaj gra nadal się toczy.

Kancelerz Niemiec Olaf Scholz zaproponował niedawno rozszerzenie Unii o państwa Bałkanów Zachodnich i likwidację jednomyślności w Radzie UE. Pan scenariusz realizacji tych pomysłów określił mianem finis Poloniae. Czy to oznacza, że dzisiaj w ogóle nie wierzy pan już w możliwość przekształcenia UE?

Nie, przy obecnym stanie rzeczy nie może dojść do żadnej reformy. Po co monopolista dzierżący pełnię władzy miałby się reformować? Aby doszło do reformy, należy zbudować mniejszość blokującą pewne zmiany. Dlatego zasada jednomyślności jest kluczowa. Jeżeli to zostanie przegłosowane, to rzeczywiście mamy finis Poloniae.



Pytanie, czy znajdują się siły gotowe do stoczenia realnego boju o zatrzymanie tego kierunku. Czy w pańskiej ocenie w Zjednoczonej Prawicy jest świadomość, że główni gracze Unii nie wyrzekną się zamiarów realizacji planów federalizacji promującej ich samych?

Myślę, że tak. Przez długi czas panowało przekonanie, że w tych kwestiach da się negocjować. Wiedzano oczywiście, że jest w Europie grupa trzymająca władzę, ale uważano, że da się dojść do porozumienia na zasadzie standardowych negocjacji politycznych czy handlowych. Niektórym politykom i publicystom z prawej strony trudno było uznać, że ta Europa Zachodnia, na której przez wieki staraliśmy się wzorować, a która wciąż jest dla wielu wizytówką cywilizacji, ładu i dobrobytu – że ta Europa notorycznie łamie podstawowe zasady. Nie jest wcale proste dojść do takiego wniosku i go wewnętrznie zaakceptować.

Obecny stan rzeczy w niemałej mierze zdaje się wskazywać, że ci, którzy optowali za dość bezrefleksyjnym wejściem Polski do UE, popełnili po prostu błąd polityczny. Nie dało się tego uniknąć?

Cóż, teraz jesteśmy mądrzy po szkodziu. Ja pamiętam, jak to było, gdy komunizm upadał. Dla nas Europa była wielką kulturą – i ta kultura, tak to sobie wyobrażaliśmy, odzwierciedla się również w Unii. Ten bajeczny obraz Europy był fałszywy, a politycznie szkodliwy. Historia Europy ostatnich ponad stu lat to dwie wojny światowe, stworzenie systemów totalitarnych, zarówno koncepcyjne, jak i realne, akomodacja Zachodu najpierw do narodowego socjalizmu, a później do komunizmu, cała seria oszustw, kłamstw, tchórzostwa, których Polska padała ofiarą. Wreszcie rewolucja seksualna, która dokonała spustoszenia w sferze publicznej, kulturowej i społecznej. Myśmy jakoś o tym nie chcieli pamiętać. Myśleliśmy raczej, mówiąc w uproszczeniu, Shakespeare, Goethe, Homer, Bach... A biorąc pod uwagę, że ogromna część narodu chciała stać się częścią zachodniej organizacji utożsamianej z demokracją i dobrobytem, trudno było powziąć inną decyzję. Pamiętajmy także, że Unia tamtych lat to była Unia przed Lizboną i jej konsekwencjami.

A gdyby dzisiaj UE nie promowała ideologii lewicowych? Czy Polska powinna angażować się w projekt federalistyczny, gdyby – używając znane go pojęcia – perspektywa jego „rechrystianizacji” stawała się realnością?

Nie sądzę, by w takim dość przecież teraz hipotetycznym wypadku utrzymać się miały tendencje federalistyczne. Tradycja konserwatywna nie jest tak konstruktywistyczna. Oczywiście Anglicy mieli swoje imperium, ale to było imperium brytyjskie, nie europejskie...

... ale główna siła konstytuująca Unię, Niemcy, mają długą tradycję myślenia w kategoriach imperialnych, nie tylko cesarską, lecz także pruską. W pewnej mierze to jest niezależne od ideologii, więc możliwe także w perspektywie bardziej prawicowej.

Niewątpliwie. Wydaje mi się jednak, że konserwatywne emocje i skłonności nie są dzisiaj tak łatwe do wprzęgnięcia w uniwersalistyczne konstrukcje, choć nie mówię, że byłoby to niemożliwe. Jeśli jednak jedną z cech konserwatyzmu jest obrona tożsamości, a tożsamość wiąże się z językiem, z ciągłością, to nie jest tak łatwo zaangażować się we wspólne przedsięwzięcie, które byłoby czymś więcej niż jakimś przedsięwzięciem gospodarczym.

My co pokolenie lub co dwa przeciwstawiamy się siłom, które wydają się mieć szansę nas unicestwić

Pewne europejskie kręgi prawicowe wydają się jednak być żywo zainteresowane np. projektem Wielkiego Przebudzenia Aleksandra Dugina, stworzenia europejskiego imperium z dominantą niemiecko-rosyjską, o cechach konserwatywnych. W Niemczech bliska temu jest AfD, z którą niektórzy w Polsce chcieliby współpracować. Wróć do pytania: Czy taki federalizm w prawicowej UE byłby rozsądny?

Tego projektu teraz realnie nie ma, więc podkreślam, że sprawa jest mocno hipotetyczna. Jeżeli jednak chce pan zdać moje zdanie, to odpowiedź brzmi: nie. Bezpieczeństwo i wolność zależą od naszej własnej kontroli nad mechanizmami, które mogą je zagwarantować. Oczywiście możemy to wszystko spać i sami zafundować sobie nieprzyjemne skutki, ale to będzie nasza decyzja. Jeżeli oddamy władzę i wejdziemy w jakikolwiek organizm ponadnarodowy, to wszelka kontrola, odpowiedzialność, możliwość rozliczania – to wszystko będzie bardzo nieczytelne. Nie, to nie jest słuszna droga.

Nie czułbym się dobrze nawet w konserwatywnym Parlamencie Europejskim. Zresztą w konserwatywnej Europie takiego parlamentu by nie było.

Przyszłość Polski leży zatem wyłącznie w ramach suwerennego państwa narodowego?

Suwerenność to jest zasada podstawowa. Państwo albo istnieje, albo nie. Oczywiście suwerenność nigdy nie jest pełna. Gdy podpisujemy jakieś traktaty, to one nas ograniczają; może to być czasami dość głębokie. Ciągłe istnieje jednak opcja „free exit”. Natomiast w takich ponadnarodowych centralistycznych strukturach żadnego „free exit” nie ma. Dlatego ja doskonale wyobrażam sobie Polskę, która jest częścią jakiejś Europy ojczyzn, takiej – przy pewnych zmianach – struktury zintegrowanej sprzed Maastricht. To jest coś, co mogę rozważać. Unii politycznej – nie, tak samo monetarnej. To, co się stało w Maastricht, to jest kierunek zgubny.

Żeby opcja „free exit” była realna, musi towarzyszyć jej dyskusja. W Zjednoczonej Prawicy o polexicie nadal się nie mówi. Chodzi tylko o wzgląd na wyborców czy to jest kierunek strategiczny?

Polexit nie istnieje jako realny pomysł polityczny. Nikt w Zjednoczonej Prawicy tego nie rozważa i to wcale nie z powodu braku śmiałości. Po pierwsze, nie ma przyzwolenia społecznego na taki ruch, co już czyni całą kwestię bezprzedmiotową. Po drugie, nie da się dzisiaj wypracować realnej strategii działania po hipotetycznym wyjściu z Unii; nie mamy polskiego Commonwealthu, nie jesteśmy też wystarczająco silni i atrakcyjni jako partner nowych umów z innymi państwami. Po trzecie wreszcie, absorbowanie naszych umysłów hipotetycznym polexitem odciąga nas od pilnowania aktualnej sytuacji, bo może powodować złudne przekonanie, że wyjście z Unii wszystko załatwi. Bardziej racjonalne – choć piekielnie trudne – jest działanie na rzecz złamania dzisiejszego monopolu politycznego w Unii.

Od chwili agresji Rosji na Ukrainę widzimy pewne ruchy w kierunku zacieśniania integracji w naszym regionie, celem budowy solidniejszego frontu antyrosyjskiego. Każdemu Polakowi przywołuje to na myśl czasy przedrozbiorowe. Może nasza przyszłość leży zatem nie tyle w ramach państwa narodowego, ile w unii – wszelako regionalnej?

Chciałbym nawiązania ściślejszej współpracy politycznej w naszym regio-



FOT. THIERRY ROUGE / EBU

nie. O ile Europa Zachodnia występuje jako całość dość jednoznacznie wobec wschodniej Europy, o tyle Europa Wschodnia jest podzielona i nie chce działać wspólnie: bo jest słabsza, bo kraje są małe, nie chcą antagonizować, są historyczne zaszczości, stare animozje, resentymy. Dla mnie scenariusz marzeń, może nie ostatecznych, ale na najbliższe dziesięciolecie, to jest właśnie ścisły alians wschodniej i środkowej Europy – środkowej, bo włączyłbym również takie kraje jak Rumunia, Bułgaria czy Chorwacja. Chciałbym, żeby udało się stworzyć coś w rodzaju wspólnego frontu. Byłoby bardzo dobrze, gdyby Europa Wschodnia występowała bardziej solidarnie – choć nie jako jednolity podmiot, bo to niemożliwe i niezalecane, ale w daleko posuniętej koordynacji działań – bo my i tak mamy wspólne interesy. Problemem jest jednak to, że w krajach tych są silne partie uległości. Polska jest tu najlepszym przykładem: mamy jedną trzecią społeczeństwa, które wyraźnie domaga się oddania niepodległości.

I znajduje polityków chętnych do realizacji tych postulatów.

Wie pan, mnie to zawsze zadziwia. Bo polityka to działanie, które zmierza do zdobycia większej władzy. Władza jest jednym z potrzebnych po to, żeby się wzbogacić, innym – żeby działać na rzecz ojczyzny. Natomiast tamta strona w Polsce chce władzy, żeby tę władzę oddać. To jest patologiczna wersja polityki. Gdy słyszę, że oni zgadzają się na likwidację zasady jednomyślności... Jak wówczas

wyglądałaby Polska? Niestety, fakt, że ten patologiczny nurt, obecny zresztą w całej wschodniej Europie, można jakoś tłumaczyć historycznie, nie czyni go w żadnej mierze mniej absurdalnym i szkodliwym.

Może część Polaków uważa, że nasz kraj zyska, jeżeli Europa będzie centralistyczna i zdolna do konkurowania z Chinami, Rosją i nawet USA?

Nie wiem, czy o to chodzi. Jest duża grupa ludzi organicznie podatnych na sterowanie z zewnątrz. Chcą być kierowani, mieć poczucie pewności, że są w nurcie, który płynie w bezpieczną stronę. To reminiscencja polskiej tradycji oświeceniowo-pozytywistycznej, tak jak w „Panu Tadeuszu”, gdzie Podczaszy chce „reformować, cywilizować i konstituować” według wzorców francuskich. Teraz też jest taka próba reformowania, cywilizowania i konstituowania wedle poleceń unijnych. Rzecz w tym, że my możemy być w tym projekcie wyłącznie wykonawcami decyzji zewnętrznych. Centrala będzie gdzie indziej, w Brukseli, Paryżu czy Strasburgu. Niestety, część polskiego społeczeństwa po prostu nie chce suwerenności i marzy o tym, jakby to było pięknie, gdyby jej nie było...

Polityczne rozstrzygnięcia są niewątpliwie kluczowe, ale także pod władzą PiS postępuje błyskawiczna „desuwerenizacja” naszego myślenia. Polacy odchodzą od katolicyzmu, a co za tym idzie – od całej polskiej tradycji kulturowej. Czy Polska, w której mentalnie dominują apostości, ateści i genderyści, będzie jeszcze Polska?

Odpowiadam zdecydowanie: nie. Nie wiem, co to będzie, ale to z pewnością

nie będzie Polska Kochanowskiego, Skargi, Mickiewicza i Chopina. Co można z tego wyrzesać? Przy takich zmianach nie obronimy zresztą suwerenności na planie politycznym. Bo broni się jej po to, żeby zachować tożsamość, poczucie związku z miejscem, z historią, żeby mówić swoim językiem, podejmować decyzje, działać w sferze rozpoznawalnych symboli, przekazywać coś przyszłym pokoleniom, czerpać z przeszłych. Jeżeli tego zabraknie, to nie będzie żadnego zapotrzebowania na suwerenność. Ja na zachodzące dzisiaj niekorzystne zmiany patrzę inaczej niż pan. Właśnie dlatego, że konserwatywna część polskiego społeczeństwa o nastawieniu konserwatywnym zorganizowała się politycznie, i to w stopniu zupełnie wyjątkowym, niewyobrażalnym przed trzema dekadami, wywołuje wścieklą reakcję wewnątrz kraju i na zewnątrz. A ponieważ bycie papugą narodów jest u nas zakorzenione, ta reakcja papuziego płemienia jest właśnie taka – głośna, prymitywna, wściekła i niemożliwie głupia.

A zatem niechże i PiS obroni jednomyślność przeciwko Scholowi. Ale cóż z tego, skoro Polacy pozwalają się ideologicznie kolonizować? Jak proponuje pan te tendencje zatrzymać?

Tu nie ma prostych odpowiedzi. Przeciwnik jest dziś trudny, pod wieloma względami trudniejszy niż w przeszłości: nie można mu wydać wojny, nie można pójść do lasu, by z nim walczyć. Polska kolejny raz znalazła się nad przepaścią. Polskie problemy zresztą nigdy nie mają takiego charakteru, że będzie trochę gorzej albo trochę lepiej, trochę w lewo albo trochę w prawo. Nie, zawsze są takie, że albo będziemy – albo nie będziemy istnieć. Naszą kondycję dobrze odzwierciedlają pierwsze słowa hymnu: „Jeszcze Polska nie zginęła”. To zawsze śmieszcy cudzoziemców; gdy to się przetłumaczy np. na angielski, „Poland is not lost yet”, to, przynajmniej, brzmi dość głupawo. Natomiast po polsku brzmi to bardzo godnie i to nie tylko dlatego, że się przyzwyczailiśmy do naszego hymnu, ale dlatego, że to dokładnie pokazuje naszą sytuację: my co pokolenie lub co dwa przeciwstawiamy się siłom, które wydają się mieć szansę nas unicestwić. Sztuka jest zawsze ta sama, zmieniają się tylko dekoracje i kostiumy. A więc dopóki jesteśmy, dopóty będziemy starać się Polskę ocalić przed samounicestwieniem.



Piotr Semka

Epoka Jarosława Gowina dobiegła końca i aż się prosi, aby podsumować fenomen polityka, który ściągnął na siebie aż tak dużą niechęć zarówno z prawej, jak i z lewej strony

Na nadzwyczajnym kongresie partii Porozumienie w Warszawie 10 grudnia Jarosław Gowin zrezygnował z funkcji przewodniczącego tego ugrupowania. Decyzja nastąpiła ponad rok po tym, jak Jarosław Gowin trafił do szpitala. Wówczas jedni mówili o głębokim załamaniu nerwowym, a inni posuwali się nawet do tezy o próbie samobójczej znanego polityka. Gowin na początku bieżącego roku wyszedł w końcu ze szpitala i – co gorsze (dla niego samego) – przekonywał, że jest „silniejszy niż kiedykolwiek”.

Kolejne miesiące brutalnie zweryfikowały te dość buńczuczne deklaracje. Lider Porozumienia próbował się prezentować jako jeden z równoprawnych twórców jakiegoś bloku centroprawicowego opierającego się na PSL i Polsce 2050 Szymona Hołowni.

20 września bieżącego roku byli prezydenci Aleksander Kwaśniewski i Bronisław Komorowski w 25. rocznicę rozpoczęcia postępowania akcesyjnego Polski do NATO zaprosili przywódców obecnej opozycji na spotkanie programowe. Okazało się, że zaproszenie dla Gowina było wyłącznie pomysłem Komorowskiego. Fala krytyki, która wezbrała po tym zaproszeniu, uświadomiła Gowinowi, jak bardzo jest nieakceptowany w tym gronie. Musiały jednak minąć kolejne trzy miesiące, zanim szok Gowina z 20 września przełożył się na decyzję o ostatecznym odejściu z funkcji lidera Porozumienia. Towarzyszyły temu złowrogie deklaracje Donalda Tuska, że Gowin „szybciej sam będzie rozliczany, niż będzie kogokolwiek rozliczać”.

Epoka Gowina więc się zakończyła i aż się prosi, aby podsumować fenomen polityka, który ściągnął na siebie aż tak dużą niechęć zarówno z prawej, jak i z lewej strony. Jego losy mogą służyć do rozważań o specyfice politycznego rozwoju wydarzeń w III RP. Doskonale pasują do perypetii innych niespełnionych polityków, głównie z prawej strony polskiej sceny



FOT. TOMASZ JORDZEWSKI/REPORTER

Jaka smutna katastrofa

politycznej – począwszy od Aleksandra Halla, przez Bronisława Komorowskiego, Wiesława Walendziaka, a skończywszy na Ryszardzie Petru.

SYNDROM CUDOWNEGO DZIECKA

Pierwsze skojarzenie, które nasuwa się i łączy losy Jarosława Gowina z Wiesławem Walendziakiem, to specyficzny początek kariery, który wiązano z ogromnymi nadziejami. Zarówno Gowin, jak i Walendziak należeli do tej samej generacji – Walendziak urodził się w 1962 r., a Gowin rok wcześniej. Obaj wchodzili do polityki w epoce opozycji, gdy indywidualny rozwój intelektualny łączył się z politycznym aktywizmem. Obydwaj byli katolikami zaangażowanymi w duszpasterstwo akademickie i obaj zyskali status cudownych dzieci swoich środowisk. W wypadku Walendziaka było to środowisko Ruchu Młodej Polski, a w wypadku Jarosława Gowina – specyficzny krakowski światek prosolidarnościowej inteligencji katolickiej.

Epoka Jana Pawła II w swojej najbardziej dynamicznej fazie pchnęła ich do aktywności w NZS, a potem w konspiracji. Obaj jednak nigdy nie zastanawiali się chyba dokładnie, czy są politykami czy też katolikami intelektualistami. To rozdwojenie dało o sobie znać po 1989 r. Kiedy otworzyły się możliwości do działania partii politycznych, obaj wahali się między rolą czynnych polityków a rolą ludzi budujących media czy tkankę instytucji katolickich. Charakterystyczna była w tym poza osób, które uważały politykę za coś wulgarnego i sprzecznego z etosem katolickiego i konserwatywnego

intelektualisty. Jednocześnie gdy zaczęli budować instytucje – czy to medialne, jak Walendziak, czy to Wyższą Szkołę Europejską im. ks. Józefa Tischnera mającą być kuźnią kadr dla ludzi o wrażliwości chrześcijańskiej, jak Gowin – odkrywali, że bez oparcia polityków niewiele zwojują.

Zarówno Walendziak, jak i Gowin długo nie chcieli przyjąć do świadomości, że w Polsce odbywa się bardzo ostry konflikt cywilizacyjny między częścią Solidarności sprzymierzoną z postkomuną a tymi, którzy wskazują na brak rozliczeń III RP z poprzednim systemem. Obaj zakładali, że jako cudowne dzieci, które wyłoniły się jak z piany morskiej epoki braku konfliktów na opozycji, która wspólnie walczyła z PRL, będą w stanie dla swoich zamierzeń wypracować jakiś modus operandi z układem postokragłostołowym.

Gowin rozczarował się środowiskiem „Tygodnika Powszechnego”, które przyjęło status poddańczy wobec Adama Michnika, z kolei Wiesław Walendziak nigdy nie był w stanie zauważyć, że środowisko gdańskich liberałów nie ma ochoty na żadne eksperymenty z ideą IV RP.

Obaj politycy w różny sposób zmuszeni zostali do wyrwania się z błęgiego przekonania, że można sobie wymościć jakieś bezpieczne miejsce ponad konfliktami. Gowinowi zaważył się cały projekt szkoły im. Tischnera. Walendziak pierwszy musiał przekonać fiasco swoich inicjatyw politycznych, a potem rozczarowany polityką odszedł do biznesu.

Kolejny etap życia Gowina to zwrot w kierunku Platformy Obywatelskiej. Nie-

chętnie wspomina on okoliczności swego akcesu do obozu Donalda Tuska. Miało to miejsce w 2006 r., kiedy to Tusk pozbył się ze swojego obozu nie lubianego Jana Marii Rokity. Ponieważ potrzebował kogoś na miejsce Rokity w Krakowie, postanowił sięgnąć po Gowina, a ten, jeśli wierzyć opowieściom wielu krakusów, uległ złudnemu czarowi wieczorów z Tuskiem, wypełnionych intelektualnymi rozmowami o swoich lekturach i zainteresowaniach filozoficznych. Gowin dość naiwnie uwierzył, że Platforma z lat 2005–2007 naprawdę dokonała jakiegoś głębszego rozrachunku ze swoim wczesnym skrajnie liberalnym okresem i na trwałe skojarzyła się z wrażliwością chrześcijańską. Wszystko to odbywało się w epoce, kiedy tacy przewodnicy duchowi jak dominikanin Maciej Zięba lansowali prawicę wolnorynkową, a która była jednocześnie głęboko zakorzeniona w nauczaniu Jana Pawła II.

Bardzo szybko Gowin na własnej skórze miał się przekonać, że było to piękne złudzenie. W 2011 r. Tusk zaproponował mu stanowisko ministra sprawiedliwości w swoim drugim rządzie. Trzeba na korzyść Gowina przyznać, że dość ambitnie postanowił on uregulować kwestie stosowania zarodków ludzkich w technice in vitro i poruszyć ten problem jako ważną kwestię cywilizacyjną. Pechowo dla Gowina wtedy właśnie Tusk zaczął powoli wyzywać się wizerunku posiadacza specjalnego stolczka z dewocjonaliami w swoim sopockim mieszkaniu. I wówczas wyszła na jaw kolejna cecha Gowina, która miała mu potem przeszkadzać w polityce w kolejnych latach. Gowin po raz pierwszy postanowił odgrywać rolę kogoś, kto rzuca wyzwanie liderowi partii. Zakładał, że demonstrowana przez część posłów Platformy postawa konserwatywna przełoży się na wsparcie dla niego w konflikcie z Tuskiem.

A jednak o wiele lepszy socjotechnik i praktyk władzy, którym był Tusk, wiedział, że w chwilach polaryzacji zwycięzca będzie konformizm. Za to Gowin ze zdumieniem odkrywał, że koledzy, którzy w innych okolicznościach zachęcali go po cichu do rzucenia wyzwania Tuskowi, w chwili, gdy konflikt wyszedł na jaw, z zakłopotaniem milczeli sparaliżowani strachem przed szefem PO.

W tej sytuacji start Gowina w 2013 r., już po odwołaniu go ze stanowiska ministra sprawiedliwości – w roli kontrkandydata Donalda Tuska w bezpośrednich wyborach na stanowisko przewodniczą-

cego PO – musiał zakończyć się katastrofą. Krakowianin przegrał z dotychczasowym liderem, otrzymując tylko 20,42 proc. głosów. Nic dziwnego, że po upływie pewnego czasu od wyborów Gowin poinformował o opuszczeniu Platformy Obywatelskiej.

Wtedy krakowski polityk wrócił do roli kogoś, kto deklaruje, że trzeba cierpliwie i mozolnie tkąć sieć porozumienia między centroprawicowcami a samorządem. Podjął pracę programową z gronem samorządowców, z zapomnianą już dzisiaj partią Polska Jest Najważniejsza i ze Stowarzyszeniem Republikanie. Zwieńczeniem tych starań miała być inauguracja nowej partii Polska Razem. Niewiele z tego wszystkiego wynikło. W wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2014 r. Polska Razem nie przekroczyła progu wyborczego.

W tej sytuacji wiosną 2015 r. Gowin zapukał do drzwi Prawa i Sprawiedliwości. Pewną sympatię przyniosły mu wtedy pamięć o jego sporze z Tuskiem i nadzieje, które wiązano na Nowogrodzkiej z zastrzykiem wyborców obozu, z którym go kojarzono. I znów powtórzyła się historia z poprzedniego rządu. Gowin objął urząd wicepremiera oraz ministra nauki i szkolnictwa wyższego w rządach Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego, ale szybko zaczął przeceniać swoją pozycję. Uznał, że mając dość sporą grupę posłów Porozumienia, może zacząć stawiać Jarosławowi Kaczyńskiemu warunki polityczne. A tego lider PiS wyjątkowo nie cierpiał. Polem sporu stały się wybory kopertowe, potem Gowin zaczął ostrzegać, że polityka rządu dąży do polexitu, a wreszcie wysunął bardzo poważne zastrzeżenia wobec programu Polskiego Ładu.

We wszystkich tych sprawach jego argumenty nie były wydumane. Ale sposób, w jaki je podnosił, bardzo utrudniał sytuację Jarosławowi Kaczyńskiemu, który musiał się zmagać z presją z zewnątrz obozu Zjednoczonej Prawicy oraz wewnątrz – właśnie w postaci Gowina. Każdy, kto zna politykę Jarosława Kaczyńskiego, wiedział, że nie będzie on długo tolerował takiej sytuacji. Na zlecenie prezesa Adam Bielan przejął większość posłów Gowina, a braki zalepiono posłami Kukiza i pojedynczymi oportunistami.

Rzadziej mówiono wtedy o innej dosyć ważnej zmianie w poglądach krakowskiego intelektualisty. Gowin zadeklarował wówczas, że jest w stanie zaakceptować kwestie przyszłości ograniczeń aborcji w oparciu o wyniki referendum. Coś wtedy pękło w Gowinie i wcale nie uczyniło go

lepszym politykiem. Finał był wyjątkowo mało gustowny. W ślad za Kazimierzem Marcinkiewiczem Gowin zamienił się w etatowego krytyka PiS, który odwiedzał studia telewizyjne i radiowe z jednoznacznym przekazem konieczności walki z dobrą zmianą.

Styl antypisowskiego neofity był tak rażący i groteskowy, że wywołał kontrakcję w obozie opozycji. Zaczęto Gowinowi przypominać to, że głosował za podstawowymi reformami PiS, i kpiono z jego giętkiego kregosłupa. Gowin zapomniał, że im mocniej kiedyś pozował na katolickiego moralistę, tym bardziej jego polityczne zygzaki będą potem kłuły w oczy.

Swoją rolę odgrywał też brak wytrzymałości psychicznej. Polityk, któremu przyszło działać w epoce wojny polsko-polskiej, nie zrozumiał, że epoka ta nie ceni niuansowania i szukania trzeciej drogi.

NA GRUZOWISKU

Gowin pozostawia partię niezwykle osłabioną. W Sejmie jest raptem pięciu posłów Porozumienia. Wybrana na jego miejsce na szefa partii Magdalena Sroka jest działaczką o skali lokalnej, która nie ma żadnej silnej pozycji wśród liderów opozycji. Magdalena Sroka deklaruje: „Porozumienie zasługuje, żeby być na politycznej scenie”, ale zdaje się nie rozumieć, że w polityce niczego nie dostaje się za darmo. Skwapliwość, z jaką Władysław Kosiniak-Kamysz witał odejście Gowina, świadczy raczej, że ludowcy pozbyli się niewygodnego i irytującego partnera.

I wcale nie oznacza to, że muszą Magdalенę Srokę traktować bardziej serio. Wręcz przeciwnie. Lokalni politycy Porozumienia już w tej chwili osłabiają i tak swoje słabe aktywa, podlizując się czy to PSL, czy to Polsce 2050 w nadziei na przygarbienie ich na listy. Z tak słabym liderem jak Magdalena Sroka poszczególni działacze Porozumienia wolą działać na własną rękę niż liczyć na wydumany autorytet nowej liderki.

Sama Sroka deklaruje, że Gowin nie wycofuje się z polityki i cały czas będzie dla Porozumienia wsparciem. Można wyrazić obawę, że Porozumienie takiej pomocy może już nie potrzebować. Nawet okrzyknięcie Greka Zorby „Jaka piękna katastrofa” wydaje się być w wypadku Gowina na wyrost. Powiedzmy raczej – jaka smutna katastrofa. Żadne inne określenie nie przychodzi na myśl.



Alfabet propagandy



ILUSTRACJA: P. KREMER



Rafał A. Ziembkiewicz

***** Obserwowałem kiedyś kierowcę nerwusa, który wbił się w zaspę. Zamiast się cofnąć, poszukać objazdu albo użyć łopaty, coraz bardziej wkurzony nieskutecznością swych działań nabierał większego rozpędu i próbował przebić zaspę z większym impetem, aż władował się tak, że kompletnie ani w tę, ani we w tę.

AGREGOWANIE. To podstawa. Nie ten propagandysta wygrywa, który wymyśli bardziej chwytliwą manipulację, ale ten, którego manipulacja zostanie szerzej zagregowana. Do tego służą media zintegrowane w jednej orkiestrze, farmy trolli, boty, żartownisie – ale kluczem do sukcesu jest zawrzeć manipulację w takim skrócie, żarcie lub memie, by powtarzali ją wszyscy, aż stanie się obiegowym żartem. Przykład: „Bezdomny kupił Radiu Maryja dwie limuzyny i umarł, ha, ha”. Nikt z toczących z tego bekę nie zadał sobie pytania, po cóż by miało RM kombinować z fikcyjnym bezdomnym, skoro na mocy prawa i tak kupuje samochody bez podatku i cła?

AUTORYTETY. „Wielkość? Bardzo proste, się bierze pompkę i się dmucha: pach, pach, pach! A jak się już nadmucha, to się klęka i się mówi: oto wielkość!”. Cytat z jednej ze sztuk Eustachego Rylskiego doskonale oddaje zasadę kreowania medialnych autorytetów, bazującą na swoistej wymianie przysług: pomagamy komuś zdobywać nagrody, zagraniczne stypendia czy inne zewnętrzne znamiona autorytetu, w zamian za co osoba nimi obdarowana wystawia nas pod niebiosa. „Tato, chwałą nas – wy mnie, a ja was”.

BALON. Propaganda przypomina jego dmuchanie: wystarczy jedna szpilka, żeby pękł, i cała robota na nic. Dlatego trzeba z całą stanowczością niszczyć każdego posiadacza szpilki. Pierwszą troską towarzyszy założycieli III RP przy budowie „demokratycznego” ładu medialnego było niedopuszczenie, by powstało jakiekolwiek wpływowe medium pozostające w dysonansem z przekazem michnikowszczyzny (zniszczenie „Czasu”, „Spotkań”, RTL 7), a ponadto bandytyzm prawny w eterze, oddający go pod duopol Radia Zet (pierwotnie Radia Gazeta, wypączkowanego z „Wyborczej”) oraz RMF. Dopiero stopnio-

wa erozja lewicowo-liberalnego oligopolu w mediasferze po „aferze Rywina”.

DWÓJMYŚLENIE. Prawdziwy ideał propagandowej skuteczności. Jak zdefiniował dwójmyślenie George Orwell, jest to sztuka przypisywania krańcowo odmiennych znaków emocjonalnych temu samemu desygnatowi, w zależności od tego, kogo sprawa dotyczy. Umieszczenie na naszych listach wyborczych wysokich funkcjonariuszy PZPR to jednocześnie się „sił demokratycznych”, obecność na „ich” listach „prokuratora stanu wojennego” to hańba i dowód, że „jest jak za komuny”.

EMOCJE. To o nie tu chodzi. Myślenie nie ma nic do rzeczy.

KŁAMANIE PRAWDĄ. Istota sztuki manipulowania umysłami poprzez umieszczanie prawdziwych faktów w fałszywych kontekstach. Im mniej trzeba usunąć z prawdziwego kontekstu lub do niego dopisać, by uzyskać zamierzoną reakcję emocjonalną, tym skuteczniej to działa. Ponieważ przykładów prawdziwych jest mnóstwo, użyję hipotetycznego: „11 września 2001 r. dwa amerykańskie samoloty zabiły tysiące niewinnych, przypadkowych ludzi, burząc budynki w centrum Nowego Jorku”. Coś tu nie jest prawdą? Zwykłem używać tego przykładu w rozmowach z ludźmi, którym lewicowa propaganda wsadziła do głów określenie „polskie obozy zagłady”.

Nieprzekraczalnym majstersztykiem „kłamania prawdą” była konferencja rosyjskiej komisji gen. Anodiny o katastrofie w Smoleńsku. Wyeksponowanie ignorowanego przez pilotów tupolewa komunikatu „pull up” i wrzucenie szczyra o alkoholu w zwłokach gen. Błasika ustawiało sprawę emocjonalnie, cała reszta była tylko tłem. Nie sposób złapać każdego za rękaw i tłumaczyć mu, że system TAWS nie miał wpisanego lotniska Siewiernyj i dawałby komendę „pull up” zawsze, przy każdym, najlepszym nawet lądowaniu, jak GPS z nieaktualną mapą, a alkohol po kilku godzinach wskutek procesów rozkładowych pojawia się w KAŻDYCH zwłokach.

KŁAMSTWO. Jeśli nie ma się zapewnionej całkowitej szczelności systemu, to sięganie po nie to ostateczność. Robi się to niekiedy w desperacji, pod naciskiem chwili, gdy wiadomo, że emocjonalne skutki kłamstwa nastąpią szybko, a jego

późniejsze sprostowanie nie zmienia już faktów. Przykładem klasycznym było zmyślenie przez TVN rzekomego zamachu na prezydenta Bronisława Komorowskiego tuż przed pierwszą turą wyborów: cały piątek do północy antena TVN huczała od oburzenia, do czego nienawiść PiS doprowadziła (dlatego tak sprawnie zorganizowano analogiczną kampanię po prawdziwym zamachu na Pawła Adamowicza, całe know-how miał już TVN gotowe). Potem, w sobotę, nic nikt nie mógł już wyjaśnić, a w poniedziałek do sprawy nie wrócono.

KURSKIZM. Twórcze rozwinięcie starej zasady towarzysza Macieja Szczepańskiego: „telewizja to codzienne wbijanie miliona gwoździ w milion desek” – poprzez uzupełnienie o zasadę „gwoździe jest codziennie ten sam”. W przeciwieństwie do swego raczej nieudolnego brata, wiecznego p.o. naczelnego „Gazety Wyborczej”, Jacek Kurski odniósł dzięki tej metodzie jako kreator propagandy ogromny sukces, którego miarą jest stopniowe upodabnianie się „Faktów” TVN do „Wiadomości” TVP, z kopiowaniem 1:1 charakterystycznych dla ery Kurskiego chwytów. Inna sprawa, że przekonanie propagandy PO, że „ciemny lud to kupuje, więc i my musimy w ten sposób”, jest skutkiem błędnej oceny sytuacji. Urojenia wyższościowe, które kształtują tożsamość obozu lewicowo-liberalnego, nie pozwalają mu dostrzegać własnych błędów i popychają do wyjaśnień: „to przez proboszczów”, „to przez telewizję”, a zwłaszcza: „za mądrze do tej hołoty mówiliśmy, trzeba ich walić cepem i mocnym słowem”.

MIMIKRA. Jeszcze kilka lat temu napisałbym, że to podstawowy warunek skuteczności propagandowej: propaganda działa wtedy, kiedy ludzie jej poddani nie wiedzą, że mają do czynienia z propagandą. Stąd obowiązek udawania przy manipulacji emocjami widza i czytelnika, że ma do czynienia z obiektywnym relacjonowaniem faktów i bezstronnym ich komentowaniem przez ekspertów kierujących się obiektywną wiedzą i autorytetem, dajmy na to, nauki. Ostatnie lata, z ich polityczną trybalizacją i tworzeniem przez media społecznościowe zamkniętych „baniek”, wytworzyły nowe oczekiwanie odbiorców: potrzebę obcowania z „naszym” przekazem, niekoniecznie nawet

■ prawdziwym, ale zaspakajającym plemienne potrzeby. Każde wychylenie się z przekazem nazbyt bezstronnym w TVN czy TVP powoduje gniewne reakcje tego typu odbiorców: „jak śmiecie zapraszać do NASZEJ telewizji tego pisowca/peowca, niech sobie idzie do swoich do TVP/TVN”. Ta sprzeczność między oczekiwaniami „żelaznego elektoratu” a skutecznością poza nim jest największym wyzwaniem stawianym przez dzisiejsze czasy przed propagandą.

MEM. W nauce to „atom informacji”, w potocznym języku – obraz z krótkim tekstem. Współczesna odmiana plakatu. Bardzo skuteczne narzędzie wrzucania w obieg szczurów i wciskania zgniłych śledzi, bo w praktyce można wziąć portret każdej osoby, napisać cokolwiek, czego osoba ta nigdy w życiu nie powiedziała, i wpuścić do sieci, a kupa ludzi nabierze przekonania, że tak właśnie ten ktoś powiedział (albo zrobił), i będzie się tym oburzać albo okazywać inne emocje, które twórca memu chciał wyindukować.

NACZELNIK. Główny problem propagandy PiS i główny powód jej nieskuteczności. Zamiast, jak każą zasady sztuki (o ile można manipulowanie ludzkimi emocjami nazwać sztuką), myśleć o tym, jak wpływać na manipulowane masy, jej animatorzy myślą o tym, czy ich praca spodoba się najwyższemu szafarzowi łask. A ten na propagandzie się nie zna i wydaje mu się, że dobra propaganda, to jak przytoją Tusкови, że ho. Więc łoją. Na masy działa to łojenie przeciwnie, bo łamie zasadę mimikry, ale lepiej być w łaskach niż skutecznym.

OBRAZ. O tym, że jeden obraz wart jest tysiąca słów, wiadomo było jeszcze przed pojawieniem się telewizji, a już rzucenie przez komunistów na kolana USA podczas wojny wietnamskiej poprzez bombardowanie Amerykanów wstrząsającymi obrazami udowodniło to ostatecznie. Pojawienie się Internetu i mediów zwanych społecznościami tylko ostatecznie przesądziło o straceniu słowa, wraz ze wszystkim, co się z nim wiąże – logiką, myśleniem w kategoriach przyczyny i skutku, argumentowaniem etc. – z piedestału.

PROWOKACJA. „Bez prowokowania nie ma aresztowania” – uczył jeden z bohaterów sztuki Sławomira Mrożka

„Policja”. Czasem bez prowokowania nie ma też propagandy. Najprostszy, a zawsze jakoś tam skuteczny chwyt: podjudzamy na przeciwnika bandę agresywnych świrów, a potem wysydzamy go, że „chowa się za plecami policjantów i ochroniarzy”.

STREFY ZGNIOTU. Propaganda polityczna boryka się z tym samym problemem, co nagłaśnianie imprez masowych: żeby słychać było dobrze na obrzeżach stadionu, musimy ustawić gigantofony tak głośno, że człowiek znajdujący się zbyt blisko nich, zwłaszcza w miejscu, gdzie ich działanie nakłada się na siebie, po prostu ogłuchnie. Na stadionie z tym problemem łatwo sobie poradzić, ogradzając niebezpieczne strefy. Trudno natomiast limitować dostęp do propagandy. To, co obliczone na dotarcie szeroko do „zwykłych Polek i Polaków”, „nieinteresujących się polityką”, przedawkomowywane przez karmiących się propagandą swej „bańki” od rana do nocy najwierniejszych odbiorców powoduje u nich oczywiste aberracje psychiczne i stopniowo skutkuje kompletnym szaleństwem. Jest to rodzaj nałogu, nieopisanego jeszcze przez psychiatrię i w związku z tym nieleczonego, z fatalnymi skutkami społecznymi.

SZCZUR. Jak wiadomo, zwierzę to jest praktycznie nie do wytopienia – zawsze schowa się w jakąś szparę, rozmnoży tam i znowu wychynie. Podobnie jest ze szczurem propagandowym: obiegowym fałszem, potrzebnym przede wszystkim do podtrzymywania mobilizacji we własnej „bańce” i utrzymywanym przez nią przy życiu wbrew wszystkiemu. Może to być kompletna bzdura, byle spełniała emocjonalne potrzeby bańki i jej mieszkańców. Przykład: TW „Balbina”. Żaden historyk nigdy nie znalazł śladów istnienia konfidenta o takim kryptonimie, ale powtarzający go sobie z porozumiewawczym spojrzeniem fanatycy antypisu wiedzą swoje. Klasycznym przykładem szczura, którego nie da się zatłuc żadnymi faktami albo argumentami, jest zdanie „cztery tysiące Żydów nie przyszło 11 września do WTC”.

SYMETRIA. Jak mówił sławny malarz: „Symetria jest estetyką głupców”. Jest także ich „mądrością”. Umysł ograniczony, czy to swymi organicznymi możliwo-

ściami, czy brakiem czasu i niemożnością skupienia uwagi, buduje oceny na przyrównaniu czegoś do czegoś i uznaniu podobieństwa. Wystarczy mu tylko zasufłować podobieństwo między desygнатem kodującym silne emocje a omawianym. Budowanie fałszywych symetrii to główny, obok fałszowania kontekstu, zabieg nowoczesnej propagandy, a jego niewątpliwym królem jest Adolf Hitler. „Kaczyński na swych wiecach krzyczy (atakuję mniejszości, odwołuje się do narodowej dumy etc.). Był już taki polityk, który krzyczał (atakował mniejszości, odwoływał się do narodowej dumy etc.), i wiemy, jak to się skończyło. Zapamiętaj, powtarzaj, zostaniesz medialnym autorytetem.

ZGNIŁY ŚLEDZ. Termin z żargonu sowieckich służb specjalnych, które osiągnęły mistrzostwo w odzieraniu z czci i autorytetu wszystkich potencjalnie niebezpiecznych dla nich osób (polecana lektura: Jessikka Aro, „Trolle Putina”). Jeśli wrzucić komuś do kieszeni zgniłego śledzia, to nie uwolni się od smrodu. Nie wiadomo, co śmierdzi, nikt konkretnie nie postawił żadnego zarzutu, ale – byle najbardziej pobieżnie uprawdopodobnić jakiś obrzydliwy stereotyp – potencjalny krytyk czy wróg jest załatwiony. Przykładem zgniłego śledzia jest np. rzekoma sekstaśma z jednym z polityków i nieletnią, której nikt nigdy nie widział i nic o niej nie wiadomo, ale „wszyscy mówią”. Cały przemysł produkowania i wciskania do kieszeni zgniłych śledzi stworzył jeden z pomagierów Putina, Władimir Wacławowicz Kantor, pod przykryciem „walki z antysemityzmem”.

ŻARTOWNISIE. Zupełnie niedoceniana przez stronę rządową, a niezwykle potężna metoda agregowania propagandowych narracji. Każda bzdura, nie do obrony w świetle faktów, da się sprzedać w formie felietonowej czy kabaretowej kpiny, bazującej na aluzji lub napomknięciu, z którą nie sposób dyskutować, a gdyby nawet, jest uniwersalna odpowiedź: wyluzuj, to przecież tylko żart. Ale żarty budują stereotypy. Przykładem klasycznym jest zniszczenie przez liberałów amerykańskiego wiceprezidenta Dana Quayle’a, poprzez zmyślanie dziesiątek historyjek o jego rzekomej głupocie i uczynienie go ulubionym tematem kpін stand-uperów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

IDEALNE MIEJSCE NA TWÓJ EVENT



PODKARPACKIE
przestrzeń otwarta

SALA	POWIERZCHNIA (m2)	KONFERENCJA (miejsca)	BANKIET (miejsca)
WYSTAWIENNICZA	4800	2700	1200
KONGRESOWA	-	872	-
KONFERENCYJNA DUŻA	350	220	100
KONFERENCYJNA DUŻA	290	190	100
KONFERENCYJNA MAŁA X7	40-70	20-50	-
HOLL	1230	160	160
SALA RESTAURACYJNA	240	130	160
SALA RESTAURACYJNA	350	130	120



SALA KONGRESOWA



Z Piotrem Gursztynem, dziennikarzem, współzałożycielem tygodnika „Do Rzeczy”, żołnierzem 18. Stołecznej Brygady Obrony Terytorialnej rozmawia Radosław Wojtas

Dla Polski skończył się bezpieczny czas

RADOSŁAW WOJTAS: Służyłeś w „zetce”?

PIOTR GURSZTYN: Nie.

Studia?

Tak. Wojsko nie interesowało się wtedy nikim z mojego rocznika. Na moim roku na historii było nas chyba ze stu, do zasadniczej służby wojskowej nie powołano nikogo.

Rozmawiamy w momencie, gdy nosisz mundur od półtora miesiąca. Co się wydarzyło w tym czasie?

Odbyłem „szesnastkę”, miałem dwie rotacje...

... „szesnastkę”? Rotację?

„Szesnastka” to 16-dniowe szkolenie podstawowe dla osób, które nie miały styczności z wojskiem. Pierwszy rok służby składa się właśnie z „szesnastki” i potem rotacji, czyli szkoleń weekendowych. Minimum to jeden weekend w miesiącu, ale jeśli ktoś ma czas, to może odbywać rotacje częściej. I są tacy ludzie. Każdy

rok służby kończy się dwutygodniowym szkoleniem poligonowym. Drugi rok przebiega w takim samym rytmie, czyli 11 rotacji i poligon. Trzeci rok to ten sam rytm. Różnica między nimi jest taka, że w pierwszym roku jest szkolenie podstawowe, w drugim specjalistyczne zależnie od przydziału, jaki dany żołnierz dostał, a trzeci rok to szkolenie zgrywające.

Przed wstąpieniem do WOT na pewno solidnie się przygotowałeś, wiedziałeś, na co się piszesz i czego możesz się spodziewać. Czy coś cię jednak może zaskoczyło?

Przygotowywałem się fizycznie – trochę biegałem, ćwiczyłem od kilku miesięcy, zrobiłem kilka marszów z plecakiem po lesie. Czytałem dużo o służbie, oglądałem różne rzeczy w Internecie, więc wiedzę teoretyczną też miałem. Ale czym innym jest wiedza teoretyczna, a czym innym służba w praktyce. Wojsko to naprawdę jest inny świat. Trudno to opisać. Żeby zrozumieć, o czym mówię, trzeba w to wejść.

Jak wygląda „szesnastka”?

Wojsko dba o to, żeby żołnierz nie marnowali ani minuty. Cały czas jest zaplanowany i zagospodarowany, oprócz kilku godzin na sen. A z tym snem też bywa różnie. Byliśmy na wysokiej adrenalinie, ciężko było się wyspać. Dla mnie było to nawet bardziej męczące niż wysiłek fizyczny. Oficjalna pobudka jest o godz. 5.30, ale większość z nas i tak wstawała wcześniej, żeby się przygotować. Capstrzyk jest o 21.30, ale wtedy też nie idzie się od razu spać, bo to najlepszy czas, żeby się ogarnąć, umyć, doprowadzić do porządku. Od rana do południa są zajęcia poligonowe. Po południu to ćwiczenia i zajęcia na bazie – teoria, kwestie prawne, regulaminowe, BHP, musztra, obsługa broni – rozkładanie, czyszczenie, składanie... I tak do wieczora.

Jakich ludzi tam spotkałeś?

Bardzo ciekawe towarzystwo. W moim plutonie na 30 osób było trzech doktorów i dwie osoby, które przygoto-



Żołnierze WOT patrolujący granicę polsko-białoruską podczas kryzysu migracyjnego wywołanego przez reżymy Aleksandra Łukaszenki i Władimira Putina FOT. IREK DOROŻAŃSKI/DWOT



bo w wojsku po prostu trzeba sobie pomagać. Nawet z pozoru proste czynności, jak nałożenie kamizelki, na to plecaka, wyciągnięcie później kaptura spod tej kamizelki, wymagają poproszenia kolegi o pomoc. Pójście pod prysznic to jedyny moment, kiedy możesz rozstać się z bronią, ale musisz poprosić kolegę, żeby jej w tym czasie popilnował. Musisz go znać i mu ufać. Pomaganie jest tu istotą rzeczy.

Czyli te legendarne przyjaźnie z wojska, które potrafią trwać całe życie, to nie miły.

Dokładnie. Jeśli ktoś był na „szesnastce”, to może zrozumieć, jak to działa. To jest naturalny i bardzo mocny mechanizm.

Masz rodzinę, ciekawą, absorbującą czasowo pracę, pewnie ciągłe deficyty czasowe... Dlaczego wstąpiłeś do WOT? To była spontaniczna decyzja?

To nie była spontaniczna decyzja, dojrzała we mnie kilka miesięcy, a pojawiła się po 24 lutego. Mam wiarę i nadzieję, że jeśli tysiące Polaków będą pokazywały, że są zdeterminowane bronić kraju, to nie spotka nas rosyjska agresja. Celem agresji padają kraje słabe, bezbronne. Jestem tylko jedną z wielu mróweczek, ale jeśli będzie nas odpowiednio dużo, tysiące ludzi zdeterminowanych do tego, żeby bronić Polski – i potrafiących to robić, przeszkolonych, posiadających odpowiednie umiejętności – to nie będziemy łatwym obiektem ataku. Moim celem nie jest wojowanie, ale przyłożenie ręki do tego, żeby Polska nie dotknęła wojna.

Ryzyko, że jednak trzeba będzie chwycić za broń, jest największe od wielu lat. Gdzieś z tyłu głowy pewnie masz taki scenariusz.

Słyszymy doniesienia medialne, że Polska kupuje na potęgę sprzęt wojskowy, i nikt na świecie tego nie wyśmiewa, nie uważa, że Polacy lub ich rząd powariowali. Przeciwnie, traktowane jest to jako rzecz zupełnie zrozumiała i godna pochwały. Chyba więc nie wydajemy miliardów tak zupełnie od czapy. Od swoich dowódców słyszymy wielokrotnie, że nie mamy wiele czasu, że mamy kilka lat na to, żeby się przygotować, wyszkolić. Te przypomnienia cały czas się powtarzają. Nie wiem, czy powinienem to mówić, ale zawodowi oficerowie Wojska Polskiego żyją w przeświadczeniu, że zagrożenie jest bardzo poważne. Mamy bardzo dobrych oficerów, ci ludzie nie są wariatami, wiedzą, co mówią. Dla Polski skończył się bezpieczny czas i musimy

być gotowi na najgorsze, ale najlepiej nie dopuścić do takiego scenariusza w myśl zasady: Si vis pacem, para bellum.

Wciąż popularne, o ile nie dominujące, jest myślenie, że po to mamy wojsko i po to wydajemy miliardy na sprzęt, żeby cywile mogli się martwić co najwyżej o to, czy mają zapas baterii do latarek i pełny bak, żeby w razie zagrożenia odjechać jak najdalej na zachód.

Uważam, że większość społeczeństwa lekceważy zagrożenie. I tak, większość uważa, że kupimy trochę himarsów, trochę czołgów i to wystarczy; że wymienimy pieniądze na bezpieczeństwo. A himarsy same nie strzelają, czołgi same nie jeżdżą. Obsługują je ludzie. To kwestia konieczności poświęcenia się tych, którzy mogą się poświęcić, czyli wszystkich zdolnych do służby wojskowej. Liczenie na to, że samo wojsko zawodowe nas obroni, to kompletny absurd. Dlaczego ma ginąć tylko to 100 tys. wojska, skoro 35 mln nie chce walczyć? Na Ukrainie pod bronią jest w tej chwili milion ludzi, z czego 20 proc. to kobiety. U nas ludzi, którzy mogliby być teraz wojskiem, czyli żołnierzy zawodowych i terytorialsów, rezerwistów, pozostałych służb mundurowych, jest dużo mniej. I to jest niepokojące.

Ciekawe, ilu jest tych, którzy wojskiem zdecydowanie być nie chcą. W obliczu informacji o większej liczbie powołań na szkolenia wojskowe w przyszłym roku podniósł się lament i rozlały deklaracje: „Ja do wojska nie chcę, bo...” i tu różne powody: „bo wojsko dyskryminuje gejów”, „bo nie mam rodziny, nie mam kogo bronić”, „bo Polska mnie nie obchodzi”, „bo mam pracę i nie mam czasu”, „bo jestem pacyfistą”. Wymówki? Strach? Lenistwo? Kwestia pokoleniowa? A może Kreml już wypłaca swoim trollom premie za dobrą robotę?

Pewnie wszystko naraz, a w skrócie tchórzostwo, wygodnictwo i głupota. Ci ludzie wyrządzili nam wszystkim wielką szkodę, bo posłali na Wschód sygnał, że w Polsce determinacja do walki jest niska. Z tego powodu została zaatakowana Ukraina, bo Putin dostawał sygnały – po fakcie okazało się, że błędne – że Ukraińcy nie będą walczyć. A teraz u nas setki czy tysiące tchórzów wysłało komunikat: „Panie Putin, my nie będziemy walczyć, my uciekniemy”. Czyli że Polska jest łatwym celem. A samo NATO nas nie wyręczy w obronie. Zwłaszcza gdy obywatele krajów sojuszników zobaczą, że Polacy nie chcą bronić własnego kraju i uciekają z Polski. Po co pomagać tchórzom i dezerterom? Po co za nich ginąć?

wywały doktoraty. W zasadzie to podzieliłbym ludzi, których spotkałem w WOT, na dwie grupy. Pierwsza, mniej liczna, to osoby bardzo młode, często po klasach mundurowych, które mają plany związania się z wojskiem zawodowym i WOT jest jakimś wstępem do tego. Większość to ludzie po trzydziestce, którzy mają już jakąś pozycję życiową – biznesmeni, eksperci w różnych dziedzinach, pracownicy korporacji, właściciele firm. Ludzie, którzy mają rodziny, dzieci. Trzeba podkreślić ich ideowość i altruizm, bo zostawienie rodziny, pracy, obowiązków to jest jednak wysiłek. Jeśli ktoś ma biznes, to dla niego służba jest wymierną stratą, finansowo jest „w plecy”. Ludzie, których spotkałem, weszli w to bardzo świadomie. Idealiści, altruści, bardzo oddani służbie.

Jednocześnie bardzo koleżeńscy. Mimo dużego wysiłku i ciągłego napięcia nie było sytuacji konfliktowych. Bardzo szybko nawiązała się między nami więź,



■ Jaką rolę w obronie Ukrainy odegrała obrona terytorialna?

Obrona terytorialna w obecnej formie powstała na Ukrainie na krótko przed atakiem Rosji 24 lutego, częściowo tworzyła się już w trakcie walk, ale odegrała bardzo dużą rolę w obronie kraju. Ci ludzie znają swój teren, wiedzą, gdzie są. Bardzo szybko żołnierze obrony terytorialnej stali się oczami ukraińskiej artylerii, wychodzili w teren, podawali namiary na rosyjskie cele i była to bardzo skuteczna współpraca. Ruchliwość i wszechstronność obrony terytorialnej były bardzo dużym problemem dla Rosjan zwłaszcza w pierwszym okresie walk, kiedy były to walki manewrowe. Terobrona niszczyła rosyjskie kolumny zaopatrzeniowe i mniejsze zagubione oddziały. Rosjanie nie czuli się bezpiecznie. A to wszystko przy początkowo słabym uzbrojeniu. Polski WOT jest bardzo dobrze uzbrojony i wyposażony.

Słynne karabinki Grot. Co jeszcze?

Jestem na etapie szkolenia podstawowego, jedynym uzbrojeniem, z jakim mamy na tym etapie do czynienia, są groty. Karabinki rozdano nam drugiego dnia szkolenia i – jak wspominałem wcześniej – rozstawialiśmy się z nimi, tylko idąc pod prysznic. W nocy z nimi spaliśmy, bo mieszkaliśmy w ciasnych kontenerach i najwygodniej było położyć karabinek na łóżku obok siebie.

Aż dziw, że nikt nie zginął! Przecież – cytując Onet – „Grot jest tak zły, że zagraża żołnierzom”.

To oczywista nieprawda. Grot to bardzo dobra broń, lubiana w wojsku. Cenią ją i nasi dowódcy, czyli zawodowi żołnierze, i instruktorzy, którzy są w WOT od lat, a wcześniej też byli zawodowymi żołnierzami, ale będąc na wojskowych emeryturach, wrócili jako instruktorzy. Oni wszyscy podkreślali, że dostajemy bardzo dobrą broń. I rzeczywiście, karabinek jest poręczny i ergonomiczny. Bardzo celny. Mam słaby wzrok, strzelam w okularach, a miałem dobre wyniki. I nie mówię o strzelaniu na kilkanaście, ale na sto metrów. (śmiech) Mam przyjaciela, który jest strzelcem sportowym i przed „szesnastką” zabrał mnie na swoją strzelnicę, żebym postrzelał z grotą w wersji cywilnej. On także chwalił ten karabinek. Oczywiście ta broń ewoluowała, producent wprowadzał poprawki sugerowane przez wojsko, ale to, co dostają żołnierze WOT, najnowsza wersja karabinku, to

świetna broń. Zresztą muszę dodać, że całe żołnierskie oporządzenie: buty, mundury, kamizelki, hełmy, plecaki – prawie wszystko jest nowe. Warunki są surowe, to w końcu nie wczasy, ale ta dbałość o żołnierzy warta jest podkreślenia.

Na marginesie: broń możesz nosić tylko na szkoleniach. Wciąż nie macie skróconej drogi do uzyskania pozwolenia na broń?

W obecnym stanie prawnym nie, ale wiem, że jest jakiś projekt – czy on przejdzie, to inna historia – abyśmy mieli krótszą drogę do uzyskania pozwolenia na broń. Przechodziliśmy testy psychologiczne, na szkoleniach dostajemy broń do ręki – byłaby w tym jakaś logika. W końcu jesteśmy żołnierzami służby czynnej ze wszystkimi tego konsekwencjami.



Piotr Gursztyn w trakcie szkolenia WOT

FOT. ARCHIWUM PIOTRA GURSZTYNA

Czyli?

Czyli np. muszę stawiać się na rotację. Jeśli zachoruję i mam L4, to oczywiście jestem usprawiedliwiony, ale w innych okolicznościach Żandarmeria Wojskowa ma prawo mnie na rotację „dostawić”. Jeśli jestem na służbie, w mundurze, to obowiązuje mnie taka sama odpowiedzialność karna jak zawodowych żołnierzy. Żeby wyjechać za granicę, nawet na szybkie zakupy w czeskim czy niemieckim pogranicznym mieście, za każdym razem muszę prosić mojego dowódcę o zgodę na wyjazd. Generalnie te zgody są udzielane, ale żołnierz WOT nie ma takiej swobody jak każdy obywatel, a dla ludzi często podróżujących służbowo jest to pewna niedogodność. Mamy też przywileje, np. zniżki na bilety komunikacji publicznej.

À propos komunikacji – jak ludzie reagują na mundur, na WOT? Politycy i prasa traktują WOT już lepiej, zwłaszcza po 24 lutego, ale pamiętamy przecież epitety w rodzaju: „wojska Macierewicza”, „weekendowe wojsko”, „zabawa w armię” etc.

Sam nie miałem sytuacji, by np. jechać tramwajem w mundurze, ale wiem od kolegów, że reakcje są pozytywne. Jeśli chodzi o prasę czy Internet, to jacyś hejterzy oczywiście są, ale jest ich odpowiednio mniej. Jeśli chodzi o zarzuty w rodzaju „wojsko weekendowe”, to polecam spróbowanie samemu, by przekonać się, jak słodka jest to przyjemność. Jak słodko jest wstać o godz. 4, żeby dojechać do jednostki i ćwiczyć od 6 na mrozie. Jak miło ćwiczy się zimą przez cały dzień, gdy w przepoconej od wysiłku bieleźnie łapie mróz. To naprawdę nie są komfortowe wczasy. Nie chcę pozować na męczennika, to wszystko jest do zrobienia, żołnierze na froncie ukraińskim mają tysiąc razy gorsze warunki, ale chcę pokazać, że służba w WOT wiąże się z pewną determinacją. To nie siedzenie w ciepłym i popijanie herbatki, ale ciężki zapieprz i poważny dyskomfort.

Na orle i fładze Wojsk Obrony Terytorialnej widnieje znak Polski Walczącej, a sam WOT odwołuje się do tradycji AK. Zakończę nieco górnolotnym pytaniem: Co to dla ciebie oznacza? Jako dziennikarza, historyka, żołnierza, Polaka?

WOT bardzo mocno nawiązuje do Armii Krajowej. Była ona integralną częścią polskich sił zbrojnych, ale wiadomo, że pod okupacją była armią ochotniczą. WOT także są integralną częścią sił zbrojnych, nasi dowódcy wciąż nam powtarzają, że nie jesteśmy żołnierzami Wojsk Obrony Terytorialnej, ale żołnierzami Wojska Polskiego. I także jesteśmy formacją ochotniczą. Patroni brygad WOT to albo bohaterowie Armii Krajowej, albo bohaterowie oporu antykomunistycznego po 1944 r., którzy także byli żołnierzami AK lub innych formacji podziemnych. Emblemat Polski Walczącej nosimy na lewym ramieniu z naszym hasłem: „Zawsze gotowi, zawsze blisko”. To jest istotą terytorialności. W naszych zasadach nadrzędnych żołnierzom przypomina się, że jednostki terytorialne nie mogą funkcjonować w oderwaniu od swojego terenu i lokalnej społeczności. Tak jak partyzanci AK nie mogliby działać bez wsparcia lokalnej ludności. I to jest cała istota skuteczności lekkiej piechoty.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FILMOWA PODRÓŻ W GŁĘB HISTORII

OGLĄDAJ FILMY
SŁUCHAJ PODKASTÓW
TYLKO NA KANAŁE YOUTUBE
MUZEUM HISTORII POLSKI:
 YouTube **MUZHPTV**

POLSKA
NORWIDA

PAWIAK
POMŚCIMY JE

Kim
Był
Jerzy
Giedroyc

CODZIENNOŚĆ
KONSPIRACJI AK

Symbol Niepodległej
Święto Konstytucji 3 Maja

PŁATNE ZE ŚRODKÓW FINANSOWYCH
MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA
NARODOWEGO



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego


MUZEUM HISTORII POLSKI



Pamiętam swoją niedawną rozmowę ze znajomym, który na co dzień jest urzędnikiem w Sejmie RP.

W pewnym momencie coś mnie tknęło, by zapytać go, co sądzi o Grzegorzu Braunie i jego politycznej drodze. Ten poseł na Sejm RP, lider partii Konfederacja Korony Polskiej, która współtworzy parlamentarne ugrupowanie Konfederacja Wolność i Niepodległość, także reżyser dokumentalista, niegdyś również dziennikarz choćby w Radiu Wrocław czy publicysta kwartalnika „Frona” w pierwszych latach jego istnienia, pod koniec lat 80. działacz Pomarańczowej Alternatywy, przelotnie także związany z Unią Polityki Realnej, jest dziś przecież jedną z najbardziej charakterystycznych i barwnych postaci polskiej sceny politycznej. To, co usłyszałem, nie było może odkrywcze, ale być może dzięki temu właśnie warto tę opinię uznać za trafną. Z jednej strony mój rozmówca, który pracuje blisko sali obrad, stwierdził, że jest w Grzegorzu Braunie, na dobre i na złe, duch polskiego sarmackiego parlamentarizmu, z jego awanturnictwem i brakiem roztropności, a z drugiej – duch kogoś, kto bardziej jest performerem, artystą zadowolonym z powodu rozgłosu, który dają mu jego własne gesty, niż politykiem.

W zasadzie te dwie obserwacje mogą się bardzo łatwo spotkać w jednej osobie. W końcu i zaściankowy sarmata posłany na Sejm, i współczesny artysta to postacie z naszej zbiorowej wyobraźni charakteryzujące się pewnym wspólnym rysem. Jest nim ocierające się o granice absurdu uwielbienie dla wolności, która w gruncie rzeczy lekceważy złożoność dobra, jakim jest wspólnota polityczna, z której wyrasta i której powinna chcieć służyć. Tak, te dwie może i stereotypowe uwagi mogą służyć jako klucz do politycznej kariery Grzegorza Brauna

„PRAWDZIWY SENS »GWIEZDNYCH WOJEN«”

Trzeba by tu dodać jeszcze jedną przynajmniej, anegdotyczną opowieść o Grzegorzu Braunie. Czy pamiętają państwo zamieszczony przed wielu laty w Internecie filmik, na którym Grzegorz Braun odpowiada na pytanie „Czy Yoda był Żydem?”. Nagranie powstało niedługo po tym, jak do kin trafił film „Zemsta Sithów” z roku 2002. Samo pytanie z tytułu tego materiału jest oczywiście clickbaitem (czyli internetową prowoka-

Grzegorz Braun jako Lord Vader



Tomasz Rowiński

Braun znakomicie wpisuje się w znany od romantyzmu model artysty celującego w drażnienie skołtunionego jego zdaniem mieszczaństwa, przywiązanego jedynie deklaratywnie do tradycyjnych wartości

cją), który Braun z humorem rozbraja. Jednak treści tego swoistego krótkiego stand-upu warto wysłuchać. Właściwy tytuł swojej wypowiedzi Grzegorz Braun nadaje zaraz na początku nagrania, gdy mówi, że pytanie o to, „czy Yoda był Żydem”, jest pytaniem „o prawdziwy sens »Gwiezdných wojen«”. Nie będę oczywiście streszczał tu całej narracji, którą słuchaczom zaprezentował obecny poseł Konfederacji. Nagranie wciąż jest dostępne w sieci, choć powstało w czasie, gdy nikt jeszcze w Grzegorzu Braunie nie widział polityka. Wtedy Braun był wciąż znany jako niezwykle sprawny polityczny dokumentalista filmowy.

Istota wspomnianej analizy „Gwiezdných wojen” polega na tym, że Braun w niezwykle inteligentny sposób przedstawia dzieło George’a Lucasa jako republikańsko-demokratyczną propagandę maskującą to, kto rzeczywiście jest w tym uniwersum dobry, a kto zły. Opowieść ta, choć wydaje się niepokojąca, jest niezwykle sugestywna. Choć od

początku do końca ma ona konwencję wypowiadanej z zimną krwią żartobliwej ironii, to zaskakująco wiele z jej treści – niczym echo – znajdujemy w prawdziwej polityce uprawianej przez Brauna. „Przyczyną wojny są etatystyczne praktyki i fiskalizm w polityce demokratycznego organu władzy zwierzchniej” – mówi Braun. „Nie ma takiej podłości, takiego łajdactwa, do którego nie posunie się demokratyczna władza, która potrzebuje pieniędzy” – słyszymy dalej.

Nasz stand-uper staje oczywiście w swojej narracji po stronie Gildii Handlowej, która zaczyna się szykować do wojny „przeciw fiskalizmowi” Galaktycznej Republiki. Specyficzny ekonomiczny libertarianizm Konfederacji pasuje do tego stanowiska znakomicie. Sympatia twórców filmu znajduje się rzecz jasna po stronie kosmicznej demokracji przeciwko Gildii. Posłuchajmy jednak dalej. „Senatorami i posłami zostają najwięksi idioci, którzy gwarantują swoim mowcom, że niczego nie będą rozumieli



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

konserwatywnych wartości przeciw demoliberalnemu kłamstwu.

PRZECIW REŻIMOWI SANITARNEMU

Podobne wrażenie obcowania z alternatywną rzeczywistością można było odnieść, gdy Grzegorz Braun bezwzględnie negował wszelkie działania rządu mające przeciwdziałać pandemii COVID-19. Apogeum tego performance'u były słowa posła Konfederacji wypowiedziane z mównicy sejmowej we wrześniu 2021 r. i skierowane do ministra zdrowia w rządzie PiS Adama Niedzielskiego. Wszyscy pamiętamy to słynne: „Będziesz Pan wisiał!”. Doprawdy, można było się poczuć wtedy jak na prowincjonalnym sejmiku, gdzieś w Pierwszej Rzeczypospolitej, z całym ładunkiem zażenowania, który wydarzenie to przyniosło. Taka jest polityka Grzegorza Brauna – mocne słowa, wielkie gesty i postulaty, które wydają się nieraz wyjęte z rekwizytorni muzeum polityki. Każdy, kto kiedykolwiek czytał „Montaż”, powieść Władimira Wołkova opowiadającą o tym, jak KGB infiltrował rosyjską prawicę patriotyczną we Francji, musi mieć przynajmniej pokusę, by działalność Grzegorza Brauna traktować jako świadomą lub nieświadomą polityczną kompromitację idei katolickich, prawicowych i wolnościowych w świecie liberalno-demokratycznego państwa.

Czy jednak nie byłoby dziś czymś właściwym przyznać, że Braun w swojej krytyce reżimu sanitarnego miał wiele racji? Oczywiście jako polityczny wolny elektron nie wzięłby za nic odpowiedzialności, nawet gdyby się mylił. Jednak niedawny przypadek, gdy poseł Dariusz Rosati snuł się z COVID po sejmowej sali obrad i nikt tym właściwie się nie przejął, coś mówi o polityce sanitarnej ostatnich lat.

Zerknijmy zresztą do spotu wyborczego Grzegorza Brauna z roku 2015, gdy był on kandydatem na prezydenta RP. Dziś materiał ten siłą rzeczy jest już nieco zapomniany, ale tam właśnie wyłożone zostały przez Brauna zupełnie bezpośrednio idee napędzające jego grę. „Nazywam się Grzegorz Braun. Jestem niezależnym reżyserem. Nie należę do żadnej partii. Nie wierzę w demokrację, bo za jej fasadą rządzą mafie, służby i łoże. Jestem monarchistą, bo cenię wolność i szanuję tradycję. Socjalizm to dla mnie kradzież, aborcja to zbrodnia. Normalna rodzina to podstawa. »Nie« dla promocji sodomii. Podatki – proste

i zrobią wszystko, czego się od nich oczekuje” – mówi Braun.

Gdyby przyjrzeć się retoryce posła Konfederacji przeciw polityce pandemicznej, można by uznać, że mówi w tym fragmencie o polskim rządzie. „Kto zaś jest mocodawcą, kto pociąga sznurki, kto ma realną władzę w Galaktyce? Okazuje się, że za fasadą demokracji, za tym całym Senatem jest jakieś kółko [...], i to tam podejmuje się realne decyzje. Tu się robi politykę, a Senat tylko obraduje, a decyduje rycerze Jedi, czyli bezpieka [...], ubecja” – peroruje reżyser. Ubecja równie dobrze może przekształcić się w globalistycznych strażników „nowej normalności”. Jak wiadomo, takie metafory są pojemne.

Dodajmy jeszcze jeden wątek z tej wspaniałej pod wieloma względami analizy. „Kim jest Lord Vader? To oczywiście buntownik, to oczywiście jedyna szlachetna jednostka, taki pułkownik Kukliński w »Gwiezdnym wojnach«, jedyny człowiek, który przeciwko temu systemowi się buntuje, jedyny człowiek,

który przechodzi na stronę normalnych ludzi [...]. A skoro tak, to musi być najbardziej obsmarowany”. Czy to wszystko nie wydaje się państwu dziwnie znajome? Czy fikcja literacka nie stała się po prostu programem polityki Brauna, która w swojej zamaszystości zdaje się co i rusz ocierać o artystyczny performance? Dodajmy, że ten performance okazuje się niejednokrotnie niebezpieczny dla Polski, a także dla samego Brauna. Tak stało się np. wtedy, gdy poseł Braun, posługując się, jak można się domyślać, własną logiką świata na opak, poparł w czerwcu tego roku oświadczenie obciążające Ukrainę i NATO winą za rosyjską agresję na ziemi naszego wschodniego sąsiada. Czy antydemokratyczna logika analizy „prawdziwego sensu” „Gwiezdnym wojnach” nie sprawia przypadkiem, że i w realnym życiu poseł Braun chętniej ulega pokusie poszukiwania dobra u „Lorda Vadera”, naszego uniwersum i naszego czasu? Wszak i Lord Putin bywa przedstawiany jako obrońca

Di niskie. Kara śmierci dla morderców i zdrajców stanu. Polacy gospodarzami we własnym kraju. »Nie« dla żydowskich roszczeń. Dość finansowania partii z budżetu. Prawo do posiadania broni należy się każdemu wolnemu Polakowi. Emigranci, tu jest wasz dom. Jako prezydent nigdy nie zrezygnuję z suwerenności. Nie wyprzedam polskiej ziemi. Nie wyślę Polaków na wojnę ukraińską. Będę zabiegał o wolność gospodarczą, o broń jądrową dla polskiej armii i o intronizację Chrystusa Króla» – mówił. Niezwykła to mieszanina spraw i doktryn niepołączonych w zasadzie żadnym spójnym kluczem, za to trafiająca bezpośrednio w różne czułe miejsca politycznej publiczności, pieszczotliwie nazywanej przez lewicowe media „szurią”.

Pozostaje oczywiście pytanie, czy obecny poseł Konfederacji rzeczywiście tak właśnie myśli, jak wtedy mówił, czy może uprawiał i dalej uprawia swego rodzaju grę z publicznością. Nie byłbym zaskoczony, gdyby w wizerunku, który utworzył sobie ze swojej osoby, chodziło w pierwszej kolejności o podważanie demokratycznego konsensusu będącego fundamentem współczesnego kanonu języka politycznego, a zatem i politycznego myślenia. Szczerze się jednak zastanawiam, czy Grzegorz Braun ostatecznie nie uważa, że sam jest Lordem Vaderem polskiej demokracji, szlachetną postacią stawiającą opór „mafii, łozom i służbom”. Nie zdziwiłbym się także, gdyby dobrze się przy tym bawił. Oznaczałoby to jednak także, że każda krytyka, która go spotyka, raczej karmi aktywność, którą podejmuje, i skłania do dalszej rozbudowy wykonawczej ekspresji.

REWOLUCJONISTA TRADYCJONALISTA

Paradoks polega na tym, że Braun znakomicie wpisuje się w znany od romantyzmu, a najdalej neoromantyzmu model artysty celującego w drażnienie skołtunionego jego zdaniem mieszczaństwa, przywiązanego jedynie deklaratywnie do tradycyjnych wartości, a prywatnie uświnionego moralnie. Dzisiejsza sytuacja różni się od tamtej tylko tym, że mieszczański kołtun jest demokratycznym liberałem, głoszącym równość, wolność i tolerancję, ale prywatnie hołdującym ciasnemu sekciarstwu politycznemu, którego lista nienawiści pozostaje względnie stała: katolicy, patrioci, zwykli ludzie niepasujący do mieszczańskich wyobrażeń

o idealnym świecie. Można powiedzieć, że trudno byłoby Grzegorza Brauna nie lubić, gdyby jego performance’y nie ocierały się o politykę zupełnie poważną w sposób, który może godzić w polskie interesy. Do poważnego naruszenia politycznego decorum doszło bez wątpienia wtedy, gdy już po drugiej inwazji rosyjskiej na Ukrainę, czyli po 24 lutego, słowa Brauna, wypowiedziane przed wrześniową manifestacją „Stop ukrainizacji Polski”, tak dalece okazały się zbieżne z kremlowską linią, że zostały przywołane w słynnym programie propagandowym rosyjskiej telewizji „60 minut”, prowadzonym przez Olgę Skabiejewą.

Braun gromadzi publiczność, której resentyment jest nakręcany przez dysfunkcje i patologie polityki demokratycznej

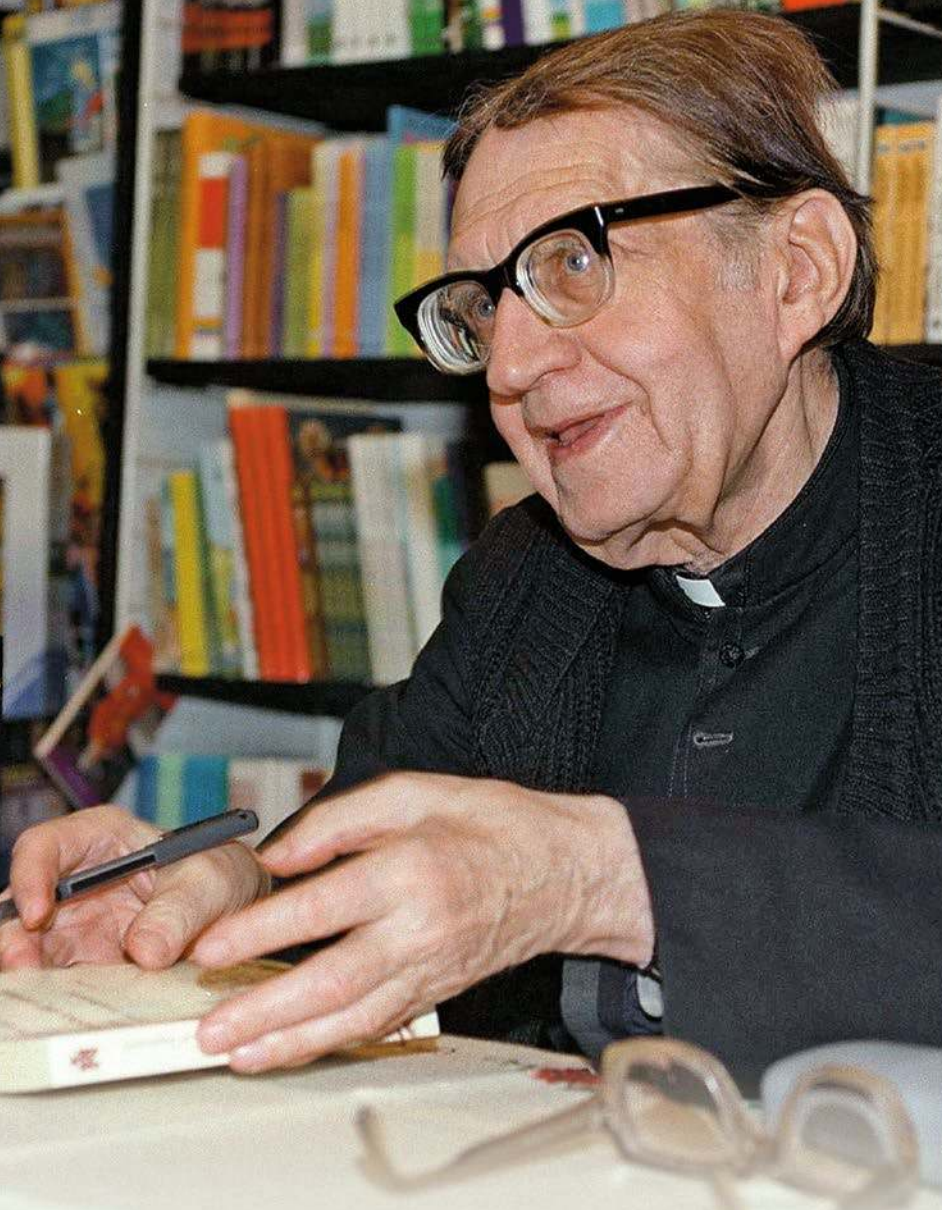
Jest tu i inny paradoks – choć Grzegorz Braun przedstawia się jako tradycjonalista, to bardziej jest rewolucjonistą, człowiekiem, który nie zna się na polityce, ale stara się ją wyrzucić niczym pokerowy stolik. Człowiekiem, który nie ma pojęcia o osiągnięciach politycznych celów w ramach konsensusu mogącego tworzyć dobro wspólne. Przypomina raczej pisarzy rewolucyjnych, głoszących oderwane idee, mające prowadzić do wielkiej pozytywnej zmiany na gruzach rewolucji, którzy pozostawili jedynie gruzy, nawet jeśli ciekawie intelektualnie opakowane. „Dlaczego ci literaci, którzy nie mieli ani stanowisk, ani zaszczytów, ani bogactw, ani odpowiedzialności, ani władzy, stali się w gruncie rzeczy głównymi politykami swego kraju, a nawet jedynymi politykami, bo podczas gdy inni sprawowali rządy – władzę i autorytet posiadali tylko oni” – pisał Alexis de Tocqueville w książce „Dawny ustrój i rewolucja”. Grzegorz Braun może nie pociąga tłumów, ale gromadzi publiczność, której resentyment jest nakręcany przez znane nam wszystkim dysfunkcje i patologie polityki demokratycznej. Demokratyczne wykluczenia i ostracyzm bywają gorsze niż te autorytarne, ponieważ zwykle łączą się z moralną dezawuacją, podczas gdy przeciwstawianie się tyranii zwykle ma smak uratowanej godności.

Równie intrygujące jest to, że ten oryginalny człowiek nie wziął się znikąd, ale należy do znanej z politycznej aktywności rodziny Braunów. Stryjem Grzegorza jest Juliusz Braun, w przeszłości przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, prezes Telewizji Polskiej i członek Rady Mediów Narodowych do roku 2022, także poseł na Sejm X, I, II i III kadencji. Jednak jeszcze ciekawszy jest związek rodzinny Grzegorza Brauna z Jerzym Braunem – redaktorem naczelnym katolickiego i jednocześnie buntowniczego „Tygodnika Warszawskiego”, pisma zniszczonego przez komunistów w roku 1948. Jerzy był młodszym bratem ojca Juliusza Brauna. Rozprawa z niepokornymi katolikami zakończyła się trzema wyrokami dożywocia – w tym dla Jerzego Brauna – oraz sześcioma wyrokami 15 lat więzienia, a także wieloma niższymi karami bezwzględnego więzienia. Czy to właśnie ten niepokorny, wręcz heroiczny, ale może i niekoniecznie zawsze roztropny duch Jerzego jest dziś obecny także w działalności Grzegorza Brauna?

Szkoda, że Grzegorz tego swojego rodzinnego potencjału nie przekłada na, nawet krytyczne, zaangażowanie w budowanie Polski, a zamiast tego wkłada wiele siły w machanie szabelką, którego cel jest coraz trudniejszy do wychwycenia. Chyba że chodzi mu, jak wielu artystom, o publiczność, o poruszenie, o to, by powtarzano wciąż jego nazwisko. Jeśli tak, to pozwolę sobie powiedzieć dość stanowczo – nie takiej polityki Polska potrzebuje.

Przeglądam z pewnym żalem filmografię Grzegorza Brauna. „Towarzysz generał” o życiu gen. Wojciecha Jaruzelskiego, „Eugenika – w imię postępu” – o segregacji ludzi, która w otocze naukowców była popierana przez liczne liberalne autorytety, „Poeta pozwany” – o Jarosławie Marku Rymkiewicz, „Towarzysz generał idzie na wojnę” – o przygotowaniach do stanu wojennego. Trochę szkoda tego dorobku. Choć filmy Brauna często ocierały się o prawicową propagandę, to jednak ich przekaz bezkompromisowy wobec prób rozmywania przeszłości, wobec fałszywej jednomyślności salonów był potrzebny. Trudno było nie cenić tej pracy. Dziś, choć Grzegorz Braun dalej stara się drażnić kołtuna, można odnieść wrażenie, że bardziej kompromituje siebie, niż osiągnął cel własnej wywrotowej gry na obnażenie fasadowości demokracji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Przyszedł mnie nawracać



Barbara Gruska-Zych

W książce „Moi ważni. Portrety prywatne”, wydanej niedawno przez wydawnictwo Ursines, opisałam 25 moich mistrzów, a może lepiej – nauczycieli życia. Wśród nich znajduje się ksiądz Jan Twardowski, którego poznałam osobiście za moich czasów studenckich. U niego pobierałam pierwsze lekcje pisania wierszy

Do „domu na kurzej stopce”, jak nazywała mieszkanie księdza Jana Twardowskiego jego przyjaciółka Anna Kamińska, albo – jak mówiono – „na górkę” weszłam dopiero jakiś czas po jego śmierci. Po krętych schodach na piętro organistówki przez wielokrotnie fotografowane zielone drzwi z odłazającą farbą. Tu mieszkał od 1959 r. w dwóch pokojach po księdzu Janie Ziei, wypełnionych, jak w jakiejś bajce, kolorowymi przedmiotami.

Wszystko zostało tam jak w chwili, kiedy szedł do szpitala. Zdjęcia, listy, przeróżne podarunki od odwiedzających, którymi cieszył się jak dziecko, zajmując miejsce na sprzętach, a nawet na podłodze. Od razu mi się to spodobało, bo mam przeświadczenie, że każdy ofiarowany mi przedmiot, zdjęcie, list, które gromadzę w domowej bibliotece, to czyjś ważny głos w chorze wspomnień.

Wśród najcenniejszych listów przechowuję krótki od księdza Jana, napisany po lekturze moich wierszy. Literki nieduże, lekko pochylone jak on sam z wiekiem, ale rozpoznawalne, jedyne. „Te wiersze są proste, pisane bez zbędnych udiwnień. Myślę, że łatwo mogą trafić do czytelnika”. Kiedy go dostałam, byłam szczęśliwa, że taką opinię wydał mi ten, który pisał najprościej, trafiając do milionów.

„NAPRAWDĘ MNIE CZYTACIE?”

W latach 80. i 90. ubiegłego wieku był najczęściej wydawanym, czytany i cytowanym polskim poetą. Ale kiedy odwiedzałam go z przyjaciółmi – Zuzią Nowakowską, Jolą Gut, Andrzejem Bierzgałskim, studentami śląskiej i warszawskiej polonistyki – w zakrystii kościoła ss. Wizek w Warszawie, z niedowierzaniem pytał tym swoim cichym głosem, przechylając głowę, żeby zajrzeć nam w oczy:

– Naprawdę mnie czytacie? Inni też? Naprawdę wam się to podoba? A przecież te moje wiersze takie tam...

Zapewnialiśmy go, że jest najbardziej czytany polskim poetą, że ma nieskończoną liczbę wielbicieli, którzy wypisują cytaty z jego wierszy i uczą się ich na pamięć. Jeszcze wtedy w nekrologach nie umieszczano brzmiącego jak memento początku jego wiersza: „Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą”. Napisał go w latach 70. dla Anny Kamińskiej, niedostatecznie docenianej poetki, która związała się z nim duchowo aż tak, że poprosiła go o chrzest, będąc już dorosłą. ■



■ Jak w przytoczonym wierszu – zostałem po nim buty pod łóżkiem. Jeden specjalny, ortopedyczny, bo utykał na nogę, w którą został ranny na początku powstania warszawskiego. „Oddział Armii Krajowej, do którego z wybuchem wojny wciągnął mnie szwagier, rozbity został w pierwszych dniach sierpnia i tułaliśmy się po różnych grupach. Zostałem ranny w nogę, znalazłem się w szpitalu powstańczym i szczerze byłem z tej rany dumny, chociaż nie uważałem się, naturalnie, za żadnego bohatera” – wspominał po latach.

Został też po nim „telefon głuchy”, który, jak twierdzą świadkowie, za życia dzwonił całymi dniami.

Na początku wydawało mi się, że jego powtarzające się pytanie, czy go czytamy, to kokieteria. Ale kiedy jakiś czas później o lekturę swoich konkretnych tekstów w „Odrze” dopytywał mnie doceniony Noblem Czesław Miłosz, odkryłam, że to naturalny stan piszącego. Że w każdym artyście świadomym, jakim niepewnym i karkołomnym zajęciem jest pisanie, rodzą się wątpliwości co do wartości własnego dzieła. Ponadto ktoś, kto jak on poważnie zdecydował się na pisanie, musiał posiadać nadzwyczajną wiarę, że każdy jego gest kreślący litery jest jedyny oraz sensowny i nic ani nikt, poza oczywiście nim samym, nie może wpłynąć na jego ostateczny kształt.

Mówił o sobie skromnie „ksiądz piszący wiersze”. Notował je na marginesie kapłańskiego życia – w konfesjonale, a także między odwiedzinami ogromnej liczby czytelników i wielbicieli.

Od niego wzięłam na całe życie przekonanie, że nie warto nazywać się dumnie poetą. Lepiej brzmi właśnie – „piszący wiersze”. Z pokorą przyznawał, że przychodzą do niego tylko niekiedy, że nie pozostaje stale w stanie łaski uświęcającej do pisania.

Nie zwracał uwagi na nagrody i zaszczyty, no, może nie krył radości, że został Kawalerem Orderu Uśmiechu przyznawanego przez najmłodszych. Za to bardzo się cieszył każdym, kto do niego przychodził. Kiedy odwiedzaliśmy go w zakrystii kościoła ss. Wizytek, a właściwie w pomieszczeniu przy niej, natychmiast wygospodarowywał dla nas czas, mimo licznych obowiązków, bo od 1959 r. sprawował funkcję rektora kościoła. Zwykle pytał, jak długo jechaliśmy do Warszawy, czy może czujemy się zmęczeni i głodni. Interesował się każdym z osobna, starał się zapamiętać nasze

Do dziś krążą anegdoty o tym, że lubił rozdawać wszystko, co miał. Raz, przez pomyłkę, oddał ubogiemu dwa nowe płaszcze swoich opiekunów

imiona. Kiedy po latach przyjechałam do niego z kilkunastoletnim synem, Tymek był zdziwiony, że dobiegający dziećmiędziesiątki ksiądz pamięta dobrze mnie i moich przyjaciół. Podczas innych odwiedzin, kiedy przyszliśmy do niego z moją przyjaciółką Jolą, odjął nam 10 lat i zwracał się do nas po imieniu. Kiedy wspomnialiśmy coś o naszych dzieciach, nagle poczuł się zakłopotany i zaczął nas przeproszać, że nie mówił do nas „pani”.

– Jako matkom należy się wam szacunek – stwierdził.

Do dziś krążą anegdoty o tym, że lubił rozdawać wszystko, co miał. Raz, przez pomyłkę, oddał ubogiemu dwa nowe płaszcze swoich opiekunów, braci bliźniaków Olszewskich, przekonany, że właścicielom nie są już potrzebne. Opowiadał mi o tym Tadeusz Olszewski, niedawno zmarły muzyk, dyrygent Warszawskiego Zespołu Chorałowego, od 1953 r. organista u sióstr wizytek, sąsiad księdza Jana, który razem z bratem Czesławem zajmował się nim w ostatnim okresie życia. W tamtym czasie często odbierał za niego dzwoniące bez ustanku telefony.

– Z bratem wyręczał księdza, żeby mu ulżyć, a czasem, by choć trochę odpoczął, mówiliśmy dzwoniącym, że go nie ma. Paradoksem była jego zarówno wielka cierpliwość, jak i niecierpliwość. Kiedy już stał ubrany w ornat, nie czekając na wyznaczoną godzinę, rwał się do ołtarza, żeby sprawować Eucharystię. Za to względem ludzi, którzy wręcz lgnęli do niego, był zawsze cierpliwy.

„SIEDEM KROKÓW W BOK”

Mama Aniela urodziła go jako trzecie dziecko – 1 czerwca 1915 r., o drugiej po południu, w domu przy Elektoralnej 49 w Warszawie. Może dlatego, że przyszedł na świat w Dniu Dziecka, tyle pisał o najmłodszych. Ale nawet kiedy kierował do nich swoje słowa, zawsze były one też przeznaczone dla dorosłych. Wiele kazań zaczynał: „Teraz powiem kilka słów do dzieci, które za szybko urosły”. Zwykle mówił trochę niewyraźnie,

pod nosem, ale gdy zaczynał głosić homilię, każde jego słowo brzmiało z mocą.

Zapytany kiedyś, co zabrałby ze sobą do nieba, odpowiedział, że zdjęcie mamy Anieli. Na tym, które zachowało się w jego pokoju, jest piękna 19-latką. Kiedy w 1971 r. chowano ją obok męża Jana na cmentarzu w Katowicach, gdzie mieszkała przez ostatnie 26 lat życia, do jej trumny włożył swój obrazek prymitywny. W 1945 r. rodzice księdza przenieśli się za krewnym Czesławem Knichowieckim z Radomia do Katowic. Razem z Zuzią, moją przyjaciółką ze studiów, odwiedzałam jego siostrę Lucynę w dawnym mieszkaniu państwa Twardowskich na piętrze tzw. drapacza chmur przy ulicy Żwirki i Wigury 15.

W gimnazjum uwielbiał zajęcia z nauczycielem biologii – Władysławem Kociejowskim – który kazał mu prowadzić zielnik i uczył nazw roślin. Potem w wierszach ze znanstwem przywoływał „po imieniu” jesion, czeremchę i inne drzewa, kwiaty, owady i zwierzęta. Z tego powodu krytycy zaczęli go nazywać protekcyjnie „Księdzem Janem od biedronki” i zamykać w szufladzie z napisem „twórczość odwołująca się do przyrody i zwierząt”. Za to, gdy przed pogrzebem jego trumna stała w kościele ss. Wizytek, czuwający przy niej całą noc jeden bezdomny i inni modlący się przy niej na zmianę mogli jak w żadnym innym kościele słuchać płynącego z głośników śpiewu ptaków. Małeńki ogród przy jego mieszkaniu pełen był karmników i gniazd, a on rozpoznawał każdego ptaka po śpiewie i mógł bez końca opowiadać o obyczajach ptasich, porach przylotów i odlotów.

Zdążył jeszcze przed wojną zostać studentem polonistyki, a jego mistrzem był sam słynny profesor Waław Borowy.

Na początku nikt w rodzinie nie przejął się tym, że może zostać księdzem, jak przepowiedziała mu w liście pewna wróżka. Podczas pierwszego po wojnie spotkania z krewnymi w Radomiu, tuż po ucieczce z obozu w Pruszkowie, oznajmił wszystkim, że jednak tak się stanie. Uczestniczący w tamtym wydarzeniu jego siostrzeniec Bohdan Knichowiecki opowiadał mi, że przekazaną przez niego wiadomością najbardziej przejęli się babcia i dziadek.

Polonistykę skończył w 1947 r., a święcenia kapłańskie przyjął rok później, w lipcu 1948 r., dokładnie w rocznicę swojego chrztu.



Pan Bohdan dobrze zapamiętał, jak towarzyszył wujkowi podczas sprawdzania szczotek jego pierwszego powojennego tomiku wydanego w 1959 r. Bo pierwszy, debiutancki „Powrót Andersena” opublikował w nakładzie 40 egzemplarzy jeszcze przed wojną, za namową Józefa Czechowicza.

Wielokrotnie wracałam do wiersza z tamtych czasów „O tej łzie co na końcu spadła”, wydrukowanego w „Odrze”:

**O najdroższa! Pod tej fary wież,
przy jabłoni siedem kroków w bok,
w szklach rogowych księży nie dostrzegaj
jak ust blisko włosów twoich lok.**

Nikt nie może mieć wątpliwości, że to opis umówionego spotkania dwojga młodych, przedstawiony z takimi detalami, że miało miejsce „siedem kroków w bok” od jabłoni, niczym w jakiejś romantycznej balladzie. Pod tymi linijkami widnieje podpis: Antoni Derkacz i mało komu udaje się odgadnąć, że to pseudonim księdza Jana. Właśnie ten wiersz stanowi świadectwo, po jakich światach musiał wędrować, żeby wybrać ten swój niepowtarzalny – zwykło-niezwykły z Panem Bogiem. Może ten śpiewny utwór został dedykowany jego pierwszej miłości – „Dziuli” – Wandzie Zieleńczykównie? Była komunistką, a on podczas wspólnych spacerów po Warszawie opowiadał jej o Panu Bogu.

Na jego tomikach nie pojawiała się informacja, że jest księdzem. Unikał zaznaczania tego, nie tylko ze względu na ograniczenia minionego ustroju. Taka była jego wola, nie chciał – jak nam mówił – narzucać czytelnikowi odbioru, bo przecież czytali go również niewierzący. A on w swoich wierszach nie pouczał, nie prawił morałów, nie straszył piekłem, a nawet się usprawiedliwiał: „Nie przyszedłem pana nawracać”.

Przez lata do jego konfesjonału ustawiały się kolejki już od siódmej rano. Niektórzy żartowali, że jeszcze zanim wysłucha penitenta, już udziela mu rozgrzeszenia, bo tak wierzy w Boże miłosierdzie i docenia dobrą wolę tego, który przyszedł wyznać winy. W wierszu „O Kościele” napisał, że lubi chować się do „konfesjonału, któremu stale odrastają uszy”. Przy jego kratkach kłękano wielu niemogących sobie poradzić z uczuciem nienawiści. Kiedy zapytałam, co zrobić, żeby wyjść z tego zakłętą kręgu, dostałam receptę:

– To wymaga pracy nad sobą, żeby nie pielęgnować w sobie takich uczuć jak

złość czy nienawiść. Każdego dnia, kiedy człowiek się obudzi, powinien wzbudzić w sobie postanowienie, że się oczyści ze wszystkich uprzedzeń do innych. A z nienawiścią trzeba uważać, bo moja nienawiść żywi drugiego człowieka, ułatwia mu nienawiść.

– Co to jest nienawiść? – dopytywałam.

Odpowiedź była natychmiastowa: – Brak miłości, jakieś zaślepienie, przekonanie, że ja mam zawsze rację.

– Czy da się raz na zawsze przebaczyć? – pytałam dalej.

Dziś widzę, że zaczepiany moimi pytaniami, wygłosił mi małą homilię. – Czy powinno się go zabić albo zrzucić z piątego piętra? Nie! Jest takie powiedzenie, że trzeba go uczynić swoim przyjacielem. Słowo „nieprzyjaciół” w języku polskim ma bardzo ciekawy, humanistyczny wydźwięk. „Nieprzyjaciół” to ten, który nie jest moim przyjacielem, ale ja mogę go nim uczynić. Mówił też, że na wojnach wywołanych nienawiścią i żądzą posiadania nie widzi się wrogów twarzą w twarz i może dlatego łatwiej je toczyć, walcząc z bezimienną masą ludzi, a nie z pojedynczym człowiekiem.

**„Człowiek, który umiera,
wymyka się naszym
oczom i idzie do Pana
Boga” – powiedział w jednym
z kazań**

– Nienawiść łączy się z wiarą w diabła, bo to on jej uczy – wyklądał mi. – A kim jest diabeł? To zło dla samego zła. Jeżeli jakiś kupiec zabije współnika, bo przez niego stracił majątek, albo jeśli mąż zdradzi żonę i ona go uśmierci, to jest zbrodnia, ale jeszcze ludzka. Ale jeśli niszczyć kogoś dobrego, niewinnego, to jest dopiero żal. Myśmy w Polsce już przeżyli najzłoty diabeł. Takim szatańskim wymysłem był hitlerizm, bo podczas wojny zabijano nawet matki z małymi dziećmi i chorych. To wtedy miało miejsce niehumanitarne zło.

Kiedy zapytałam, jak się nie dać złu,

usłyszałam, że ocalić nas może tylko miłość.

Z czasem Zuzia, pracująca w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, najbliższej miejsca zamieszkania księdza, coraz częściej donosiła nam o jego pogarszającym się zdrowiu.

„POD TWE STOPY ŻYCIE MOJE”

Ostatni wiersz dyktował bratu zakonnemu Marianowi o czwartej trzydzieści rano w dzień swojej śmierci, w środę 18 stycznia 2006 r. Leżał w sali 106 szpitala na Banacha w Warszawie. O dziewiętej trzydzieści z trudem przepisał go falującymi na kartce literkami:

**Zamiast śmierci
racz z uśmiechem przyjąć Panie
pod Twe stopy
życie moje
jak różaniec.**

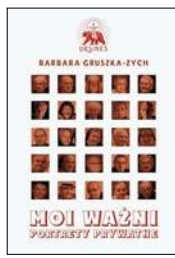
„To taki Karpiński na łożu śmierci” – właśnie takim komentarzem kazał opatrzyć ten tekst, który nazwał „wierszem dla Jezusa”. – O godzinie piętnastej ksiądz Aleksander Seniuk odprawił w sali szpitalnej Mszę Świętą, a ksiądz Jan uczestniczył w niej, leżąc z nałożoną na szyję stulą – opowiadał mi o jego ostatnich godzinach Tadeusz Olszewski. – Komunia Święta, którą wtedy przyjął, była jak wiatryk. Miał dwukrotnie wszczepiany rozrusznik serca, a wtedy widzieliśmy na monitorze, jak to wspomagane serce bije, aż o dziewiętnastej dwadzieścia cztery na ekranie pojawiła się ciągła kreska. Staliśmy wokół księdza jak na starych obrazach przedstawiających umieranie – kilka osób z rodziny, kilku przyjaciół, personel szpitalny. Wszystkim wydawało się, że tylko usnął.

„Człowiek, który umiera, wymyka się naszym oczom i idzie do Pana Boga” – powiedział w jednym z kazań.

W pokoju „na górce” pozostała zdjęta po śmierci maska twarzy księdza. Widać na niej delikatny uśmiech, jakby zobaczył już „Boga po stokroć świętego, mocnego i uśmiechniętego”, jak pisał w „Suplikacjach”. Dziś wybór jego poezji nie przez przypadek otwiera się na słowach: „Przecież tylko nieobecni są najbliżsi”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst jest skróconym przez autorkę rozdziałem książki Barbary Gruski-Zych „Moi ważni. Portrety prywatne” Wydawnictwo Ursines, Czeladź 2022, 488 s. Śródtytuły wybrane przez redakcję.





Samotność nad Wisłą



FOT. ADBESTOCK

W wielu polskich domach tradycyjnie w Wigilię zostawia się puste nakrycie dla zbłąkanego wędrowca. Niektórzy jednak – czego czasem nawet nie zauważamy – na tych rodzinnych spotkaniach czuć będą się tak, jakby siedzieli przy samych pustych nakryciach. Bo po prostu czują się samotni.

Wydawałoby się, że nowoczesne technologie – będące już czymś zwykłym – rozmowy wideo, sieci społecznościowe – spowodują, iż ludzie będą mniej osamotnieni. To okazuje się jednak pułapką. Wirtualne kontakty nie są w stanie zastąpić tych osobistych. W ludziach narasta więc poczucie samotności.

Samotność oznacza życie w stresie. A to z kolei zwiększa ryzyko chorób serca, udaru, demencji. Według badań naukowych samotność jest nawet gorsza dla organizmu niż brak ćwiczeń fizycznych. Ostatecznie oznacza ona o ok. 30 proc. większe ryzyko przedwczesnej śmierci, wliczając w to te najbardziej dramatyczne przypadki, gdy samotny człowiek nie może już znieść swojego położenia i sam postanawia zakończyć życie.

„Nowoczesny” styl życia, który jest wręcz nachalnie promowany, zupełnie tu nie pomaga. Dość wspomnieć, że już



Łukasz Zboralski

**Coraz więcej osób na świecie odczuwa osamotnienie.
W Polsce najbardziej samotni czują się młodzi mężczyźni**

dekadę temu Królewskie Holenderskie Stowarzyszenie Medyczne (KNMG), wydając wytyczne o tym, jak interpretować ustawę o eutanazji, dowodziło w nich, że przesłankami do stosowania zabijania na życzenie mogą być – jak to ujęto – także takie psychospołeczne dolegliwości jak „samotność”.

SAMOTNY JAK MĘŻCZYŻNA

Jak problem samotności wygląda w Polsce? Pierwszy obraz już mamy – dzięki badaniu przeprowadzonemu przez Instytut Pokolenia. Raport „Poczucie samotności wśród dorosłych Polaków” pokazuje, jak wielka jest skala problemu w naszym kraju i kogo on najczęściej dotyczy.

Jak wykazały autorki badania – prof. Elżbieta Mączyńska i Maria Janowska – większość Polaków odczuwa samotność. Aż 54 proc. badanych uzyskało

wynik na Zrewidowanej Skali Samotności R-UCLA (twierdzenie dotyczące życia, z punktowaną skalą odpowiedzi w zależności od tego, czy takie uczucia towarzyszą komuś często czy rzadko) powyżej średniej (42,16). Wyniki wskazały też, że to mężczyźni doświadczają większego poczucia samotności niż kobiety (42,99 – wynik mężczyzn, 41,45 – kobiet). Wiadomo też, że grupą, która najczęściej odczuwa samotność, są młodzi mężczyźni do 24. roku życia. Takie uczucie towarzyszy aż 65 proc. z nich. Równie często czują to mężczyźni w wieku 25–34 lat (57 proc.).

Przy takiej diagnozie zasadne pozostaje postawienie pytania: Dlaczego dotyka to głównie mężczyzn?

– Problem zaczyna się już na poziomie edukacji. To, czego wymagamy w szkole, bardziej przystaje do oczekiwań wobec grzecznych dziewczynek niż wobec chłopców. W związku z tym chłopcy

wyrastają w poczuciu niedopasowania do oczekiwania, do otaczającej ich rzeczywistości – wskazuje współautorka badania Maria Jankowska, specjalista ds. badań społecznych z Instytutu Pokolenia. – Badania pokazują, że chłopcy wypadają gorzej w egzaminach kończących poszczególne etapy edukacji. Częściej też rezygnują z ukończenia studiów. Mało jest też współcześnie przestrzeni, w których młodzi chłopcy czy mężczyźni mają okazję do wspólnego działania, gdzie mogą budować męskie relacje. W szkole biorą udział w ciągłej rywalizacji, na rynku pracy podobnie. To też oczywiście pokłosie tego, jak funkcjonuje cała gospodarka, gdzie dominuje nastawienie na zysk i traci się drugiego człowieka z oczu – dodaje.

Życiowa droga kobiet jest inna. Jeśli chcą osiągnąć niezależność finansową, to dużo częściej niż mężczyźni muszą mieć wyższe wykształcenie. Dlatego na uczelniach wyższych ponad 60 proc. studentów to kobiety. – Dopiero teraz zaczynamy tę nierówność zauważać – mówi Jankowska. – Mamy od dawna programy zachęcające kobiety do zdobywania wykształcenia na kierunkach technicznych, takie jak np. „Kobiety na politechniki”, a nie mamy w ogóle programów zachęcających mężczyzn do studiowania, szczególnie kierunków humanistycznych czy społecznych.

Kolejnym problemem mężczyzn, który zauważa badaczka, jest korzystanie w większym stopniu z pornografii, niż czynią to kobiety. – Pornografia utrudnia i ogranicza nawiązywanie kontaktów damsko-męskich w realnym świecie. Pod wpływem obrazów pornograficznych mężczyźni budują nierealne oczekiwania wobec partnerek, a to w realnym życiu powoduje, że doświadczają odrzucenia. Wówczas młodzi mężczyźni jeszcze bardziej tracą pewność siebie, zamykają się w sobie – opisuje Jankowska. – Mężczyźni inaczej też funkcjonują w mediach społecznościowych. Mniej czasu spędzają na Facebooku, Instagramie, więcej grają w gry. Chociaż często są to gry zespołowe, to jednak ten grupowy kontakt on-line nie zastępuje tego, co było wcześniej ważne społecznie, czyli potrzeby budowania męskich relacji przez wspólne działanie.

Raport jasno wskazuje, że częściej wysoki poziom samotności odczuwają ci, którzy nie są w związku (51 proc. osób stanu wolnego). Problem z samotnością

ma też niemal co druga osoba nieposiadająca dziecka (48 proc.), podczas gdy wśród posiadających co najmniej jedno dziecko odsetek ten wynosi 30 proc.

Prawdopodobnie pociąga to za sobą problemy pokoleniowe. Badanie Instytutu Pokolenia wskazuje bowiem na dużo wyższe poczucie samotności wśród osób, które wychowywały się w niepełnych rodzinach (bez względu na to, dlaczego nie była to rodzina pełna).

PANDEMIA POGŁĘBIŁA PROBLEMY

Dlaczego jednak w ogóle młodzi ludzie mają większe poczucie osamotnienia niż ci w wieku dojrzałym? – Myślę, że to kwestia tego, iż naprawdę od początku swojego życia w znacznej części żyją w świecie wirtualnym, a on, mimo pozornej bliskości, oddziela ludzi od siebie – ocenia Maria Jankowska. – Brak osobistego kontaktu powoduje, że nie jest realizowana podstawowa potrzeba człowieka: bycie z innymi.

Częściej wysoki poziom samotności odczuwają ci, którzy nie są w związkach (51 proc.), oraz nieposiadający dzieci (48 proc.)

Z innego raportu („Samotność w Unii Europejskiej”) opublikowanego w 2021 r. wiadomo, że na wszystkie problemy nowego pokolenia nałożyła się jeszcze pandemia – pogłębiła poczucie samotności. Raport ten opracowano na podstawie trzech badań, w których udział wzięło ponad 27 tys. osób powyżej 18. roku życia.

Pandemia COVID-19, związane z nią przymusowe lockdowny, kwarantanny, spowodowały podwojenie odsetka osób, które czuły się samotne przez połowę czasu w ciągu dwóch tygodni od wywiadu prowadzonego przez badaczy. O ile w 2016 r. takie uczucie towarzyszyło ok. 12 proc. obywateli UE, o tyle w pierwszych miesiącach pandemii w 2020 r. odsetek ten sięgał 25 proc.

Najbardziej osamotnieni poczuli się ludzie młodzi. Czyli ci, którzy i tak z samotnością we współczesnym świecie borykają się najczęściej. O ile w 2016 r. w grupie wiekowej 18–25 lat samot-

ność odczuwało prawie 10 proc., o tyle w czasie pandemii COVID-18 odsetek ten wzrósł aż do 40 proc.!

Pandemia wciągnęła cały świat w kryzys gospodarczy (a do tego dołożyła się jeszcze rosyjska agresja na Ukrainę). I znów ma to z pewnością pośrednio wpływ na poczucie osamotnienia. Raport Instytutu Pokolenia dowodzi bowiem, że większe poczucie samotności mają te osoby, które nie pracują bądź próbują znaleźć zatrudnienie, oraz ci będący w trudnej sytuacji materialnej.

OSAMOTNIENI W METROPOLIACH, ZOSTAWIENI NA WSI

W polskim badaniu zauważono też, że samotność częściej dotyczy mieszkańców dużych miast (w miastach powyżej 500 tys. mieszkańców wysokie poczucie samotności ma 41 proc. badanych) oraz wsi (39 proc.). Najniższe poczucie samotności mają mieszkający w średniej wielkości miejscowościach – od 100 do 199 tys. mieszkańców (26 proc.).

Syndrom samotności w tłumie można zrozumieć. W wielkich skupiskach, gdzie rytm życia wyznacza często pogoń za karierą, pieniędzmi, ludzie często nie znają nawet własnych sąsiadów z tego samego bloku. Zagadkowe pozostają jednak polskie wsie, gdzie, zdawać by się mogło, każdy każdego zna i poczucie bycia osamotnionym nie powinno być tak dojmujące.

– Myślę, że jedną z głównych przyczyn samotności na wsi są migracje. Młodzi ludzie przeprowadzają się ze wsi do miast: najpierw do szkół, a potem do pracy. Starsza społeczność wiejska, oderwana od potomków, czuje się samotna, bo nie doświadcza na co dzień bliskości najważniejszych osób – wyjaśnia Maria Jankowska. – Do tego struktura wsi w dużej mierze nie sprzyja kontaktom społecznym. Wsie coraz bardziej się wyludniają, a zabudowania są rozproszone, położone daleko od siebie, z utrudnioną komunikacją – wskazuje.

Zdaniem Jankowskiej problem samotności na wsiach dotyczy też młodych mężczyzn. Współczesne kobiety, które dbają o swój dobrostan i mają większą potrzebę podjęcia studiów i pracy, wyjeżdżają z tych miejscowości. – I najczęściej już nie wracają – dodaje Jankowska. – Pozostają tam więc młodzi mężczyźni, którzy nie podejmując nauki, nie szukając pracy w dużych ośrodkach, zostają po prostu sami...



Wiesław Chelminiak

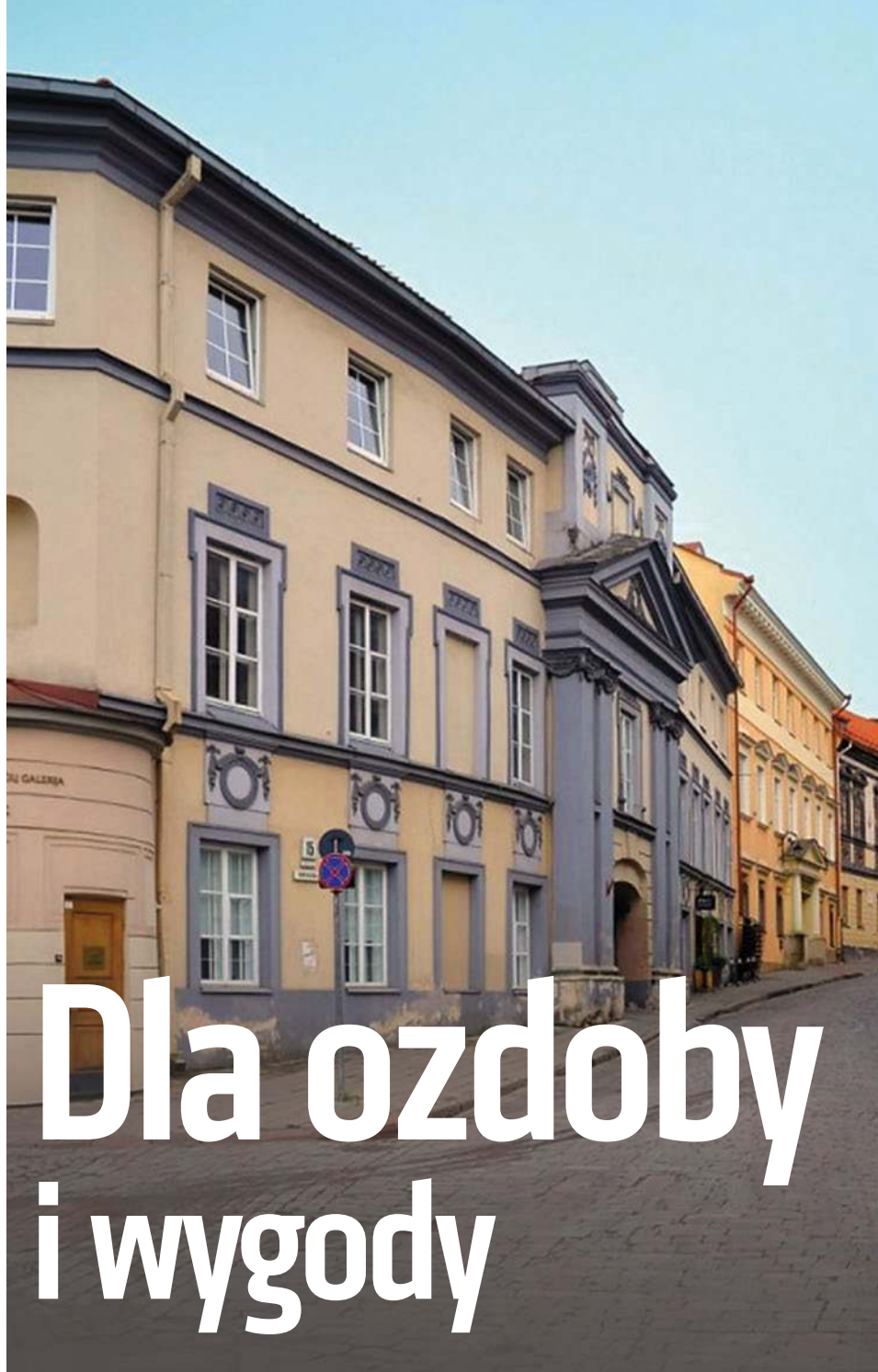
Wzorem dla wileńskich pałaców były ich krakowskie i warszawskie odpowiedniki. Mało tego, budulec zwykle pochodził z małopolskich kamieniołomów. Z Korony sprowadzano również muratorów, cieślów i rzemieślników

Hasło „wileński barok” kojarzy się z kościołami, które przetrwały, w lepszym lub gorszym stanie, rozbiory, wojny światowe i epokę przymusowej ateizacji. Świecką architekturę stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego los potraktował okrutnie.

Gmach, który wyrósł ostatnio w sąsiedztwie katedry, jest atrapą rezydencji ostatniego z Jagiellonów. Oryginał obrócili w ruinę najeźdźcy ze wschodu, resztki rozebrano na początku XIX w. razem z miejskimi murami. Magnackie i szlacheckie siedziby umierały dłużej. Pod berłem carów ich polscy właściciele stopniowo tracili pozycję i majątki. Siłą rzeczy marniały również pałace, jeden po drugim znikając z krajobrazu. Niektóre, wtopione w miejską zabudowę, ocalały, jednak w niczym nie przypominają samych siebie z okresu świetności. Po innych pozostały tylko legendy o duchach i ukrytych skarbach. Monografia Anny Sylwii Czyż, licząca blisko 700 stron, wypełnia białą plamę na rynku wydawniczym. Wcześniej nikt nie zajmował się tak kompleksowo rezydencjami elity Wielkiego Księstwa.

Rząd litewski niezmiennie deklaruje chęć rekonstrukcji artystycznego dziedzictwa stolicy, jednak stan wielu zabytków wciąż woła o pomstę do nieba. Powodem jest oczywiście brak funduszy, być może w grę wchodzi również brak sympatii do pomników polskiej przeszłości Wilna. Czesi też potrzebowali czasu, by polubić praski barok. Długo kojarzył im się z epoką narodowego upadku i dominacją niemieczyzny. Dziś chępią się architekturą obcego autorstwa.

Miejmy nadzieję, że podobna ewolucja stanie się udziałem Litwinów, gdyż trudno wiecznie ignorować fakty. A fakty są takie, że wzorem dla wileńskich pałaców były ich krakowskie i warszawskie odpowied-



Dla ozdoby i wygody

niki. Mało tego, budulec zwykle pochodził z małopolskich kamieniołomów. Z Korony sprowadzano również muratorów, cieślów i rzemieślników. Lokatorzy rezydencji językiem Mendoga nie władali, łatwiej było z nimi dogadać się po francusku, niemiecku i łacinie.

FENIKS Z POPIOŁÓW

Wilno ma metrykę sięgającą średniowiecza, lecz nie może uchodzić za miasto-palimpsest. To „zasługa” Moskali, którzy w 1655 r. zdobyli, splądrowali

i puścili z dymem litewską stolicę. Przetrwały jedynie relikt w rodzaju kościoła św. Anny – arcydzieło późnego gotyku. Przed tą apokalipsą żyło nad Wilią prawie 25 tys. ludzi, czyli trzy razy więcej niż w Warszawie, a tyle samo co w Krakowie. Gdańsk ze swoją 40-tysięczną populacją był polski tylko z nazwy. Odrobieniu strat nie sprzyjały kolejne okupacje i pożary tudzież polityczna marginalizacja Wilna. Monarchowie elekcyjni pojawiali się tu od wielkiego dzwonu, nawet sesje sejmowe odbywały się w Grodnie.



Fragment pałacu
Góreckich FOT. A.S. CZYŻ



należała jednak do rodów senatorskich i bogatej szlachty, aspirującej do najwyższych urzędów. Kim byli budowniczości? Najczęściej Włochami lub Niemcami wyznania protestanckiego (katolickim mecenasom jakoś to nie przeszkadzało).

Wileńskie rezydencje rozmiarami ustępowały zachodnim kuzynom. Wznoszone zwykle przy najważniejszych traktach, wpływały na rozwój miasta, jednocześnie będąc od niego zależne. Jasnie panowie musieli respektować pierzeje ulic oraz istniejącą już zabudowę. Domy sąsiadów, rzecz jasna, można było wykupić, ale rozbiórka równałaby się marnotrawstwu. Pozostawiano więc ich fundamenty, ściany lub nawet fasady, co skutkowało malowniczą nieregularnością i asymetrią. Zmora Wilna, podobnie jak Warszawy, były otaczające miasto jurydyki. Najwyższym prawem była tam wola magnata – założyciela. W takiej osadzie mógł zbudować, co chciał, a folwark zapewniał wyżywienie członków dworu i gości.

MEGALOMANIA W KAMieniu

Profesor Czyż zidentyfikowała i opisała 41 obiektów. Do najśłynniejszych należał trzykondygnacyjny Pałac Hetmański, wzniesiony w samym sercu miasta, przy ul. Wielkiej, przez Michała Kazimierza Paca. Magnat, słynący z pychy, był zajądłym przeciwnikiem Jana III Sobieskiego. Jak na ironię, gdy kilka lat po bezpotomnej śmierci Paca król przyjechał do Wilna, zakwaterowano go z całym dworem właśnie w Pałacu Hetmańskim. Potem gościli w nim jeszcze car Piotr Wielki i Napoleon, a w oficynie, w której mieszkał druh Mickiewicza Onufry Pietraszkiewicz, odbywały się spotkania filomatów i filaretów.

Następca Paca na urzędzie, Kazimierz Jan Sapieha, swoją letnią siedzibę wznosił za miastem, na wzgórzu antokolskim. Budowała zdraźda znaczne podobieństwo do warszawskiej rezydencji Wazów Villa Regia. Pięć bram wiodło na dziedzińce parady i gospodarcze, do ogrodu w stylu wersalskim, zwierzyńca oraz ośmiobocznego kościoła-mauzoleum, który profesor Czyż nazywa „majstersztykiem inżynierii”. Owym inżynierem był architekt wojskowy w stopniu pułkownika Giovanni Battista Frediani. Dwupiętrowa wielka sala słynęła w całej Litwie z bali



Fasada pałacu Wojnow

FOT. A.S. CZYŻ

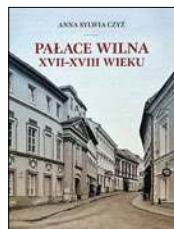
i bankietów. W ozdabianiu pałacu brał udział Michelangelo Palloni, najlepszy z malarzy, działających w ówczesnej Rzeczypospolitej, autor fresków w Wilanowie i katedrze wileńskiej.

Niestety, rezydencja już w 1700 r. została splądrowana przez litewską szlachtę, rozszlószoną panowaniem się Sapiechów. Hetman po ratunek udał się do Szwedów. Wcześniej po sąsiedztwie, nad samym brzegiem Wilii, na sztucznie usypanym półwyspie, zbudował swój pałac wojewoda połocki Dominik Michał Słuszk, stronnikiem, a potem zawzięty wróg Sapiechów. Skorzystał z usług tego samego architekta – Fredianiego.

W 1794 r. w mocno już podupadłym gmachu działał sztab insurekcji kościuszkowskiej.

MIESZKAĆ PO RADZIWIŁOWSKU

Rezydencja Ogińskich przy ul. Końskiej dołączyła do grona gigantów w połowie XVIII w. Ignacy Ogiński, marszałek wielki litewski, chcąc zademonstrować swoje bogactwo (drugi pałac miał w Warszawie) powiększył siedzibę przodków, wykupując i scalając sąsiednie domy zniszczone przez pożar. Ród wydał kilka wybitnych postaci, lecz Ignacy do nich nie należał. Współczesnym bardziej imponowała jego żona, Helena, która była „damą piękną, mądrą i tak wielkiej siły, że podkowsy łamać mogła”.



ANNA SYLWIA CZYŻ
„PAŁACE WILNA
XVII-XVIII WIEKU”
INSTYTUT
POLONIKA 2021

Mimo to lata panowania Jana III Sobieskiego i Sasów można uznać za złoty wiek wileńskiej architektury. Wilno odrodziło się jak Feniks z popiołów, chociaż już w innym, barokowym kształcie. Przybysz, podziwiając panoramę miasta z sąsiednich wzgórz, mógł ulec złudzeniu, że mieszkają tu wyłącznie papiści. Przed zagładą Rzeczypospolitej w mieście istniały 22 konwenty męskie i siedem zakonów żeńskich, z których każdy dysponował własną świątynią. Właścicielami pałaców bywali kościelni dostojnicy, większość



■ Gdy pałac Ogińskich rósł jak na drożdżach, rezydencja Janusza Radziwiłła na skraju Łukiszek, jedyna zbudowana na surowym korzeniu, zamieniała się w rudere. Hetman i wojewoda wileński, znany wszystkim z „Potopu” Sienkiewicza, był człowiekiem wściekle ambitnym. Projekt zamówił u Constantego Tencalli, twórcy kościoła św. Teresy i głównego ołtarza katedry wileńskiej. Pałac, wzorowany na pałacu Luksemburskim w Paryżu, otoczony ogrodami i owocowym sadem, dominował nad okolicą, kubaturą i wysokością dorównywał zamkowi Jagiellonów. Bywały w świecie magnat miał w nim galerię obrazów, kolekcjonował też książki i osobliwości. Na medalu, wybitym z okazji objęcia przez Radziwiłła najwyższych urzędów, sylwetkę pałacu opatrzone sentencją: „Dla ozdoby publicznej i własnej wygody”.

Najwspanialsza świecka budowla Wilna jeszcze za życia fundatora została zdewastowana przez Rosjan. Próbowal ją odnowić spadkobierca Janusza, Bogusław, ale później tak podupadła, że w 1806 r. Dominik Radziwiłł bez żalu

Karola „Panie Kochanku” i prawnuczka Sobieskiego cieszyła się sławą niewiasty rezolutnej i odważnej. Wywołała skandal, wychodząc za zwykłego szlachcica. Po powrocie z zagranicznych wojaży urządziła w pałacu gabinet historii naturalnej, który był atrakcją dla miejscowych i przyjezdnych. Teofila zbierała minerały, skamieniałości, muszle, monety, modele statków, a nawet przyrządy badawcze.

OD SPLENDORU DO RUINY

Elity Rzeczypospolitej Obojga Narodów preferowały estetykę włosko-francuską. Wileńskie pałace posiadały więc geometryczne ogrody z fontannami, arkadowe podcienia i loggie, paradne sienie, dziedzińce tudzież klatki schodowe. W XVII w. ściany dekorowano tkaninami, w następnym stuleciu modne stały się tapety, boazerie i żyrandole, kamień zaś zastąpiły stiuki. Liczyły się splendor i funkcjonalność. Na piętrze znajdowały się apartamenty (osobne dla pana i pani domu), paradne sale, skarbiec, czasem kaplica i biblioteka.

Ciepło zapewniały kominki oraz piece kaflowe. Na parterze były kancelarie (właściciel pałacu z reguły pełnił wysoki urząd), kuchnie, spiżarnie, pomieszczenia dla straży. Mniej reprezentacyjne skrzydła wynajmowano na mieszkania, cukiernie, kregielnie i warsztaty rzemieślnicze. Część gospodarcza, niezbędna, lecz będąca źródłem hałasu i paskudnych zapachów, funkcjonowała w osobnych budynkach, na obrzeżach parceli.

Pałace ożywały zimą, najbardziej w okresie karnawału.

Magnaci przyjeżdżali do miasta w celach rozrywkowych i w politycznych interesach. Brylowali na uroczystościach religijnych i państwowych. Na początku XIX w. Wilno stało się silnym ośrodkiem klasycyzmu. Katedra i ratusz upodobniły się do antycznych świątyń. Ofiarami „unowocześniania” padły też rezydencje, przejmowane przez rosyjskie urzędy lub instytucje użyteczności publicznej. Zaczęły nowe życie jako szpitale, szkoły, biblioteki, restauracje czy hotele. Czasem trudno je odróżnić od zwykłych kamienic, ale przynajmniej przetrwały.

W pałacu Oskierków działał pierwszy stały polski teatr miejski pod dyktando Wojciecha Bogusławskiego. Dziś zostały po nim tylko fragmenty murów,

stajnie i oficyny, zamienione w budynki mieszkalne. Położoną nad Wilią siedzibę Bogusława Radziwiłła zrównano z ziemią pod koniec XIX w. Ten sam los spotkał nadrzeczną rezydencję bp. Brzostowskiego, z powodu dalekowschodniego wystroju zwaną Chinami.

W miejscu pałacu Lwa Sapiehy, wybitnego wodza, dyplomaty i melomana przy Dominikańskiej, znajduje się parking. Na wyspie, oblewanej wodami Wilejki, po zburzeniu rezydencji Kierdejów, stworzono park, za polskich czasów zwany Cieletnikiem. W dawnej siedzibie Koszczyców działa hostel o wdzięcznej nazwie Jamajka, pałac Pocijów jest siedzibą banku. Sic transit gloria mundi.

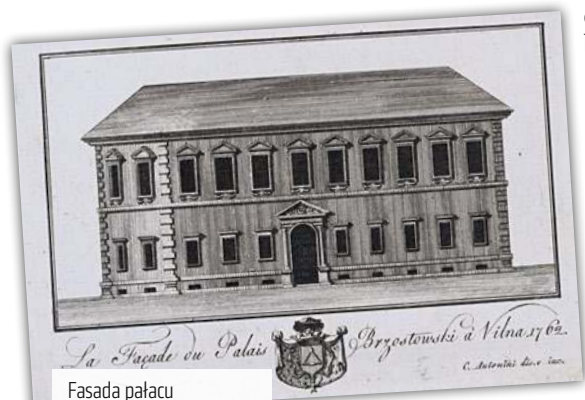
ZAMUROWANA BOGINI

Z rezydencji Janusza Radziwiłła zachował się tylko boczny pawilon i fragment skrzydła północno-wschodniego. Zapadła jednak decyzja, by odbudować giganta na cele muzealne. Na Zamkowej, zamiast Kardynalii stoi szpetny blok z 1979 r. W pałacu Ogińskich po odzyskaniu przez Polskę niepodległości zainstalowała się szkoła żydowska. Odtworzony po wojennych zniszczeniach obecnie mieści w swych murach teatr, restaurację i prywatne mieszkania.

Pałac Słuszki na Antokolu służył miastu jako gorzelnia, browar, tartak, koszary i więzienie wojskowe. Ostatnio stał się przybytkiem muz, siedzibą Akademii Muzyki i Teatru. Z bogatego wyposażenia nie zostało nic. Pobliską rezydencję Sapiechów na Antokolu Napoleon zdegradował do rangi lazaretu. Funkcję szpitala wojskowego pełniła aż do upadku ZSRS. Obecna rekonstrukcja trwa dłużej niż budowa pałacu.

W siedzibie wileńskich arcybiskupów po rozbiorach umościł się rosyjski gubernatorzy, dziś mieszka w niej prezydent Litwy. Pałac Hetmański skonfiskował car Mikołaj I, bo jego właściciel walczył w powstaniu listopadowym. Odrodził się jako pięciogwiazdkowy hotel. Podczas ostatniego remontu w niszy klatki schodowej znaleziono zamurowaną figurę Minerwy. W skromniejszej rezydencji Paców przy ul. Świętojańskiej, należącej do tzw. kanclerskiej linii rodu, za cara Mikołaja II funkcjonowała restauracja pod złowieszczą nazwą Russkij mir. W epoce sowieckiej budynek przejął związek łącznościowców. Teraz urzęduje w nim polski ambasador. Mała rzecz, a cieszy.

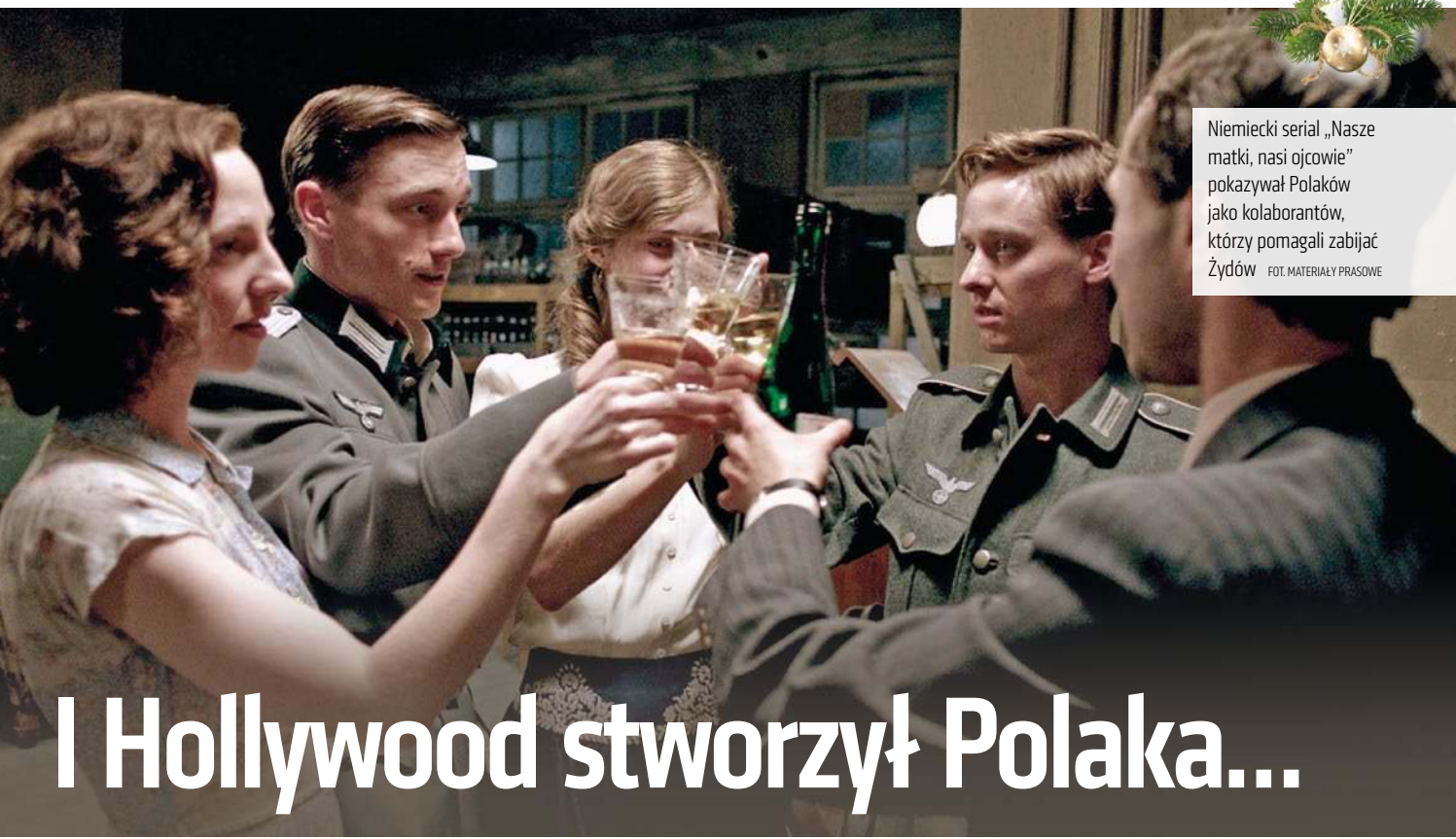
© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Fasada pałacu
Brzostowskich na grafice
z 1762 r. A.S. CZYŻ

przekazał pałac na cele dobroczynne. Historyczną siedzibą rodu była Kardynalia przy ul. Zamkowej. Nazwa wzięta się od Jerzego Radziwiłła, biskupa wileńskiego i krakowskiego. Oszczędni właściciele korzystali tylko z części budowli, resztę traktując jako źródło dochodów czerpanych z wynajmu.

Złota lata Kardynalii to czasy Michała Kazimierza z nieświeżkiej linii Radziwiłłów. Prace nad upiększaniem rezydencji nadzorowała jego żona Katarzyna, siostra króla Jana III. Kardynalia w ogóle miała szczęście do kobiet, pod koniec XVIII w. mieszkała w nim Teofila Konstancja z Radziwiłłów Morawska. Młodsza siostra



Niemiecki serial „Nasze matki, nasi ojcowie” pokazywał Polaków jako kolaborantów, którzy pomagali zabijać Żydów FOT. MATERIAŁY PRASOWE

I Hollywood stworzył Polaka...



Piotr Gociek

Brutal, pijak, antysemita, ciemny chłop, symbol istoty obcej i groźnej – naukowcy wreszcie zajęli się badaniem, skąd wzięły się antypolskie stereotypy w popkulturze

Pytany czasem: „Jak malują obraz Polaka w zagranicznych mediach?”, odpowiadam: „To zależy, kto zamawia”. Pamiętam, jak w czasie mistrzostw Europy w piłce nożnej rozgrywanych w 2012 r. w Polsce i na Ukrainie przynajmniej dwa razy złapałem brytyjskie brukowce na fabrykowaniu kłamstw. Raz chodziło o rzekome ataki rasistowskie na jedną z trenujących w Krakowie drużyn narodowych. Drugi raz był poważniejszy: donoszono o wielkiej bitwie, którą podobno polscy kibole wydali brytyjskim kibolom w Łodzi. Miał przy okazji zostać doszczętnie zdemolowany jeden z łódzkich pubów. Sprawdziłem raporty łódzkiej policji. Tamtej nocy nie zostało połamane nawet jedno krzesło – chyba że pod zbyt

pulchnym widzem – noc minęła wyjątkowo spokojnie.

Zatem kto płaci i zamawia (i z jaką intencją), ten dostaje takie, a nie inne wyniki – pod te oczekiwania skrojone. Łatwo wytropić powody propagowania kłamstw w kampaniach politycznych, bo łatwo zidentyfikować w czasie i miejscu kluczowe wypowiedzi polityków. Philippe de Villiers, szef prawicowej partii Mouvement pour la France, straszył jako pierwszy w roku 2005, że polski hydraulik odbierze pracę Francuzom. Słowa te rezonowały we Francji długie lata, mimo że niemal natychmiast zostały w udany sposób obśmiane przez kampanie promocyjną Polskiej Organizacji Turystycznej. Jak jednak radzić sobie w sytuacji, gdy mamy do czynienia z krzywdzącymi stereotypami wdrukowywanymi w głowy odbiorców kultury przez ponad 100 lat?

Jest o czym rozmawiać i o tym rozmawiano na jednej z najważniejszych konferencji naukowych, które odbyły się w Polsce w mijającym roku, a może i w mijających latach. FINA (FilMOTEKA Narodowa – Instytut Audiowizualny) zaprosiła do współpracy kwiat znawców (badaczy amerykańskich i polskich), by spróbować razem zanalizować temat „Obraz Polaka w zagranicznych filmach i mediach audiowizualnych”. Współorganizatorem

konferencji była Katedra Filmu i Mediów Audiowizualnych Uniwersytetu Łódzkiego, a spiritus movens całego przedsięwzięcia – filmoznawca i krytyk dr Mateusz Werner (Instytut Pileckiego, Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego).

Tytuł brzmi neutralnie, ale za tą zasłoną buzują olbrzymie emocje. Mówimy przecież o temacie, który niejednokrotnie poruszaliśmy na łamach „Do Rzeczy” (nie odstawiały i inne media konserwatywne) i który nieustannie bulwersuje naszych czytelników. Dlaczego obraz Polaków w zachodniej popkulturze jest tak negatywny? Skąd biorą się wszystkie te krzywdzące opinie? Dlaczego pozytywnym bohaterem hollywoodzkiego hitu może być dobry Francuz, dobry Czech, dobry Włoch, dobry Szwed, a nawet dobry Niemiec lub dobry Rosjanin – ale nie dobry Polak? Opanowany przez lewicę mainstream wyszydza te niepokoje, sugerując, że prawica ma obsesje i chciałaby, żeby zamiast „trudnej prawdy” o Polsce i Polakach wszyscy propagowali cukierkowy, jednoznacznie pozytywny i heroiczny (zatem w ich rozumieniu kompletnie fałszywy) obraz rodaka. Inni odpowiadają: „Wszystko zmienia się na lepsze, żyjemy w nowych czasach. Kto dziś martwiłby się brutalnością Stanleya Kowalskiego w »Tramwaju zwanym pożądaniem« albo antysemitą



■ Biegańskim z powieści Styrona i filmu Alana J. Pakuli »Wybór Zofii«?

STEREOTYPY WCIAŻ TRWAJĄ

Tymczasem jest się czym martwić, bo stare czasy zamieniają się w czasy nowe, a stereotypy nie odchodzą w przeszłość, najwyżej ulegają niewielkiej transformacji. A w polskim przypadku, jakkolwiek chcielibyśmy, żeby popkultura widziała w nas szlachetnego bojownika o wolność czy nawet szaleńczego strażnika, to jest to stereotyp pijaka, brutala, ciemniaka i zoologicznego antysemitę. Tymczasem Włoch to elegant, Francuz – kochanek, Niemiec – solidny fachura, Anglik – flegmatyczny, acz uparty podróżnik zdobywca itd. Nie, nic nie przemija, czasem nawet bywa gorzej. Wspomnijmy burzę, która wybuchła po premierze niemieckiego serialu „Nasze matki, nasi ojcowie” (2013), w którym pokazano Polaków z Armii Krajowej kolaborujących z hitlerowcami w celu mordowania Żydów. Był to miniserial niemieckiej telewizji publicznej, więc tu akurat wskazanie tego, kto skorzystał na plugawieniu wizerunku Polaka, jest łatwe. Niemcy od dekad prowadzą politykę wybielania własnej historii naszym kosztem. To zaś zbiega się z operacją dokonywaną na pamięci zbiorowej przez Izrael, który wspiera niemieckie tezy o „współsprawstwie” Polaków.

Będę się tu odwoływał do badań i dorobku poszczególnych gości FINA. Skoro o Niemczech, to kwestię prowadzenia polityki historycznej i wizerunkowej bada jeden z uczestników konferencji, prof. Konrad Klejsa. Gdy gościłem go w telewizyjnej dyskusji (program „Co Dalej”), opowiadał o tym, jak Niemcy w latach 70. XX w. szybko poprawiły swą reputację koprodukcjami z innymi krajami Zachodu, tworząc filmowe płaszczyzny pojednania i poprawy wizerunku. Dziwnym trafem na taki krok w kierunku Polski nigdy się nie zdecydowano. Ba, serial „Nasze matki, nasi ojcowie” jest krokiem w drugą stronę. Z kolei we współczesnej Rosji – tu już odwołam się do własnych dawnych tekstów i kwerend – szlak wyznaczył m.in. Nikita Michajłow w „Cyryliku syberyjskim” (1998), w którym Polak (grany przez Daniela Olbrychskiego) jest symbolem bezbożnego Zachodu, zepsucia, które przynosi mechanizacja, i największego zagrożenia dla świętej, uduchowionej Rusi. Kierunek rosyjski wymaga zresztą – jeśli chodzi o współczesną popkulturę i wizerunek Polaka – dalszych szczegółowych badań.



Kadr z filmu „Cyrylik syberyjski”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Na szczęście FINA zapowiada, że będzie organizowała kolejne konferencje podobne do tegorocznej.

Wielka polityka pomagała budować wielkie kłamstwo o Polsce i Polakach. Gdy Polski nie było na mapach, narracje antypolskie tworzyli zaborcy, uzasadniając swe działania rzekomą naturalną niezdolnością Polaków do rządzenia się samemu. Gdy Polska zmartwychwstała, nic się nie poprawiło. Opowiadał mi historyk Norman Davies, że w międzywojennej Wielkiej Brytanii niemal wszyscy eksperci ds. Europy Środkowej (w ministerstwach i służbach) byli byłymi carskimi oficerami. Trudno podejrzewać ich o przychylność dla sprawy polskiej. Jednocześnie propaganda sowiecka wściekle atakowała Polskę, która powstrzymała marsz Armii Czerwonej na Zachód (pisze o tym dr hab. Tadeusz P. Rutkowski w znakomitej książce „Pańska, szlachecka, faszystowska. Polska w sowieckiej propagandzie, kulturze i historiografii 1917–1945”).

Propagandzie sowieckiej wtórowała propaganda niemiecka. Wiele się mówi o antypolskiej polityce Hitlera i III Rzeszy, a przecież w latach Republiki Weimarskiej nie było lepiej. Polacy/Słowianie byli symbolami prymitywu, półzwierzętami żyjącymi w ziemnych norach, jak to się okazuje w kinowych „Nibelungach”. Krucjatę przeciw Polakom prowadził już kanclerz Bismarck, ale on ich doceniał i wskazywał jako zagrożenie, bo organizowali się i gospodarzyli lepiej od kolonistów niemieckich w Wielkopolsce. Spadkobiercy Bismarcka mają już dla Polaków jedynie pogardę i miejsce w obozach masowej zagłady.

No dobrze, tu sprawa oczywista, bo wściekłość dawnych zaborców była łatwa

do przewidzenia. Ale dziś najbardziej boli nas nie to, jak Polaków pokazują filmy zamawiane w Moskwie czy nawet w Berlinie, ale tam, gdzie ponoć zawsze doceniano polskiego ducha wolności, gdzie pamiętano, że Polska to Pułaski, Kościuszko itd. – w Hollywood. Fabryka snów i największa w świecie fabryka wizerunków. Skąd zmiana? Dlaczego Kowalski i Biegański zastąpili Paderewskiego i Modrzejewską?

STARCIE Z POLSKĄ

Tu z pomocą przychodzą prace naukowców amerykańskich. FINA zresztą zaprosiła ich na swoją konferencję naukową i był to strzał w dziesiątkę. Profesor Mieczysław B. Biskupski, badacz o polskich korzeniach urodzony w Chicago i kształcony w Kalifornii, w roku 2010 wydał fundamentalną książkę „Hollywood’s war with Poland, 1939–1945”. Na konferencję przyleciał z wykładem „Hollywood Creates the Pole” („Jak Hollywood stworzył Polaka”), który rozszerzał pole obserwacji. W książce Biskupski przyglądał się, jak wizerunek Polski padł ofiarą ocieplenia amerykańsko-sowieckiego wywołanego wspólnym sojuszem przeciw III Rzeszy, a jednocześnie wpisywał się w stereotyp, który powstał wcześniej, gdy w XIX stuleciu Polacy przybywający do USA stali się symbolem ciemnej hołoty, podobnie jak Węgrzy, Irlandczycy czy Włosi. Polak był długie dekady symbolem obcości także ze względu na katolicyzm w protestanckiej Ameryce. Osobny wątek to antypolskie nastroje twórców pochodzenia żydowskiego, którzy budowali Hollywood – wielu z nich przybyło z terenów zaboru rosyjskiego, które słynęły z systemowego antysemityzmu dużo wcześniej niż imperium Hitlera. No i temat Holocaustu, który podejmowany był nader często w duchu też z przywoływanej już powieści Styrona (i filmu Pakuli) „Wybór Zofii”, z których wynikało, że właściwie i bez Niemców sami Polacy tak bardzo Żydów nienawidzili, że mogliby im przyszykować zagładę.

Znow wizerunek Polaka padł ofiarą starań naszych okupantów o wybielenie własnego wizerunku. Po wojnie Ameryce potrzebni byli dobry Niemiec i dobry Włoch, by uzasadnić ich obecność w rodzinie krajów wolnych i demokratycznych. Ta potrzeba współgrała z wysiłkami na rzecz rewizji historii w Niemczech, a zapominamy też o tym, jak szybko np. włoskie kino po 1945 r. ustaliło nową narrację: Włosi nie byli sprawcami czy współsprawcami, byli krajem zniewo-



lonym przez Mussoliniego, a potem okupowanym przez Amerykanów. A co do Rosjan – w czasach, gdy popkultura miała za wroga sowieckiego szpiega i genseka (jak w cyklu o Bondzie) – polska kultura w odbudowywaniu reputacji brać udziału nie mogła, bo sama działała wewnątrz obozu wroga, obozu komunizmu. Inni więc napisali naszą historię, historię szaleńców, Polaczków. Jakże silnie osadził się ten stereotyp, jak długo przetrwał – oto w powieści Roberta „Enigma” i w filmie na jej podstawie (reż. Michael Apted, rok 2001) to Polak okazuje się zdrajcą wynoszącym do Sowietów tajemnice brytyjskiego wywiadu. Na próżno zirytowany prof. Norman Davies przypominał, że Polacy złamali kody Enigmy, a zdrajcą był sowiecki szpieg John Cairncross.

Po drugiej wojnie światowej w amerykańskiej popkulturze bywało już lepiej, ale nie tak dobrze, jak byśmy chcieli. Bardzo ciekawą analizę przedstawił Robert Rawski, autor bloga polskiemotywyfilmo-we.com. W wykładzie „Polacy na Dzikim Zachodzie” przedstawił wyniki imponującej kwerendy. Po przebadaniu kilku tysięcy westernów kinowych i seriali telewizyjnych zidentyfikował niemal 300 postaci Polaków, zwykle przewijających się na drugim planie. Niektóre były bohaterami negatywnymi, inne pozytywnymi, najczęściej zakwalifikował jako neutralne.

TEN OBCE

Nie zmienia to faktu, że Polacy w westernach zwykle występują jako pracownicy mało wykwalifikowani (najczęściej górnicy) i pełnią rolę symbolu postaci Obcego. Mówią niezrozumiałym językiem, kulturywują niezrozumiałe obyczaje, rzadko podlegają asymilacji, częściej się separują. To akuratne przedstawienie sprawy, bo w odróżnieniu od Włochów czy Irlandczyków polska diaspora w USA rzeczywiście nie zdołała wykonać cywilizacyjnego skoku awansu w amerykańskiej hierarchii prestiżu. Symbolem tej izolacji pozostaje przecież dzielnica Jackowo w Chicago. Nie mieliśmy polskiego odpowiednika klanu Kennedych, nie udało nam się stworzyć automatycznego skojarzenia Polaka z jakąś powszechnie użyteczną i szanowaną profesją (jak synonim Irlandczyka policjanta). Choć akurat jedną z nielicznych pozytywnych postaci Polaka w amerykańskim kinie to właśnie policjant – przypominał o tym prof. Konrad Klejsa, omawiając film „Rok Smoka” (1985) Michaela Cimino, w którym Polakiem jest

główny bohater Stanley White (gra go Mickey Rourke) tropiący chińskie triady w Chinatown.

Najbardziej wstrząsającą książką na temat antypolskich uprzedzeń w Hollywood jest wydana także nad Wisłą praca prof. Danushy V. Goski (William Paterson University of New Jersey): „Biegański. Stereotyp Polaka bydlaka w stosunkach polsko-żydowskich i amerykańskiej kulturze popularnej”. Ona także przyjechała do Polski na konferencję FINA i wygłosiła wstrząsający wykład inauguracyjny, biorąc później także aktywny udział w dyskusjach przy okazji innych wykładów i paneli. Od lat zresztą demaskuje źródła antypolskich stereotypów, występowała na przykład w roku 2019 na międzynarodowej konferencji historycznej w Waszyngtonie „Poland First to Fight”.

Goska sięga dużo głębiej niż tafla ekranu, małego i dużego. Wskazuje, jak wielką rolę w budowaniu nienawiści do Polaków, w budowaniu ciągu logicznego Polak – chłop – brutal – głupiec – brudas – prymityw – człowiek przepełniony nienawiścią (a potem i antysemitą) odegrał szczególny rodzaj darwinizmu społecznego, który wyznawały elity pod koniec XIX stulecia i w pierwszej połowie wieku XX. Ten pseudodarwinizm bliski jest hitlerowskiej teorii ras, to teza, że narody i grupy etniczne, podobnie jak świat zwierząt, ewoluują; że na szczycie piramidy są narody aryjskie i anglosaskie, a na dnie – m.in. dzicy Słowianie. Goska pokazuje w swojej książce, jak bardzo owe stereotypy wrosły w tkankę cywilizacji zachodniej – tak to trzeba wprost nazwać. I nie powinniśmy wahać się w określeniu tych praktyk mianem rasizmu – wszak oto całej grupie etnicznej, Polakom, przypisuje się cechy rzekomo wrodzone, dziedziczne, immanentne. „Každy kraj ma swojego Biegańskiego. W Stanach nienawidzi się tzw. białej hołoty. Poznałam wiele osób klasyfikowanych w ten sposób i żadna

z nich nie przypominała przypisywanego jej stereotypu” – mówiła na konferencji w Polsce prof. Goska. Ale wracała też do przypomnienia, że stereotyp Biegańskiego w USA używany jest, by wybielić Niemców: „Zawsze musi być winny, ktoś, kogo można nienawidzić. Skoro pogodziliśmy się z Niemcami, to nienawidźmy Polaków”.

Skomplikowany to węzeł i niełatwy do rozplątania. A żywotność antypolskich stereotypów wciąż jest ogromna. Głęboko poruszający był moment, gdy w programie nagrywanym dla TVP Kultura prof. Goska opowiadała o prostym teście, który przeprowadza na swoich studentach, by sprawdzić, jak głęboko sięgają uprzedzenia. Prosi studentów o wybór, jakiej narodowości lekarzowi chcieliby powierzyć swoje zdrowie i życie, gdyby zaszła potrzeba skomplikowanej operacji, np. mózgu. Mogą wybierać między różnymi parami – niezależnie od tego, kogo mają do wyboru obok Polaka, nigdy Polaka nie wybierają. Sama myśli o tym, że Polak mógłby być wysoko wykwalifikowanym specjalistą, a nie niepiśmiennym brutalem, jest dla nich niewyobrażalna.

Nie piszę jednak tego tekstu, by sprawić, że będziemy się użalać. Z konferencji FINA wynika, że w innych kręgach kulturowych, w kinematografii europejskiej czy południowoamerykańskiej obraz Polaka jest dużo bardziej wyważony. Marząc o wielkiej zmianie, musimy jednak zdawać sobie sprawę z tego, jak wielka jest skala wyzwania. Szkoda, że nie zdają sobie z tego sprawy wpływowi przedstawiciele polskich elit politycznych i kulturalnych, którzy w imię wojen politycznych w Polsce prezentują tezy wspierające opisane powyżej krzywdzące i nieprawdziwe narracje. Ale to już temat do innych rozważań. Na koniec dobra wiadomość: wystąpienia z konferencji można oglądać w formie wideo i Internecie. Ukażą się też drukiem jako książka. No i FINA obiecuje kolejne edycje. Czas najwyższy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Konferencja „Obraz Polaka w zagranicznych filmach i mediach audiowizualnych” FOT. FINA



TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: W żyłach Bohdana Smolenia płynęła krew wielu nacji?

KATARZYNA OLKOWICZ: Jego rodzina żartowała, że tworzy bigos genetyczny, do którego wrzuca się różne, czasem na oko niepasujące składniki, a na koniec wychodzi z tego danie perfekcyjne. Wśród przodków miał Węgrów, Włochów, Austriaków, Rosjan. W domu Smoleniów mieszały się i przenikały różne kultury, tworząc smakowite osobowości. Wszyscy się kochali, wspierali, pomagali sobie niezależnie od stopnia pokrewieństwa. Można było do nich przyjść na godzinę, by wyjść po trzech dniach.

Początkowo zamierzał zostać żołnierzem. Potem zootechnikiem?

Matka Bohdana, która jako bardzo młoda kobieta na skutek choroby została na zawsze przykuta do łóżka i wózka inwalidzkiego, dbała o edukację dzieci i zależała jej, by zdobyły dobry zawód. Wybrał armię, ale nie dlatego, że pociągał go sam mundur, po prostu chciał zostać kierowcą dużego, wojskowego samochodu, taką miał fantazję. Niestety, poległ na egzaminach sprawnościowych. Gdy kazano mu skoczyć z pomostu do wody, zrobił w tył zwrot i wrócił do domu, nawet nie spróbował. Lęk przed pływaniem go pokonał.

Po niezaliczonych egzaminach zarobkowo zajmował się cypryjskimi studentami, którzy przyjeżdżali na zaproszenie PZPR na studia do Akademii Rolniczej i uczyli się języka polskiego, a on oprowadzał ich po Krakowie. A że przy okazji kochał zwierzęta – szczególnie konie i psy, wybór zootechniki wydał mu się naturalny. Jednak nie z miłości do nich studiował 10 lat. Szybko odnalazł się na scenie, był współzałożycielem kabaretu Pod Budą i zrozumiał, że to jest jego droga. Na naukę już zabrakło mu czasu. Skończył uczelnię tylko dlatego, że rektor obiecał mu mieszkanie w zamian za zdanie ostatnich egzaminów – student Smoleń psuł mu statystyki. Nigdy jednak nie napisał pracy magisterskiej. Aby to zaakcentować, kazał sobie wydrukować wizytówkę, którą wręczał nowo poznanym ludziom: Bohdan Smoleń, inżynier aktor.

O jego artystycznej drodze życia zacydowały studenckie znajomości?

Pokusiłabym się o twierdzenie, że bardziej artystyczny dom, z którego pochodził. To, że na studiach zaczął szukać towarzystwa ludzi z podobnym, scenicznym zacięciem, było tego pochodną.

Rodzice Bohdana, Elżbieta zwana Lala i Bronisław, poznali się w teatrze. Matka



Z Katarzyną Olkowicz
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

165 centymetrów humoru



FOT. PIOTR KOWALSKI/PAP

była dobrze zapowiadającą się aktorką, ojciec konferansjerem w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej. Jedną z ciotek, Elwira Kamińska – choreografką, współzałożycielką Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. W rodzinie byli też śpiewaczki, muzycy, dyrygenci. Lala Smoleniowa świetnie pisała. Była autorką wielu piosenek, wierszyków, skeczy. To ona pisała Bohdanowi pierwsze teksty. Najpierw na akademie szkolne, potem dla kabaretu Pod Budą.

Termin „Pod Budą” kojarzy się z Andrzejem Sikorowskim, notabene odkryciem estradowym Smolenia...

Dołączył do Budy pod koniec studiów Smolenia. Bohdan miał talent do wynajdowania osobowości scenicznych, kiedyś usłyszał Sikorowskiego na jakimś przeglądzie i zaprosił go do współpracy. Ale trzeba podkreślić, że dawniej kabarety studenckie wyglądały inaczej niż teraz. Programy składały się po połowie ze skeczów i piosenek, stąd rozbudowana sekcja „liryczna”. Gdy Smoleń odchodził do Tey i wyprowadzał się do Poznania, reszta jego krakowskich kolegów artystów jeszcze przez moment

występowała samodzielnie, ale jeden po drugim kończyli studia, zaczynali pracę zarobkową. Osierocony kabaret Pod Budą przejął na koniec Andrzej Sikorowski i przekształcił go w grupę muzyczną, z którą występuje na scenie do dziś.

Dlaczego bohater książki przeprowadził się do Poznania?

Gdy z kabaretem Tey rozstaje się sceniczny partner Zenona Laskowika – Janusz Rewiński, Laskowik szuka „drugiego do pary”. Ten drugi ma być jego fizycznym przeciwieństwem – mały, chudy, pyskаты. To marzenie Laskowika – stworzyć duet na podobieństwo Flipa i Flapa. Przypomina sobie o Smoleniu. Lata wcześniej widzi go na scenie z kabaretem Pod Budą. Jedzie do niego, rozmawia i przekonuje, że warto do Tey dołączyć. Dla Smolenia to duży krok naprzód. W Krakowie jest popularny, ale jego kabaret jest wciąż studencki, nie zarabia pieniędzy, a Bohdan w tym czasie ma żonę, dwoje dzieci. Z czegoś trzeba utrzymać rodzinę. Tey już wtedy jest legendą, ciężko zdobyć bilety na występ.



Nie zastanawia się długo – jedzie. Na rok zostawia pod Wawelem żonę i synów, on sam mieszka w hotelu, bo mimo wcześniejszych obietnic nie dostaje mieszkania. Dopiero po tym czasie udaje mu się ściągnąć do siebie rodzinę. W Poznaniu rodzi się jego trzeci syn, a on sam staje się pełnokrwistym kabareciarzem i razem z Laskowikiem święcą triumfy.

Ta współpraca wydobywa z niego cały drzemiący potencjał. To samo działa w drugą stronę: Smoleń dla Laskowika staje się „muzyką”. Zenon pisze dla Bohdana najlepsze skecze i piosenki, twórczo go nakręca. Jak sam mówi: wystarczyło, by na Bodzia spojrzeć, a już miał pomysł, co dla niego napisać. Na scenie zachowywali się jak „swojaki” – jeden mądraliński, cwany, drugi wąsaty, który mu się odszczekiwał. Kto takich nie miał w swoim otoczeniu? W dodatku styl przekazu różnił się od wszystkiego, co ze sceny pokazywały inne kabarety – Laskowik śmiał się ze swoich żartów, a Smoleń wyglądał na takiego, któremu niechcący coś śmieszno się wyrwało. Nieraz się zachowywali tak, jakby właśnie dopiero przed publicznością wpadli na jakiś pomysł, celowo się gubili, niby zastanawiali, co powiedzieć – to wszystko sprawiało, iż widz wierzył, że to, co widzi tu i teraz, jest prawdziwe, że oto na jego oczach dzieje się coś magicznego. Byli niewątpliwie fenomenem.

Szorstka przyjaźń. To adekwatna definicja dla relacji z Zenonem Laskowikiem?

Najpierw jest przyjaźń ciepła, Laskowik się Smoleniem opiekuje, jest mu bardzo życzliwy. Potem następuje powolny przełom w ich relacjach, narasta konflikt, coraz częściej się kłócą, dogryzają sobie. W roku 1982 Smoleń przed premierą programu „Przedszkole” oznajmia Laskowikowi, że odchodzi. Ten jest w szoku, prosi Bohdana, by zagrał z nim jeszcze w tym spektaklu. I Smoleń zostaje, a „Przedszkole” grane jest jeszcze ponad dwa lata. Potem ich drogi się rozchodzą, mówi się o pieniądzach, o które Smoleń miał do Laskowika pretensje, konflikcie charakterów, zmęczeniu materiału itd.

Prawdopodobnie ktoś Smolenia podpuszcza: „Dlaczego nie dzielcie się z Zenkiem na pół, tylko on bierze większą część?”. A tu odpowiedź była prosta: bo to Laskowik pisze teksty, a Smoleń tylko je na scenie odtwarza. Owszem, twórczo, ale nie jest ich autorem i tantiemy mu się nie należą. Poza tym popularność członków Tey w którymś momencie zaczyna być

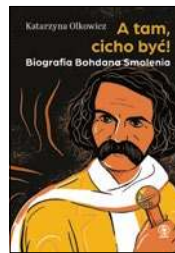
bardzo męcząca. Aktorzy nie mogą spokojnie przejść ulicą, zjeść zupy w restauracji. Wciąż grają, bo ludzie nie mają ich dość. Przebywają ze sobą prawie non stop. Są zmęczeni pracą i sobą nawzajem. Odrealnieni. Zaczynają być dla siebie coraz bardziej szorstcy. I następuje koniec tego legendarnego duetu.

Jak to się stało, że bohater książki zaistniał w filmie i nagrał hit z Krzysztofem Krawczykiem?

Na scenę telewizyjną trafia Smoleń za sprawą szefa Estrady Poznańskiej, a potem szefa Programu Drugiego telewizji, Zbigniewa Napierały, który widzi potencjał telewizyjny w kabarecie. Oprócz występów scenicznych członkowie Tey nagrywają cykle krótkich dowcipnych filmików w cyklu „Muzyka Małego Ekranu”. Smoleń jest tak dobrym aktorem, że dostaje kolejne propozycje grania w filmach fabularnych. Gra obok Krystyny Jandy, Piotra Fronczewskiego, Bożeny Dykiel. Emilian Kamiński, dyrektor teatru Kamienica, namawia go, by zagrał w jego sztuce. Niestety, Smoleń wymawia się brakiem czasu. Wtedy pochłaniają go zarabianie pieniędzy i występy z koncertami disco polo. Kilka lat wcześniej, na zasadzie żartu, nagrywa kilka piosenek z Krzysztofem Krawczykiem. Stają się wielkimi przebojami. Gdy nastaje era tzw. muzyki chodnikowej, Smoleń w nią wchodzi. Głos ma słaby, ale ludzie uwielbiają jego prząśny wygląd i interpretację tekstów. Same teksty – jak to w disco polo – jedna baba drugiej babie... Wiele osób prosi go, by przestał to robić, bo zaprzepaszcza w ten sposób swój dorobek sceniczny. Smoleń nikogo nie słucha. Zarabia.

Zawodowo radził sobie świetnie, prywatnie znacznie gorzej.

Nigdy nie ma czasu, za to zawsze ma za mało pieniędzy, bo uwielbia wydawać. Więc jeszcze więcej pracuje i ma jeszcze mniej czasu itd. Cierpi na tym rodzina, która go prawie nie widuje. Dzieci słabo się uczą, żona Teresa czuje się samotna i zaniedbana. W którymś momencie średni syn dołącza do środowiska chuliganów. Kradnie, bije się, narkotyzuje, pije, w końcu w wieku 15 lat popełnia samobójstwo. Rok później samobójstwo popełnia żona Smolenia, która nie poradziła sobie z sytuacją. Niedługo potem Bohdan żeni się po raz drugi, ale popełnia w stosunku



KATARZYNA OLKOWICZ
„A TAM, CICHÓ BYĆ! BIOGRAFIA BOHDANA SMOLENIA”
REBIS 2022

do żony te same błędy. Oboje już wtedy nadużywają alkoholu. Dochodzi do rozwodu. Z trzecią partnerką, Joanną, wyprowadza się do Baranówka, budując dom, stadninę, Smoleń zakłada fundację. Niestety, to czas jego podupadania na zdrowiu. Przychodzą wylewy, on wciąż pije, nie chce się leczyć i rehabilitować. Oddala się od swoich synów, którym coraz trudniej utrzymywać z nim relacje. Umiera na raty.

Samochody, broń, zwierzęta, rośliny były jego pasjami, a papierosy oraz alkohol nałogami?

Zawsze powtarzał, że jest mały (mierzył 165 cm wzrostu), więc musi mieć dużego. I miał: duże samochody, duże domy, duże psy, duże pistolety. Jego wielkie samochody paliły jak smoki, za duże domy pochłaniały fortunę na utrzymanie; na szczególnie broni używał tylko sportowo, obracał się w towarzystwie myśliwych, ale do zwierząt nie strzelał. Mówił, że jeździ z myśliwymi do lasu, bo jego kaszel palacza płoszy zwierzęta i dzięki temu wiele przeżyło. To prawda – zwierzęta do niego lgnęły, do roślin miał rękę. Niestety, przez całe życie towarzyszyły mu alkohol i papierosy. Był nałogowcem. Palił trzy paczki dziennie, pił dużo. Za dużo. Na pewno alkohol w dużej mierze odpowiadał za jego złe relacje rodzinne, zaprzepaszczenie kariery kabaretowej, stratę wielu przyjaciół, problemy finansowe. I, przede wszystkim, zapaść zdrowotną. Szkoda. 69 lat – co to za wiek na umieranie?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Katarzyna Olkowicz

– dziennikarka i reporterka związana z wieloma tytułami prasowymi, w tym „Expressem Wieczornym” i „Viv!”. Była zastępcą redaktora naczelnego w „Pani”, „Zwierciadle” oraz „Twoim Stylu”. Absolwentka dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego oraz psychologii społecznej SWPS. Autorka książek: „Serca bicie. Biografia Andrzeja Zauchy” (razem z Piotrem Baranem), „Nietypowy mundurowy. Psy do zadań specjalnych” oraz najnowszej „A tam, cicho być! Biografia Bohdana Smolenia”.



„Avatar”, czyli raj odnaleziony

KINO

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



★★★★★

REŻ. JAMES
CAMERON„AVATAR: ISTOTA
WODY” („AVATAR:
THE WAY
OF WATER”)
USA 2022wyst. Sam
Worthington, Zoe
Saldana, Stephen
Lang

Przepis na sequel jest prosty: jeszcze więcej tego samego. Drugi „Avatar” ów warunek spełnia, i to z nawiązką. Jest palimpsestem: pod powierzchnią z łatwością dojrzymy „Terminatora”, „Titanica”, „Gwiezdne wojny”, „Szczęki”, „Jurassic Park” i wiele innych filmów, które czerpały natchnienie z literatury, ta zaś z odwiecznych legend, przekazywanych z pokolenia w pokolenie. Cameron mitotwórca bez skrupułów wykorzystuje znane i lubiane motywy, cytuje sam siebie tudzież kolegów bazarzy.

Używając nowoczesnej technologii, snuje opowieść starszą niż kino: o mrocznej stronie cywilizacji oraz

konieczności powrotu do natury. Znowu musimy kibicować ogoniastym i wylupiastookim stworom. „Obcymi” są zaś ludzie, z reguły źli do szpiku kości. Gdzie się pojawia, tam sieją śmierć i zniszczenie. Przed oczami przesuwają się nam rajskie krajobrazy, skompilowane z najcudowniejszych zakątków Ziemi, po czym podrasowane w komputerach. Jeśli to nie jest kicz, to zjem swoje okulary.

Bohater, uciekając przed pościgiem, zmienia środowisko z leśnego na morskie. Cameronowi w to graj, wszak królestwo Posejdona fascynowało go od zawsze. Poza tym, jak wiadomo, „życie przyszło z wody”. Podejrzewam, że twórca

„Avatara” na panteizm nawrócił się dość późno, gdyż w tej kwestii wykazuje się gorliwością neofity. Powracające niczym mantra hasło „wielkiej równowagi” w gruncie rzeczy neguje całą naszą historię. Okazuje się bowiem, że trzeba było zostać na drzewach i w jaskiniach. Czy grzechem pierworodnym było wybicie mamutów czy dopiero założenie miast, dowiemy się pewnie z kolejnych części.

CZYM SKORUPKA ZA MŁODU NASIĄKŁA

Podejrzewam, że Cameron wychował się na westernach. Ale nie tych klasycznych, w rodzaju „Dyliżansu”, lecz na produkcjach

GRA TYGODNIA: „HELLO NEIGHBOR 2”

Plusy? Dostępna w Game Pass i... I... I – motyla nogal – jakoś trudno mi wymienić dalej. W jedynkę nie grałem, więc do dwójki podszedłem z czystą głową. I nie bawiłem się dobrze. Połączenie zręcznościówki ze skradanką i prostymi elementami przygodówki. Ani tu fabuły,

ani humoru, ani gameplayu. Jeśli już coś z sąsiadami w nazwie, to „Neighbours from Hell” („Sąsiedzi z piekła rodem”) sprzed lat. Swoją drogą „HN2” także sprawia wrażenie gry sprzed lat. Niewidzialne ściany, kulejąca fizyka, AI postaci... Mały budżet? Pewnie tak, ale za stosunkowo



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

niewielkie pieniądze można zrobić lepsze gry. ©© **Radosław Woitas**

• **Gatunek:** zręcznościowa, FPP

• **Platforma:** XSX, XONE, PS5, PS4, NS, PC

• **Producent; wydawca:** Eerie Guest/Dynamic Pixels; tinyBuild Games



rewizjonistów. Pamiętają państwo Indian toczących rozpaczliwą, lecz skazaną na porażkę walkę z białymi, ovladniętymi żądzą zysku i posiadania? Ten sam mit szlachetnego dzikusa lansuje „Avatar”. Z dawnych westernów zostało tylko ujeżdżanie dzikich mustangów, przemalowanych na pterodaktyle.

ZWYCIĘSKIEJ DRUŻYNY SIĘ NIE ZMIENIA

W sequele wracają wszyscy istotni bohaterowie, nawet ci, którzy stracili życie w poprzednim rozdaniu. W kategoriach widowiskowych film daje radę (jakość naparzanek zawsze idzie w górę, gdy do gry wkraczają chłopaki z piechoty morskiej), lecz gdy akcja zwalnia, Cameron zaczyna łać wodę i przynudzać. W prorodzinnoci przebił nawet Spielberga („Sully trzymają się razem!”), a to naprawdę trudna sztuka. Ci, którzy liczyli, że „Istota wody” będzie przypominać „Imperium kontratakuje”, mogą się poczuć nieco zawiedzeni. Cierpliwości, do armagedonu wcześniej czy później dojść musi. O ile bowiem w pierwszej części przedmiotem pożądania „ludzi z nieba” były surowce, o tyle teraz stanie się nim ziemia. Ojczysta planeta intruzów, do cna wyeksploatowana, umiera. Wkrótce na Pandorze wylądują pierwsze rakiety z osadnikami. Drżycie, ogoniaści!

Na razie Pandora jest jak Ameryka przed przyplłynięciem „Mayflowera”. Stada bizonów swobodnie biegają po stepie, niedźwiedzie grizzly śpią w gawrach, a Siedzący Byk jeszcze się nie urodził.

Postscriptum: jeśli Cameron nie wyleczy się z perfekcjonizmu, to ciągu dalszego nie doczekamy się wcześniej niż za 20 lat. ©©

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Z życia gwiazd



PIOTR GOCIEŁ

Zawsze uwielbiałem oglądać Paula Newmana, nawet w kieszonkowych filmach. Prócz talentu i charyzmy miał jeszcze w sobie coś nieuchwytnego, co sprawiało, że chciało się zostać stworzonymi przez niego postaciami. Jego żonie, Joanne Woodward, poświęcałem mniej uwagi – choć to też aktorka znacząca (cztery oscarowe nominacje, Oscar za rolę w „Trzech obliczach Ewy”). Nie ja jeden postępowałem podobnie i ta nierównowaga była jednym z burzliwych wątków życia hollywoodzkiego małżeństwa – z biegiem czasu Newman stał się coraz większą gwiazdą, podczas gdy Joanne coraz trudniej było znaleźć angaż w filmach, w których nie występował jej mąż.

Mimo to żyli razem, doczekali się dzieci i wnuków, razem cierpieli i szaleli, razem radzili sobie z niełatwym życiem osób publicznych, a także przechodzili przez rodzinne tragedie (syn, który zmarł po przedawkowaniu narkotyków). Zdradzali się, kochali, kłócili, wspierali. Sześcigodzinowy dokument o ich życiu i filmach przygotowany został na podstawie tekstów nagrań, których dokonał niegdyś z nimi Stewart Stern, scenarzysta „Buntownika bez powodu”. Nie wiemy, dlaczego Newman zniszczył taśmy, ocalały jednak stenogramy. Ethan Hawke wskrzesił słynne małżeństwo, każąc czytać ich kwestie George’owi Clooneyowi i Laurze Linney (oraz zaangażował plejadę innych gwiazd do ożywienia kwestii innych bohaterów).

Powstało coś pomiędzy typowym filmem dokumentalnym, esejem o przemianach amerykańskiego kina (i sztuki aktorskiej) a nieco plotkarską biografią. Zdaniem niektórych momentami zbyt uładzoną, bo mroczne strony Newmana nie zostały odpowiednio wyeksponowane (alkoholizm). Ale dramatu i tak jest tu wiele, ogląda się tę opowieść lepiej niż ostatni sezon „The Crown”. Życie nigdy nie jest sprawą łatwą i prostą, życie pod ciśnieniem tym bardziej, a Hollywood nie szczędzi swym bohaterom (i ofiarom) szczególnych rodzajów prób. Mimo wszystko wychodzili z nich zwycięsko, spędzając jako małżeństwo niemal pół wieku, występując razem w 16 filmach (ostatnim wspólnym był „Pan i pani Bridge” z roku 1990). Czy byli ostatnimi prawdziwymi gwiazdami Hollywood? Pewnie nie. Czy byli jedną z jego par królewskich? Bez wątplenia. ©©



★★★★★

**SERIAL DOKUMENTALNY
„OSTATNIE
GWIAZDY KINA”
(„THE LAST
MOVIE STARS”)
USA 2021**



NOWE SERIALE: „ODDZIAŁ DLA ZUCHWAŁYCH”

Opowieść o początkach SAS (Special Air Service), brytyjskiej elitarniej jednostki specjalnej. Pomysł jej powołania wpadł do głowy w 1941 r. Davidowi Stirlingowi (gra go Connor Swindells). Sześciogodzinowy serial stworzony został przez Stevena Knighta, wziętego scenarzystę („Locke”, „Wschodnie obietnice”, nominacja do Oscara za „Niewi-

doczyn”, serial „Tabu”). W obsadzie znaleźli się także Alfie Allen, Sofia Boutella i Dominic West. Brytyjskim widzom podobalo się na tyle, że kilka tygodni po premierze BBC One zamówiła drugi sezon. ©© **Piotr Gocieł**
• **Sezon 1 „Oddział dla zuchwałych” („SAS: Rogue Heroes”), Wielka Brytania 2022**

CANAL+
ONLINE

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

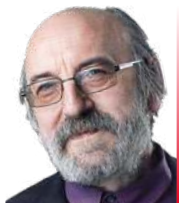
- **Sezon 1 „Wiedźmin: Rodowód krwi” („The Witcher: Blood Origin”), USA 2022**
- **Jaume Collet-Serra „Black Adam” USA 2022**
- **Sezon 3 „Jack Ryan” USA 2022**

prime video



MOJA PÓŁKA

Inny świat Tadeusza Gajcego

KRZYSZTOF
MAŚLÓN

OTadeuszu Gajcym mówi się zwykle raz w roku, w rocznicę powstania warszawskiego, w którym poległ. W kończącym się roku wspomniany był nieco częściej, a to ze względu na setną rocznicę jego urodzin. Dokonana przez PIW wraz z Biblioteką Narodową edycja „Opowieści z innego świata” z dołączonym reprintem wydanych konspiracyjnie w 1943 r. „Widm” jest dobrą okazją, by przywołać postać i twórczość tego wyjątkowego poety.

Odzykiwaliśmy jego wiersze stopniowo, wolno, ale uparcie. Po latach nieistnienia, gdy uchodził za autora „faszystowskiego” z przyprawioną mu gębą antysemicką, najpierw zaczęto wymieniać jego nazwisko, potem tytuły jego tomów, aż wreszcie utwór „Do potomnego” dostał się do szkół, oczywiście, że we fragmencie tylko, ale kto przeczytał wtedy słowa:

*Kochałem tak jak ty zapewne,
ale mi serca dano skąpo
na miłość moją niepotrzebną,
bowiem stawały nad epoką,
której imiona dajesz teraz
olbrzymia śmierć i przerażenie,
ten ich nie zapomni.*



★★★★★
TADEUSZ GAJCY
„OPOWIEŚĆ
Z INNEGO
ŚWIATA”
PIW, BIBLIOTEKA
NARODOWA,
WARSZAWA 2022

Porywała treść poematu, a także zdumiewała jego forma, niezwykła estetyka, w której był utrzymany. „Autor »Do potomnego«, kojarząc odległe znaczeniowo słowa, tworzył w obrębie związków wyrazowych niespotykane dotąd jakości – pisze Rafał Brasse w zawartym w wydany teraz tomie eseju »Uśmiechem pozna mnie męczeńskim. Poetycki testament Tadeusza Gajcego«, zauważając, że „o ile model wiersza wolnego wypracowany przez Tadeusza Różewicza okazał się wyjątkowo płodną glebą dla wielu utalentowanych twórców, o tyle styl poetycki Gajcego stworzył ba-

rierę artysty z wielu względów niemożliwą do kontynuacji”. A czy, i na ile, poeta „osiągnął apogeum w obszarze swoich możliwości twórczych”? Na pewno trudno to wyrokować, ale przyjmijmy, że arcydzieła zwykle nie chodzą z nikim w parze, są samotne, a Tadeusz Gajcy pozostanie – jak pisał Czesław Miłosz w „Balladzie” – „już na wieki dwudziestodwuletni”. Choć noblista mocno się pomylił, w tej samej „Balladzie” twierdząc: „Leży Gajcy, nigdy się nie dowie / Że warszawska bitwa zeszła na nic”.

Powstanie warszawskie ma swoje relikwie i ikony. Nieprzypadkowo tak bliska była twórczość Gajcego Zbigniewowi Herbertowi czy Jarosławowi Markowi Rymkiewiczowi, a trochę nieoczekiwanie sięgnęli po nią nasi rockmani, w nagranej w 65. rocznicę powstania płycie „Gajcy”, na której znalazło się miejsce i „Dla potomnego”, choć najsilniejsze reakcje wzbudził wtedy śpiewany, a właściwie recytowany przez Lecha Janerkę powszechnie nieznaną, uważaną za ostatni obrazoburczy wiersz poety: „Święty kucharz od Hipcego, / wszyscy święci, hej do stołu! / W niebie uczta: polskie flaczki / wprost z ryńsztoków Kilińskiego! / Salcesonów misa pełna. / Świeże, chrupkie. Pachną trupkiem: / To z Przedmurza! / Do godów, Święci, do godów, przegryźcie Chrystusem Narodów!”.

Ale nie przesadzajmy z poezją śpiewaną, którą skądinąd doceniam, a jej zasługi dla popularyzacji literatury uważam za niepodlegające dyskusji. Gajcego i o Gajcym przede wszystkim trzeba czytać, dlatego cieszą takie książki jak ta albumowa, pięknie, z wieloma zdjęciami wydana „Opowieść z innego świata”. Z podanym w oryginalnej formie

tekstem głośnego wystąpienia poety „O wawrzyn”, z atakiem na poetów dwudziestolecia z Tuwimem na czele, z takimi wierszami jak „Przyjacielowi w drodze” czy „Przesłanie”, a przede wszystkim z poematem „Do potomnego”, który to utwór – jak powiada Rafał Brasse w otwierającym „Opowieść...” szkicu biograficznym – „należy do szczytowych osiągnięć literatury polskiej, a formalną doskonałością, wyobraźniowym pięknem, głębią myślową może konkurować z najlepszymi poematami dwudziestowiecznej poezji, takimi chociażby jak „Prolog” Dylana Thomasa czy „Wydrążeni ludzie” Thomasa Stearnsa Eliota. Wczytajmy się w te słowa:

*W tym kraju smutnym pełnym gwiazd
samotne trwanie, młodość chrobra
i sen pod pługiem, co jak orła
złamane skrzydło idzie nisko.
Dalekie niebo się nachyla
i ufnie błyska lot motyla
lecz człowiek ręce nie jak skrzydła,
a broń śmiertelną z sobą dźwiga.
I nigdy ust nie zmieni w skrzypce,
A oczu w światło. Ogień czysty
Na bark męczeństwo, serca twogę
przyjmuje w siebie. Własny portret
wśród chmur spalonych siarką widzi.*

*I wtedy spada jękiem miedzi
mozolne słowo, wargą puchnie
jak mnie, choć znowu szeptem tylko
do ciebie mówię.
I wiem, że chyląc głowę trudną
nad liter brzdąk – widzisz jeszcze
mój obraz: idę przez powietrze,
a za mną miasto moje idzie.
Niebiosą górą, echo trąb
I mocny oddech tych, co śpią
podwójnym trwaniem: pierwsze
chroni
omszały mur za stosem broni,
a drugie – pościel białą spiętrza.
Ten czas, ta noc i ja bez miejsca
nad tobą ważą się i uczą:
ostatni sen, a boleść pierwsza
i słona miłość nad ojczyzną. ©©*



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Słowo,
czyli świat

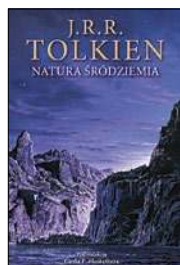
Od lat pytany, którą powieść uważam za najbardziej chrześcijańską, odpowiadam: „Władca Pierścieni” – i często spotykam się z dezorientacją na twarzach rozmówców. Tymczasem jak pisał sam Tolkien, jego dzieło „jest oczywiście zasadniczo dziełem religijnym i katolickim; początkowo niezamierzenie, lecz w poprawkach świadomie”. Dawno, dawno temu, nie znając zawartości listu, z którego pochodzi ten cytat, wyczuwałem rzecz instynktownie. A „Władcę Pierścieni” czytam w każde święta Bożego Narodzenia. Ten, kto tego obyczaju nie rozumie, albo nigdy słynnego dzieła Tolkiena nie czytał, albo zupełnie inaczej je rozumiał.

W książce „Natura Śródziemia” zawierającej „późne teksty na temat krain, mieszkańców i metafizyki Śródziemia” Carl F. Hostetter, który rzecz zestawiał, kilka stron poświęca wskazaniu biblijnych inspiracji w dziele Tolkiena, a jedna z trzech części książki nosi tytuł „Umysł, ciało i dusza”. „Natura Śródziemia” bywa niekiedy nazywana 13., dodatkową częścią 12-tomowej „Historii Śródziemia”, która zbiera w całość wszystkie teksty, notatki i szkice, które Tolkien poświęcił stworzonej przez siebie mitycznej krainie. Teraz dobre wia-

domości: pełne wydanie tej historii ukazuje się właśnie w języku polskim, pierwsze dwa tomy już trafiły do księgarń. To akurat pozycje, które wcześniej ukazały się w Polsce („Księga zaginionych opowieści”), ale kolejne będą premierowe, poczynając od „The Lays of Beleriand” zawierającej nietłumaczone na polski pieśni Tolkiena o Śródziemiu.

Oczywiście wiele z zabranych w serii tekstów to lektura jedynie dla zaawansowanych i mocno dzieło Tolkiena wielbiących. Jednocześnie trudno bez nich w pełni zrozumieć jego fenomen, skalę talentu i skalę przedsięwzięcia. Niejeden pisarz szedł w jego ślady, wymyślając fantastyczne krainy, rasy, mitologie, języki. Nikt mu jednak nie dorównał – nie dlatego, że wszyscy byli idiotami, ale dlatego, że był Tolkien genialnym znawcą i twórcą języków, który rozumiał, że świat jest następstwem słowa, że na początku było słowo. Więc

piękno jego świata wyrasta z religii tego świata, zatem z jego języka, zatem z jego poezji. Dopiero po stworzeniu tej triady mógł Tolkien napisać lekko „Kiedy Bilbo Baggins z Bag End oznajmił...” itd. Tytaniczna to praca. Cały cykl – plus „Natura Śródziemia” – jest tego fascynującym świadectwem. ©©



★★★★★
J.R.R. TOLKIEN
„NATURA ŚRÓDZIEMIA”
POD RED. CARLA F. HOSTETTERA,
ZYSK I S-KA 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Pogańska czy chrześcijańska, polska czy niemiecka, bardziej luterńska czy katolicka – choinka na różnych kontynentach, choinka w literaturze, choinka w naszych sercach: to już dwa tysiące lat tradycji Bożego Narodzenia.



KS. JÓZEF NAUMOWICZ
„CHOINKA”
BIAŁY KRUK

Wariacja na temat z Dickensa; w roli głównej pracowolichka, której śmiertelnie boją się współpracownicy. Scarborough zgrabnie łączy wątki obyczajowe i fantastyczne, znamy jej talent z dylogii „Światło Tybetu”.



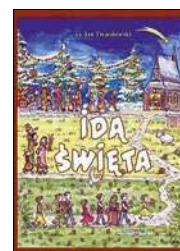
ELIZABETH ANN SCARBOROUGH
„INNA OPOWIEŚĆ WIGILIJNA”
ZYSK I S-KA

Antologia opowiadań świątecznych od Andersena i Selmy Lagerlöf, do Angeli Carter i Trumana Capote'a. Są też przekłady z niemieckiego, francuskiego, portugalskiego, a nazwiska niektórych autorów mocno czytelnika zaskoczą.



AUTORZY RÓŻNI
„MISTRZOWIE OPOWIEŚCI. ŚWIĘTA, ŚWIĘTA...”
WIELKA LITERA

O Bożym Narodzeniu, Wielkanocy i Zesłaniu Ducha Świętego – pisząc o najważniejszych dla chrześcijanina świętach, autor (zm. w 2006 r.) wraca do ewangelii, do własnych wspomnień rodzinnych. Pierwszy raz w jednym tomie. ©©



KS. JAN TWARDOWSKI
„IDA ŚWIĘTA”
WYDAWNICTWO DIECEZJALNE SANDOMIERZ

KOMIKS TYGODNIA:
„MAŁY DREWNIANY ROBOT I KSIĘŻNICZKA Z PIENKA”

Tom Gauld to współczesny geniusz komedii. Wiedzą o tym czytelnicy jego prze zabawnych historyjek rysunkowych o świecie naukowców („Instytut Bombowych Teorii”) czy pisarzy (nieznany jeszcze w Polsce „Baking With Kafka”). Teraz twórca „Goliata” przedstawia swą pierwszą powieść graficzną dla dzieci: historię wędrowki drewnianego



TOM GAULD
„MAŁY DREWNIANY ROBOT I KSIĘŻNICZKA Z PIENKA”
CENTRALA 2022

robotu poszukującego swojej zaginionej siostry. Efekt jest zachwycający; jak zwykle Gauld doskonale łączy ciepły humor z surrealistycznymi pomysłami oraz głębszą refleksję z rozrywką. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Muzeum „pomorskiego Katynia”

Utworzone pod koniec 2015 r. Muzeum Piaśnickie w Wejherowie funkcjonuje już w docelowej siedzibie – w Villi Musica. Przed wojną mieszkał tu lekarz i społecznik Franciszek Panek, którego dwie córki (z pięciorga dzieci) zostały rozstrzelane w Piaśnicy, a willę Panka gestapo zamieniło w miejsce tortur

i wywózek na rozstrzelanie polskich patriotów. – Jest to więc miejsce święte [...]. Lokalna społeczność od lat starała się, aby w tym miejscu powstała instytucja pamięci, i jest bardzo ważne, że wreszcie po tylu latach udało nam się to zrobić – mówił podczas niedawnego otwarcia muzeum wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński.

Wicepremier nazwał zbrodnię w Piaśnicy „pomorskim Katyniem”. Tamtejsze lasy były jednym z pierwszych miejsc masowych mordów cywilów – patriotów, liderów, inteligencji – w ramach niemieckiego planu eksterminacji polskiej elity. Dokładna liczba ofiar nie jest znana, szacuje się, że życie mogło stracić nawet 14 tys. ofiar. ©©



FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM HIST. CDMN



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Budzenie smoka

Nie chcąc podporządkować się opresyjnemu, szczególnie wobec kobiet, rządowi Recep'a Erdoğan, urodzona w Istambule wokalistka zdecydowała się na emigrację. Czwarty, wydany na Zachodzie, album 37-latkę w końcu przykuł uwagę tamtejszych mediów.

Zyskał on rozgłos nie tylko ze względu na odważny przekaz, lecz także nowatorskie połączenie rockowej psychodelii i folkowej tradycji. Wokalistka śpiewa po turecku, a w sferze muzycznej odwołuje się do dokonania istambulskiej sceny rockowej lat 70., kiedy w klubach rozbrzmiewały elektryczne gitary. Turczynka uwodzicielskim głosem wyśpiewuje łamiące serca historie

miłosne i mroczne, buntownicze hymny. Jest to płyta przepełniona egzotycznymi, seksownymi dźwiękami i melodiami. Anatolijskie melodie ludowe są dobrze wyeksponowane, zagrane na tradycyjnych instrumentach i podkręcone psychodelicznymi gitarami. Większość utworów posiada w sobie również rockową zadziorność (Kurt Cobain jest wśród bohaterów Gaye) oraz egzotykę tureckiego popu.

W tłumaczeniu tytuł albumu brzmi „Smok anatolijski”. To ziębie ogniem stworzenie wedle legendy powstanie w sytuacji zagrożenia dla mieszkańców. „Czy jesteśmy niewolnikami czy osłami?” – pyta więc Gaye Su Akyol w piosence tytułowej. ©©



★★★★★
GAYE SU AKYOL
„ANADOLU
EJDERİ”
GLITTERBEAT



FOT. DARIUSZ KRZYSIAK

BÓG SIĘ RODZI!

Dlaczego liczba osób przy stole powinna być parzysta, a liczba bożonarodzeniowych potraw nieparzysta? Dlaczego powinno się je przyrządzać z produktów pochodzących z pól, lasu, ogrodu i wody? W jakim celu nogi ławy obwijały się łańcuchem? O tym i wielu innych, w dużej części zapomnianych już dziś zwyczajach przypomina barwna wystawa „Boże Narodzenie na Mazowszu”. Pokazuje też, jak wyglądała przed laty wieczerza wigilijna w ubogiej chłopskiej chacie i we wnętrzach dworskich. ©©

GDZIE? Muzeum Wsi Mazowieckiej
w Sierpcu

KIEDY? do końca lutego 2023 r.



★★★★★
ANNA WYSZKONI
„Z CEGIEŁ I ŁEZ”
MYSTIC

Na piątym albumie wokalistki jest dziewięć, jak zwykle osobistych piosenek, które w sumie trwają... 25 minut. Autorem muzyki do trzech z nich jest Robert Gawliński. Melodyjny pop-rock i ciepły głos Wyszkonii stanowią wystarczającą rekomendację dla fanów.



★★★★★
GRAŻYNA
ŁOBASZEWSKA
„ERGO BAND”
GAD

Debiutancki album wokalistki z 1978 r. przez lata był wielbiony przez naszych DJ-ów. W końcu ukazał się na kompaktce. Jest to soulowo-funkowa perła, na której 10-osobowy Ergo Band pod wodzą Krzysztofa Plewińskiego pompuje jak amerykański Tower Of Power. ©©

Grzegorz
Kondrasiuk

**Na „Dekalog”
w Narodowym nie tylko
patrzy się poprzez filmy
Kieślowskiego, lecz także
z pokusą porównania,
najczęściej – niestety
– wypadającego na
niekorzyść teatru**

„Dekalog” w Narodowym, czyli decyzja repertuarowa

FOT. ANŻELIA KUBANOW



Jako widzowie mamy do czynienia nie tylko z aktorami grającymi w spektaklach, lecz także z efektami tzw. decyzji repertuarowych. Dlaczego ten, a nie inny tytuł, autor? Co dyrekcja i reżyser ze swoją ekipą mieli albo nie mieli na myśli? Podjęli decyzję, żeby się oglądało, żeby się podobało, żeby się grało? A może chcą sobie za pomocą tytułu pofilozofować albo zabrać głos w tej słynnej, mitycznej „debacie społecznej”? Tego rodzaju myśli towarzyszyły mi w drodze do domu po obejrzeniu „Dekalogu”, najnowszej premiery w warszawskim Teatrze Narodowym. Do konkluzji nie dotarłem, dokładnie tak samo jak reżyser Wojciech Faruga, który śmiało sięgnął po narodowy skarb – scenariusze Krzysztofa Kieślowskiego i Krzysztofa Piesiewicza składające się na cykl 10 filmów fabularnych.

Dekalog, ten biblijny, a także filmowy, jak wiadomo, jest na 10 różnych tematów. Teatralny „Dekalog” Farugi opowiada je wszystkie naraz, w skondensowanej formie spektaklu długachnego, gęstego od przeplatających się wątków. Ambitne to przedsięwzięcie, wszechogarniające, niczym misterium rozpoczynające się od Adama i Ewy, a zakończone Męką Pańską i jeźdźcami Apokalipsy. Za decyzją repertuarową dyrekcji Teatru Narodowego stoją więc, być może, chwalebne inten-

cje... Jednak teatr rozlicza się nie z intencji, a z rezultatów. A do głównych rezultatów tego przedsięwzięcia zaliczyłbym stworzenie spektaklu, jak to się mówi, zespołowego, aktorskiego, w którym jest mnóstwo intensywnego grania, bo i mnóstwo tu bohaterów przeżywających dramaty egzystencjalne. Nic zaskakującego, bo aktorzy Narodowego grać psychologicznie i przeżywająco umieją doskonale. Od reżysera otrzymali solidne ramy: efektownej, a czasem efekciarskiej reżyserii poszczególnych scen, na wszystkich piętrach emocji i nastrojów, od brutalnego dramatu nagej egzystencji (przejmujący Paweł Brzeszcz), do tonów, niestety, melodramatycznych. Skoro jesteśmy przy aktorach i aktorkach: złośliwość od razu podpowiada też inne rozwiązanie zagadki pt. „Decyzja repertuarowa”, a rozwiązaniu temu na imię – Małgorzata Kożuchowska. Jednak z faktu, że obecnie Kożuchowska jest najlepszą, obłądną wręcz Grażyną Szapołowską, niewiele jeszcze wynika. Może oprócz tego, że reżyser wraz z ekipą realizacyjną niesłuchanie się starają, żebyśmy, broń Boże, nie patrzyli na spektakl przez

pryzmat filmowych pierwowzorów. Całe staranie oczywiście na nic, bo pod powiekami i w nostalgicznej pamięci przechowujemy tamte sceny oglądane w tamtych nieogrzewanych peerelowskich i post-peerelowskich kinach, wzruszenia i metafizyczne dreszcze – wszak byliśmy o te -dzieści lat młodszy i naiwniejsi. Co gorsza, na „Dekalog” w Narodowym nie tylko patrzy się poprzez filmy Kieślowskiego, lecz także z pokusą porównania, najczęściej – niestety – wypadającego na niekorzyść teatru. Faruga reżyseruje scenariusze tamtego cyklu, ale przy okazji także mit Kieślowskiego.

Niespodziewanym rezultatem decyzji o powrocie do „Dekalogu” stało się przetestowanie tego mitu wraz ze wszystkimi urokami kina moralnego niepokoju. Odpowiedź okazała się niezbyt wesoła i nie jest to bynajmniej zarzut pod adresem spektaklu Farugi (no, może tylko trochę). Inteligent wątpiący, poszukujący ostatecznych instancji etycznych (niektórzy nazywają je Bogiem) w zderzeniu z dramatycznymi kolejami losu – ten tak typowy dla fabuł Kieślowskiego rezoner – niespodziewanie, wraz

z rozpędzającym się XXI w., stał się postacią niewiarygodną i papierową. Co się stało z tym światem, że tak już nie rozmawiamy, nie gorączkujemy się sprawą „skąd zło?” i czy Bóg – jeśli istnieje – jest za to na pewno odpowiedzialny?

A skoro już padło imię Boże w zderzeniu z gimnastyką – w tym szalonym biegu dramaturgów poprzez wątki zaczerpnięte z 10 scenariuszy Kieślowskiego i Piesiewicza wykonują oni figury karkołomne. Najważniejszym zadaniem spektaklu zdaje się tutaj omijanie kwestii teologicznej, zdawałoby się, dość istotnej w pierwowzorach. Efekt łatwy do przewidzenia: nieco pretenstionalny teatr spoglądający w stronę metafizyki, ale tak tylko trochę, w wersji sauté, żeby za bardzo, po powrocie do domu, nie bolało. ©

**„DEKALOG”, NA PODSTAWIE
SCENARIUSZY KRZYSZTOFA
KIEŚŁOWSKIEGO I KRZYSZTOFA
PIESIEWICZA**

REŻYSERIA: WOJCIECH FARUGA

ADAPTACJA: DAVIT GABUNIA

**DRAMATURGIA: JULIA HOLEWIŃSKA
TEATR NARODOWY W WARSZAWIE
(SCENA PRZY WIERZBOWEJ)**

PREMIERA: 8 PAŹDZIERNIKA 2022 R.



Z ks. prof. Waldemarem Chrostowskim
rozmawia Karol Gac

Trzeba zachować powściągliwość



KAROL GAC: Księżu profesorze, w lipcu udał się ksiądz do Ziemi Świętej, dokładnie 43 lata po swoim pierwszym locie do Izraela. Pamięta ksiądz swoją pierwszą podróż?

KS. PROF. WALDEMAR CHROSTOWSKI: Bardzo dobrze, bo tego nie można zapomnieć. Po-drożowałem z Warszawy do Bukaresztu, a stamtąd nazajutrz do Tel Awiwu. Pierwsze, co mnie uderzyło, to powiew „cytrusowego powietrza” oraz niezapomniana droga do Jerozolimy, której towarzyszyła świadomość, że w końcu spełniam swoje marzenia i zobaczę ziemię Zbawiciela taką, jaka ona naprawdę jest.

Izrael bardzo się od tego czasu zmienił?

Kiedy pojechałem do Izraela pierwszy raz, ten kraj miał za sobą tylko 30 lat państwowości. Wszystko w nim było nowe i w jakiejś mierze niepewne co do przyszłości. Dziś mamy do czynienia z zupełnie innym państwem. To najbardziej nowoczesne państwo na Bliskim Wschodzie i jedno z bardziej nowoczesnych na świecie. Izrael poczynił ogromne postępy zwłaszcza na przełomie lat 90. i dwutysięcznych, co widać przede wszystkim po infrastrukturze i mnóstwie nowych osiedli i miast.

Polska polityka toczy się w cieniu wojny na Ukrainie. A co na jej temat mówi się w Izraelu?

Nie odniosę się do oficjalnych kanałów i mediów, bo te znamy. Jeśli chodzi o reakcje społeczeństwa, to one są z konieczności powściągliwe. Po pierwsze dlatego, że sam Izrael od momentu utworzenia w 1948 r. ma skomplikowaną sytuację polityczną oraz wiele napięć, których nie udało się przezwyciężyć. Po drugie, w ostatnich 30 latach napłynęło tam mnóstwo Żydów i osób, które deklarowały się jako Żydzi, pochodzących z Rosji i Ukrainy. Ich obecność jest



Obok pobudek politycznych i tych, którymi kierują się politycy, element neutralności jest bardzo mocno brany pod uwagę. Migracja z dawnego Związku Radzieckiego wywarła wielki wpływ na świadomość przeciętnego Izraelczyka. Jestem pewny, że Izraelczycy nie chcą, aby napięcia z Europy przenosiły się do nich. Jeżeliby się wzmagaly, to wtedy bardzo szybko mogłyby uaktywnić się nie tylko migranci, lecz także ci, którzy nie będąc migrantami, okazują sympatię jednej lub drugiej stronie.

Zwłaszcza że ta emigracja była znacząca. W latach 90. do Izraela przyjechało ponad milion Rosjan żydowskiego pochodzenia. Tylko w 2022 r. dojechało ich już ponad 20 tys. W jakim stopniu mogło i może się to przełożyć na politykę Izraela wobec Rosji?

Różne skutki potężnej migracji są widoczne do dzisiaj. Część izraelskiej elity politycznej wywodzi się z dawnego Związku Radzieckiego i ma własne sympatie polityczne. Można jednak zauważyć pewien wspólny mianownik – wszyscy zachowują rezerwę wobec Polski.

Jak ksiądz patrzy na wojnę na Ukrainie z perspektywy duchownego? Przez ostatnie miesiące np. bardzo mocno krytykowano papieża Franciszka za jego postawę wobec rosyjskiej agresji.

Jestem księdzem, lecz jestem również Polakiem, którego ten konflikt pod każdym względem dotyczy. Mamy zbyt małą świadomość, że 24 lutego skończył się okres trwający ponad 350 lat, który został zapoczątkowany przez tzw. ugodę perejaśławską zawartą w 1654 r. pomiędzy Bohdanem Chmielnickim i kozakami a przedstawicielem cara Rosji Aleksego I. Oznaczała ona bardzo ścisły związek Ukrainy z Rosją. Już wtedy Rosja uznała, że to jej strefa wpływów. Po rewolucji bolszewickiej i utworzeniu Związku Radzieckiego do 1954 r. Półwysep Krymski wchodził w skład Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Przekazanie go przez Nikitę Chruszczowa Ukrainiejskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republice Radzieckiej miało charakter o tyle symboliczny, że upamiętniało 300. rocznicę ugody perejaśławskiej. W Perejaśławiu, na południowy wschód od Kijowa, wzniesiono pomnik z napisem „Na zawsze razem”. Wygląda na to, że tamten świat się skończył. Dopóki istniał Związek Radziecki, dopóty problemu nie było, lecz dał o sobie znać wtedy, kiedy Krym znalazł się w granicach niepod-

ległej Ukrainy. Na Krymie, w Sewastopolu, znajduje się największa rosyjska baza wojskowa nad Morzem Czarnym. Jeżeli zaś chodzi o wypowiedzi papieża Franciszka, to sądzę, że Ojciec Święty usiłował zdiagnozować dramatyczną sytuację i odpowiedzieć na pytanie, które pozostaje najważniejsze, aczkolwiek wydaje się, że rzetelna odpowiedź jest na razie niemożliwa.

Czyli jakie?

Dlaczego w ogóle doszło do tej wojny i czy musiało dojść do rosyjskiego ataku? Są tacy, którzy twierdzą, że Rosja ma imperialne zapędy i nawet gdyby Ukraina nic nie robiła, to i tak do tego ataku by doszło. Byłem wiele razy na Ukrainie i w Rosji i nie wyczuwało się tam żadnych wzajemnych antagonizmów. Sądzę, że obok tych pytań trzeba postawić jeszcze jedno: Czy nie patrzymy w sposób uproszczony i stereotypowy, stawiając znak równania między Związkiem Radzieckim a Rosją? Buntujemy się przeciw, kiedy ktoś chce stawiać znak równania między PRL a III RP. Wydaje mi się, że trzeba zachować powściągliwość w zrównywaniu Rosji i Związku Radzieckiego. Z moich doświadczeń wynika, że w Rosji dokonano się jednak wiele nowego, choć nie w takim tempie i skali, jakich byśmy sobie życzyli. Ludzie odetchnęli i zaczęli budować swoją przyszłość w nowych kategoriach. Znalazło to również wyraz w znacznym ożywieniu życia religijnego i ogromnej liczbie cerkwi wybudowanych w miejscach, które komuniści zburzyli, a także zupełnie nowych.

Trudno jednak, by wypowiedź papieża o „szczekaniu NATO pod drzwiami Rosji” nie wywołała kontrowersji.

Papież Franciszek chciał zasugerować, że warto przemyśleć, czy gdyby Ukrainy nie pchano do NATO, to czy wówczas doszłoby do tej wojny. W moim przekonaniu ten sam przypadek dotyczy Gruzji. W obu przypadkach zapalnikiem stały się naciski, by te państwa weszły do NATO. Trzeba uczciwie odpowiedzieć, skąd te naciski się brały. Nie wiemy, czego chciała tamtejsza ludność, bo żadnych referendum nie było, wiemy natomiast, czego chcieli politycy, także zagraniczni.

Rosja zaatakowała Ukrainę i mamy do czynienia z ogromną brutalnością oraz z tym wszystkim, co niesie ze sobą każdy konflikt zbrojny. Pierwszą ofiarą

wszędzie widoczna, a język rosyjski jest bardzo słyszany. Trzeba się liczyć z tym, że te antagonizmy, które nasilają się w Europie, przenoszą się również do Izraela. Zarówno władze, jak i społeczeństwo izraelskie robią jednak wszystko, żeby nie stymulować, a tym bardziej nie dopuścić do napięć i konfliktów.

To powód ostrożnej polityki Izraela wobec wojny na Ukrainie? Z jednej strony Tel Awiw udziela Ukrainie pomocy humanitarnej, ale jednocześnie stara się być neutralny oraz utrzymać stosunki dyplomatyczne z Kreml.

FOT. ADAM GŁÓZ/PAF



Wojny jest zawsze prawda. Znamy tę wojnę przez pryzmat propagandy, która dominuje u nas. Każdy przejaw przedstawienia tych samych spraw z rosyjskiej perspektywy napotyka silny sprzeciw i potępienia, a nawet oszczerstwa. Brakuje atmosfery rzeczowej dyskusji. Zwyczajni ludzie na Ukrainie cierpią, często ponad wszelką miarę, ale problem polega na tym, że koncerny zbrojeniowe i niektóre państwa robią na tym złote interesy. Dlatego nie są zainteresowane, żeby ta wojna się skończyła.

Jako duchowny żyję jakby w dwóch światach. Z jednej strony wspieram zbiórki na rzecz Ukraińców i staram się pomagać na tyle, na ile mogę, ale z drugiej strony zdaję sobie sprawę, że za wszystkie składki zebrane w polskich kościołach na rzecz Ukrainy można byłoby kupić jeden czołg. Istnieje ogromna asymetria między dobroczynnością a kosztami tej wojny oraz celami tych, którzy za nią stoją. Chciałbym również wiedzieć, jako polski obywatel, co my chcemy osiągnąć i jaki jest nasz interes narodowy.

Oslabienie Rosji.

Ale jak widzimy przyszłość naszych kontaktów z Ukrainą i Rosją wtedy, gdy ustanie wojna? Przecież odbudowa dobrych relacji z Rosją będzie trwała dziesięciolecia albo i dłużej. Inna kwestia dotyczy tego, czy doraźna wdzięczność Ukraińców przeniesie się trwale na poziom polityczny, a także czy możliwa jest koegzystencja tak dużych państw jak Polska i Ukraina czy raczej dojdzie między nimi do rywalizacji. Warto posłuchać, co na ten temat mówią ukraińscy politolodzy, którzy malują scenariusze po wojnie i wcale nie są to dla nas jasne i przejrzyste barwy.

Jeżeli zaś zależy nam na bardzo mocnym osłabieniu Rosji, a nawet wypchnięciu jej za Ural, to chciałbym zapytać: A co z enklawą kaliningradzką? Czy ona też zostanie pokonana i będziemy się dzielić tym tortem? A jeśli tak, to z kim i kto to będzie robił? Słyszałem opinię jednego z politologów, że możemy to być my albo Litwa, albo Stany Zjednoczone, albo Niemcy. Gdyby sprawdził się ostatni scenariusz, być może trzeba będzie użyć Niemcom korytarza, który będzie tak szeroki, że sięgnie pod Myszyniec i Kolno.

Tyle tylko, że agresja rosyjska oraz zbrodnie Rosjan to fakty, z którymi nie można dyskutować.

Amerykanie wraz ze swoim militarnym wsparciem eksportują na Ukrainę ideologię, która jest obca światu prawosławnemu

Atak jest faktem, aczkolwiek – powtarzam – nie można przechodzić do porządku dziennego nad pytaniem, dlaczego do niego w ogóle doszło. Zbrodnie również są faktami. To, co o nich wiemy, jest przerażające. Trudno poprzestać na stwierdzeniu, że tak wygląda wojna, chociaż o tej wojnie i zbrodniach wiemy znacznie więcej, bo toczy się za naszą granicą. Nie zajmowało nas w takim stopniu to, czego Amerykanie dokonywali w Korei, Wietnamie, Iraku czy Afganistanie. To też nie były „łagodne” ani „delikatne” wojny. Nie chodzi jednak o licytowanie się, kto cierpi więcej. Zbrodnie wymagają potępienia i nie ma dla nich wytłumaczenia. Dlatego tym głośniejsze powinny być wołania o to, żeby położyć kres tej wojnie. Odnoszę jednak wrażenie, że nikomu na tym nie zależy poza ludźmi, którzy cierpią zimno, głód, ponieważ śmierć i kalectwo najbliższych, utratę swoich domów oraz strach i upokorzenie.

A jak ksiądz patrzy na działania rosyjskiej Cerkwi? Patriarcha Cyryl od początku inwazji na Ukrainę jawnie demonstrowało wsparcie dla działań Władimira Putina.

Warto zwrócić uwagę na jego motywację, nad którą przechodzimy do porządku dziennego. Można się z nią zgadzać lub nie, ale trzeba ją w pełni znać. Patriarcha patrzy z dwóch perspektyw. Z jednej strony wielokrotnie mówił, że mamy do czynienia z wojną dwóch podzielonych narodów słowiańskich, które wyrosły z jednej chrzcielnicy. Jego zdaniem dramat polega na tym, że te narody zostały zwaśnione, a katastrofalny konflikt stale się nasila. Po drugie, patriarcha jest zdania, że ta wojna to nie tylko kwestia militarna, lecz także w dużej mierze kwestia kulturowa i religijna. Amerykanie wraz ze swoim militarnym wsparciem eksportują na Ukrainę ideologię, która jest obca światu prawosławnemu. Na przykład w tych dniach fundacja Hillary Clinton wyróżniła kobiety ukraińskie działające na

rzecz równości i tego wszystkiego, co w gruncie rzeczy sprowadza się do hasła LGBT. Wcześniej, w warunkach wojennych, Ukraina zaakceptowała konwencję stambulską, która ma charakter wybitnie ideologiczny. Patriarcha Cyryl uważa, że jego zadaniem jest położenie tamy wpływom ideologicznym, które wśród chrześcijan na Zachodzie spowodowały ogromne spustoszenia.

Na koniec zmienimy temat. Tegoroczne święta Bożego Narodzenia upływają w cieniu tego, co dzieje się na Ukrainie. Czy w związku z tym spodziewa się ksiądz większej refleksji wśród Polaków i dojrzałego przeżywania świąt?

Ci, którzy są religijni i po pandemii wrócili do kościołów, będą się cieszyli, że mogą przeżywać święta w tradycyjnej oprawie. Natomiast ci, którzy z Kościołem nie mają wiele wspólnego, zapewne już wykupili bilety do różnych miejsc zimowego czy egzotycznego wypoczynku. Coraz bardziej widoczna jest polaryzacja, której dawniej w takiej skali nie było, ponieważ święta zawsze miały rodzinny charakter i niezależnie od światopoglądu łączyły rodziny. Teraz jest inaczej. Dlatego istotne znaczenie ma świadectwo tych chrześcijan, którzy trwają przy Bogu i wartościach, które pochodzą z wiary w Boga. Jezus, przychodząc na świat, był pozbawiony wszystkiego, ale w tych ubogich warunkach otrzymał to, co najcenniejsze – miłość matki i przybranego ojca. Wszystko, czego człowiek najbardziej potrzebuje, to miłość. Święta Bożego Narodzenia wychodzą naprzeciw tej podstawowej potrzebie.

Czego ksiądz profesor życzy czytelnikom „Do Rzeczy”?

Żeby czytając tygodnik, starannie przemyśleli zawarte w nim treści, ponieważ na to naprawdę zasługują. W ciągu roku pojawia się tu wiele materiałów, które dają do myślenia i otwierają oczy. Informacje są zamieniane w wiedzę, a cotygodniowa porcja tej wiedzy skłania do osobistej refleksji. Życzę także, byśmy mogli odnaleźć odrobinę spokoju i ciszy oraz doświadczyć dobroci i dzielić się nią z tymi, którzy bardzo jej potrzebują. Warto na jakiś czas odłożyć ideologię, propagandę i to wszystko, co przeszkadza spojrzeć jasno i z nadzieją na świat. Docenić dobro w oczach rodziny i najbliższego otoczenia. Można w nim z radością dostrzec blask Bożej miłości.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Minister Marlena Maląg: Wrzucamy szósty bieg

Rok 2022 dla rodzin z małymi dziećmi rozpoczął się od wejścia w życie Rodzinnego Kapitału Opiekuńczego. Od kwietnia można składać wnioski o rządowe dofinansowanie do opieki żłobkowej. Rok kończy ogłoszenie zmian w programie „Maluch+”, dzięki któremu przybędzie ponad 100 tys. nowych miejsc opieki nad najmłodszymi dziećmi. – Wrzucamy szósty bieg – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg



Rozwój usług dedykowanych rodzinie to jeden z elementów polityki prorodzinnej prowadzonej przez rząd PiS. Tylko w 2022 r. na politykę rodzinną przeznaczono blisko 86 mld zł. W 2015 r. było to ok. 32 mld zł.

W tym roku działania Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej w 2022 r. w dużej mierze poświęcone były nowym instrumentom wsparcia dedykowanym rodzicom najmłodszych dzieci.

- W styczniu 2022 r. w życie wszedł Rodziny Kapitał Opiekuńczy. To nawet 12 tys. zł na drugie i każde kolejne dziecko w wieku od ukończenia 12. do 35. miesiąca życia przeznaczane niezależnie od dochodów. W 2022 r. z rodzinnego kapitału opiekuńczego skorzystało ok. 615 tys. dzieci, a kwota wsparcia to ok. 3,1 mld zł.

- Od kwietnia 2022 r. można składać wnioski o rządowe dofinansowanie do opieki żłobkowej dla dzieci nieobjętych kapitałem. To nawet 400 zł miesięcznie, które trafia bezpośrednio do placówki. W 2022 r. ze wsparcia ma skorzystać ok. 110 tys. dzieci.

- Z kolei ostatniego dnia listopada br. premier Mateusz Morawiecki i minister Marlena Maląg ogłosili zmiany w nowej edycji programu „Maluch+”. Zmiany mają przyczynić się do tego, że z mapy Polski

znikną „białe plamy”, czyli gminy, w których nie działa ani jeden żłobek czy klub dziecięcy.

- Zwiększamy finansowanie programu – na jego funkcjonowanie przeznaczymy 5,5 mld zł, dzięki czemu powstać może ponad 100 tys. nowych miejsc opieki nad dziećmi. Każde z utworzonych miejsc otrzyma dofinansowanie do funkcjonowania przez 36 miesięcy – wylicza minister rodziny.

ZMIANY W PROGRAMIE „MALUCH+”

Nowa edycja programu to uporządkowanie i wdrożenie ogólnopolskich jasnych kryteriów wsparcia opieki żłobkowej.

- Środki będą dzielone zgodnie z algorytmem, który zakłada, że gminy uzyskają konkretną pulę środków finansowych do wykorzystania na tworzenie miejsc opieki zgodnie z jej potrzebami.

- Można będzie uzyskać dofinansowanie do utworzenia nowych miejsc opieki zarówno w nowych, jak i już istniejących placówkach.

- Na utworzenie nowych miejsc gmina będzie miała trzy lata, natomiast podmiot

inny niż jednostka samorządu terytorialnego – dwa lata. Daje to dużą elastyczność.

Dzięki nowym zasadom docieramy do każdej gminy w Polsce i oferujemy wsparcie finansowe każdemu zainteresowanemu samorządowi. Chcemy, aby w każdej gminie była przynajmniej jedna placówka opieki nad dziećmi do lat trzech – mówi minister Marlena Maląg.

PROGRAM „MALUCH+”

Program „Maluch+” realizowany jest od 2011 r., ale to za rządów Zjednoczonej Prawicy nabrał rozpędu.

Od 2016 r. powstało ponad 140 tys. miejsc opieki nad maluchami. Na koniec 2015 r. było niespełna 3 tys. placówek, które oferowały zaledwie 84 tys. miejsc opieki. Dziś funkcjonuje ponad 8 tys. żłobków i klubów dziecięcych, w których jest ponad 228 tys. miejsc opieki nad maluchami.

Za tymi liczbami stoją oczywiście zwiększone środki na funkcjonowanie programu. W latach 2016–2021 rząd Zjednoczonej Prawicy przeznaczył na ten cel ok. 2,1 mld zł. Teraz nakłady na program wzrosną ponaddwukrotnie do kwoty 5,5 mld zł.



Spore emocje wśród Polaków wywołała niedawna wiadomość o wezwaniach na ćwiczenia wojskowe, kierowanych przez Wojskowe Centrum Rekrutacji do osób, które dotychczas nigdy w wojsku nie były. „Branie do wojska” – bo o to summa summarum chodzi, nawet jeśli ćwiczenia mogą być dosłownie kilkudniowe – w kontekście trwającej na Ukrainie krwawej wojny, podkreślone dodatkowo informacją, że na szkolenia wojskowe może trafić w 2023 r. aż do 200 tys. Polaków, stało się wręcz zarzewiem pożaru społecznego, który lepiej było gasić jeszcze w zarodku. Stąd też objaśnienia wojskowych, że chodzi przecież o standardowe ćwiczenia, zawieszone na czas pandemii, że limity osobowe są takie same, jak w poprzednim roku, że w większości przypadków wezwania, ba – „zaproszenia na rozmowę” (!), dostaną głównie osoby już przeszkolone wojskowo z rezerwy aktywnej, a w przypadku nowych rekrutów rzecz się dotyczy wąskiej grupy ludzi ze specjalistycznymi kwalifikacjami potrzebnymi w armii, jak kierowcy większych pojazdów, personel medyczny, tłumacze...

Sam szef Centralnego Wojskowego Centrum Rekrutacji, płk Mirosław Bryś, zapewniał, że wezwanie wezwaniem, ale ćwiczenia będą nieutrudniające życie zawodowe rekrutów, a zwłaszcza będą one dobrowolne, co miało uspokoić atmosferę fermentu, która zdążyła nawet podzielić Polaków. Rzeczywiście, fali komentarzy w sieci, których autorzy okazywali pogardliwy wręcz brak zainteresowania szkoleniem na „mięso armatnie”, towarzyszyło wiele wyrazów moralnego potępienia i oskarżeń o tchórzostwo i egoizm (potępienie nierzadko ze strony osób, którym z racji wieku czy innych okoliczności ładowanie na frontowych okopach nie grozi).

ATMOSFERA PANIKI

Trudno powiedzieć, jakie będą dalsze konsekwencje społeczne wspomnianego wrzenia; będzie to z pewnością zależało od liczby wysłanych wezwań, od rzeczywistego odsetku nowego narybku wcielonego i zaprzysiężonego do aktywnej rezerwy, a zwłaszcza od tego, co zapowiedziana „dobrowolność” będzie oznaczać w praktyce. Dla przypomnienia: szczepienia na COVID-19 też miały być dobrowolne – tak solennie oświadczyli sam prezydent i premier – ale



Kto będzie walczył za Polskę?

FOT. MICHAŁ NIEWIŻMON

*Wojciech Golonka*

Nie jest niczym dziwnym, że wezwanie na wojskowe szkolenia wzbudziło lęk. Zaufanie obywateli można odbudować, deklarując, że nie przystąpimy jako kraj do tej wojny

naciski wywierane w tej kwestii, w tym przez szefa MON, Mariusza Błaszczaka, przybrały w praktyce charakter oferty „nie do odrzucenia”, nie wspominając o zawodach, które zostały do przyjęcia tychże zmuszone rozporządzeniem ministra zdrowia. W każdym razie, snując od pewnego czasu refleksję na temat poboru na okoliczność wojny, planowałem pierwotnie nazwać ten tekst „Kto walczyłby dziś za Polskę”, jednak dostosowałem tytuł do obecnej sytuacji, a zwłaszcza do wypowiedzi przedstawicieli obozu władzy i wpływowych w jej kręgach geopolityków, które tymczasem są najlepszym autoryzowanym komentarzem do szkoleń, na które wzywa obecnie wojsko.

Otóż pod koniec listopada wiceszef MON, Marcin Ociepa, ocenił prawdopodobieństwo udziału Polski w przyszłym, nie do końca sprecyzowanym konflikcie zbrojnym na bardzo wysokie, a ceniony przez samego naczelnika Jacek Bartosiak

mówi już wprost o potrzebie przystąpienia Polski do wojny rosyjsko-ukraińskiej, jeśli Ukraina miałaby tę wojnę bez naszego czynnego udziału przegrać.

Abstrahując od zasadności tych przewidywań i nawoływań, trzeba przyznać, że podobna atmosfera mającej nastąpić w niedalekiej przyszłości wojny sprzyja budzeniu paniki i krytyce wezwań na przeszkolenia wojskowe, od których Polacy w wieku mobilizacyjnym dawno odwykli, bynajmniej nie z ich winy.

Tak, ochoczo śmiano się z powodu nagłego exodusu z Rosji dziesiątek tysięcy młodych ludzi, na których we wrześniu padło widmo mobilizacji; wcześniej, by nie dawać powodów do krytyki, jedynie wspomniano, ale bez sztydzenia, o 500 tys. ukraińskich mężczyzn w wieku poborowym, którzy uciekli za granicę, by uniknąć munduru w czasie wojny. Jednakże o możliwych reakcjach na analogiczną sytuację w Polsce w debacie publicznej w zasadzie się nie mówiło, tymczasem mamy obecnie

próbkę tego, jak sama perspektywa najbardziej podstawowego przeszkolenia wojskowego może podgrzać nastroje społeczne. Można tu oczywiście wymienić wiele różnych powodów, poniekąd trafnych, uzalając się na brak wystarczających postaw patriotycznych, poczucia transcencji dobra wspólnego, ducha ofiary etc., które to normalnie sprawiają, że obywatel traktuje podatek krwi jako swój obowiązek i świętość.

Z drugiej strony zapominamy, że lęk odczuwany wobec świadomości możliwego zagrożenia śmiercią jest czymś naturalnym, a jeśli w dodatku zachodzą podejrzenia co do należytego rozłożenia ciężaru tej daniny w społeczeństwie, a tym bardziej jeśli zachodzi brak wystarczającego zaufania do autorytetu władzy i jej kursu politycznego, wówczas pobór na okoliczność wojny może nawet wywołać otwarty bunt. Choć poniższy przykład nie jest adekwatny do obecnej sytuacji, to oddaje on jednak bardzo dobrze tę problematykę: to nie prześladowanie religii katolickiej ani nie mord na królu Francji Ludwiku XVI doprowadziły do wybuchu słynnego powstania wandejskiego, ale właśnie pobór przez losowanie tamtejszych chłopów na wojnę obronną Republiki, na którą nie mieli oni najmniejszej ochoty.

GOTOWOŚĆ PSYCHICZNA

Dotykamy tu zatem sedna sprawy. Po pierwsze, gotowość psychiczna do służby wojskowej z wyraźną perspektywą udziału w realnej wojnie nie jest czymś danym każdemu z automatu, a kultura happeningów rekonstrukcji historycznych ostatniej dekady bynajmniej nie miała potencjału, aby taką gotowość wśród mas wyrobić. Można zatem do woli krytykować brak wychowania do samopoświęcenia i potępiać w czambuł opornych, ale realizm polega na tym, aby uwzględnić obecny stan rzeczy, to po pierwsze.

Po drugie, nic tak nie pociąga jak przykład i zaufanie. Ksiądz Ignacy Skorupka przez swe samopoświęcenie pociągnął za sobą zlekniętą młodzież licealną w obronie Warszawy w 1920 r. I rzeczywiście, zaufanie sprawia, że w pewnych warunkach człowiek gotów jest nawet dać się dla sprawy posiekać na kawałki nie tylko dlatego, że lider sam nadstawia karku, lecz także dlatego, że jego osoba jest gwarantem słuszności i świętości sprawy, gwarantem tego, że poniesio-

na najwyższa ofiara nie będzie próżna i bezcelowa.

Otóż uważam, że jeszcze bardziej od postaw przesiąkniętych mniej lub bardziej wyrażoną anarchią, gdzie człowiek nie poczuwa się do jakiegokolwiek obowiązku wobec państwa, to właśnie brak zaufania natury moralnej do autorytetów będzie skutkował oporem i ucieczką na wypadek mobilizacji. Lata wojny polsko-polskiej, w której każdy chwyt jest dozwolony, lata polityki obietnic wyborczych bez pokrycia – czyli kłamania w żywe oczy, lata zagarniania państwa przez partię znajdującą się w danej chwili przy władzy, lata stopniowego zwijania suwerenności państwowej, lata braku ponoszenia odpowiedzialności przez polityków za ich błędy, poza wcześniejszą emeryturą polityczną, a w końcu – szczucie, deprecjonowanie i obrażanie zwolenników strony przeciwnej, tj. myślących inaczej sprawiają, że zaufanie przeciętnego obywatela do naszego państwa w sprawie tak istotnej, jak ryzykowanie własnego życia, jest u wielu znikome, jeśli nie równe zeru. Stąd epatowanie w tej chwili rzekomym uprawnieniem moralnym do nagonki na opornych na ćwiczenia jedynie ugruntuje tychże w swym braku zaufania do państwa.

Bardzo poważną bolączką w bieżącej sytuacji jest to, że nie da się z dnia na dzień zaszyć na nowo w mentalności ludzi podziąłu, który wyrobił się między ich poczuwaniem się do ojczyzny i Polski jako takich a ich stosunkiem do aparatu państwowego, który niekoniecznie w ich oczach Polskę ucieleśnia. Nie widać też perspektyw, aby narracja towarzysząca polskiej racji stanu tchnęła autentycznością, realizmem i racjonalnością. Prosty przykład: jeśli Polska ma swój zasadniczy interes geopolityczny w utrzymaniu państwowości Ukrainy, to dokonana radykalna identyfikacja jej interesów – państwa o wrogię nam przecież polityce historycznej, o konkurencyjnej wobec nas gospodarce, o bardzo znaczącym dotychczas poziomie korupcji politycznej – z naszym interesem narodowym, frazesy rzecznika MSZ o bycia sługami narodu ukraińskiego, być może chwilowo nośne w atmosferze wznieślenia emocjonalnego, były i są pozbawione wiarygodności, a zatem autentyczności, do której ma prawo obywatel, od którego państwo będzie wymagać obowiązku obrony z narażaniem życia.

Ujmując rzecz bardziej metafizycznie, złożenie życia w obronie ojczyzny jest formą ofiary, zatem polityk, urzędnik czy dowódca wojskowy, który wysłę ludzi z narażaniem życia na linię frontu, musi mieć czyste ręce – prawą intencję, dokładnie tak, jak kapłan składający ofiarę. Ale jaką tego gwarancję będzie miał obywatel w kraju, gdzie przez ostatnie dekady żaden wysokiej rangi polityk, urzędnik czy sędzia nie poniósł nigdy odpowiedzialności karnej (nie odpowiada więc przed obywatelami), tak jakby była to kasta społeczna pozbawiona skutków grzechu pierworodnego i statystycznie nieskazitelna? Jaką gwarancję ma obywatel, że zostanie wysłany na wojnę rzeczywiście w jedynie słusznej sprawie, jeśli nie będzie walczył ramię w ramię z synem swego prezydenta czy premiera, z radnym swej gminy czy posłem swego okręgu, gdy ci pierwsi nie mają potomstwa w wieku poborowym, a ci drudzy dostali ustawowe alibi na wypadek mobilizacji?

Ma się rozumieć, wielu ludzi ostatecznie pomyśli o takich świętościach jak ich rodzina i bliscy, dom, ziemia, które staną się zagrożone; wielu z kolei po prostu nie będzie miało wyjścia wobec presji aparatu państwowego, jeśli spryt i zaradność tudzież honor nie pozwolą im dołączyć do Ukraińców i Rosjan, którzy wybrali emigrację zamiast munduru. Jak to w życiu bywa, ludzie sparaliżowani dziś lękiem przed wojną i sceptycyzm wobec polityków mogą równie dobrze jutro na polu walki wykazać się męstwem, z kolei deklarujący dziś w Internecie swą niedoszłą virtus militaris (gdyby nie wiek, gdyby nie zdrowie, siamto i owamto) mogą równie dobrze stchórzyć w chwili próby, do której nas popychają – historia, w tym nasza historia współczesna, jest pełna takich obrotów sytuacji.

Prawdą jest, że zarówno za zanik zaufania do władzy, jak i miłości do ojczyzny, skłonnej do poświęceń, ponoszą zbiorową winę elity III Rzeczypospolitej, ponad samymi rządami Zjednoczonej Prawicy. Niemniej, jeśli coś ma rzeczywiście to zaufanie odbudować i trochę tę miłość pobudzić, to choćby jasne stanowisko władzy, że jej starania uniknięcia przystąpienia do wojny są nie mniej stanowcze niż przygotowywanie się na jej ewentualność. No chyba że z góry wiadomo, iż żadnej wojny nie będzie, a straszenie społeczeństwa i dysputa o poborze to po prostu świetne tematy zastępcze.



Małgorzata Wołczyk

Gdy cała uwaga świata skoncentrowana jest na tym, aby nie urazić nowego obiecującego proletariatu lewicy: kolektywu LGBTI, imigrantów z krajów arabskich, ludzi odmiennych ras, jednocześnie trwa w najlepsze festiwal nienawiści i upokarzania chrześcijan, zwłaszcza w świątecznym czasie

Jesli – jak mówią – Kościół to szpital, który ma nas uchronić od śmierci wiecznej, to święta Bożego Narodzenia są prawdziwą ucztą na przepustce szpitalnej. I nie chodzi wcale o zastawiony półmiskami stół ani spiętrzone prezenty pod choinką, ale radosny fakt, że Dzieciątko Jezus dyskretnym mrugnięciem przypomina nam, że dzieli z nami człowieczy los na dobre i na złe.

Oczywiście my to wiemy, wiedzą to także pobożni mieszkańcy Papui-Nowej Gwinei, Wypł Tuamotu, górale w Boliwii, ale nie jest to już takie pewne w Brukseli, w Warszawie przy ulicach Czerskiej i Wiertniczej oraz w setce innych postępowych ośrodków Europy. Święta stają się wstydlivym reliktem zabobonu i religii ufundowanej przez dawny heteropatriarchalny świat. Szczęśliwie dla nich ten niekomfortowy czas postępowcy mogą zamienić w orgię smaków i radości z zakupów. Od paru lat w modzie jest głosić, że święta są „przereklamowane”, a celebrytki na wyprzodki ogłaszają, na jakich tropikalnych wyspach będą wypasać swoje silikonowe wdzięki. Szyderstwa związane z Bożym Narodzeniem popłyną z mainstreamowych mediów tuż przed Wigilią, kiedy ten numer będzie już (wyprzedany) w kioskach.

BEZKARNE DRĘCZENIE KATOLIKÓW

W chwili, kiedy piszę ten tekst, oburzeni Hiszpanie zbierają podpisy pod petycją wycofania z kiosków satyrycznego magazynu „Mongolia” z żądaniem przeprosin dla milionów katolików, którzy poczuli się obrażeni jego okładką. Co tak



Świąteczny festiwal bluźnierstw

ich dotknęło, że odwołują się do „obrazy religijnych uczuć”, przepisu, który nawet u nas zaczyna być kwestionowany i bagatelizowany? Na okładce widzimy parę upozowaną na Maryję i św. Józefa, a w żłóbku poleguje wielki uśmiechnięty ekskrement z aureolą. Napis głosi: „Narodził się syn Boga! Wykapany Ojciec!”.

Gdy rozmawiam ze znajomą misjonarką hiszpańską, nie potrafi ukryć żalu: „Przywykłam, że Hiszpania wstydzi się swych katolickich korzeni i szydzi z tego, co święte, ale ta okładka jest jak cios w twarz”. Mają więc plan zalać skrzynki redaktorów tego szmatławca tysiącami listów.

W tamtym roku partia VOX składała zawiadomienie do prokuratury po ustawieniu w witrynie sklepowej La Verguería w Sewilli „szopki”, której postaci przedstawiały męskie i żeńskie narządy płciowe. Niestety, nie było jeszcze VOX jako konserwatywnej siły, gdy parę lat wcześniej sex shop w Talavera de la Reina wystawił żłóbek z ceramicznymi dildom, na których naklejone były wizerunki Świętej Rodziny. Wiele biznesów

szuka w ten sposób rozgłosu dla swoich produktów lub usług. Do obrażania islamu potrzeba nie tylko bezczelności, lecz także odwagi, dręczenie katolików uchodzi płazem.

Tak się jakoś dziwnie składa, że gdy cała uwaga świata skoncentrowana jest na tym, aby nie urazić nowego obiecującego proletariatu lewicy: kolektywu LGBTI, imigrantów z krajów arabskich, ludzi odmiennych ras, jednocześnie trwa w najlepsze festiwal nienawiści i upokarzania chrześcijan, zwłaszcza w świątecznym czasie. Owszem, po raz pierwszy w swojej historii Parlament Europejski umieścił w tym roku szopkę w siedzibie głównej w Brukseli, i to z inicjatywy Hiszpanów, konkretnie eurodeputowanej EPL Isabel Benjumea. Przedtem, gdy od 2019 r. hiszpańscy politycy występowali z podobną prośbą, słyszeli od ówczesnego przewodniczącego, „że wystawienie obiektu religijnego, jakim jest żłóbek, może być obraźliwe”. Pamiętajmy też o zeszłorocznym okólniku Komisji Europejskiej, gdy opublikowała wewnętrzny przewodnik „komunikacji inkluzywnej”, odradzając



używanie pewnych wyrazów czy zwrotów. Okazało się wtedy, że życzenia „Happy Christmas” miały potencjał obrażania (sugerowano użycie wyrażenia „fiesta”, „wakacje zimowe”), przedstawiciele innych kultur miały też stresować imiona Maryja i Jan (sugerowano wymienić je na Malike i Juliusza). Całe szczęście, że dokument wywołał tak wielkie poruszenie eurodeputowanych hiszpańskich, polskich i włoskich, że skierowano go do dalszych prac. Nie oszukujmy się jednak, bo ani KE, ani UE i ich media nie potrzebują inkluzywnych porad na piśmie, same zaczęły się cenzurować i dostrajać.

Progresywne idee, które ogłasza nadwiślański salon, pochodzą zwykle z importu, kopiowane 10 lat za lewicą europejską. Skoro nawet były dwukrotnie kandydat na mnicha przebiera nóżkami i wylewa łzy nad konstytucją, aby uczynić państwo bardziej świeckim, to nie miejmy złudzeń, że jeśli tylko dorwą się do władzy, to znacznie się upokarzanie takie samo jak w Europie.

ISLAMIZACJA BOŻEGO NARODZENIA?

Elity polityczne robią wszystko, by zeświecczyć Boże Narodzenie i zatroszczyć się o uczucia muzułmanów napływających nieprzebranym strumieniem do Europy. Dobitym przykładem jest właśnie Hiszpania, gdzie przeciw ponad 65 proc. społeczeństwa wciąż deklaruje się jako katolicy rzymskokatolicy, a jednak ich premier Pedro Sánchez co roku nie potrafi wypowiedzieć innych życzeń niż lakoniczne: „¡Felices fiestas!”, podczas gdy muzułmanom składa życzenia, nie stroniąc od słów zrozumiałych tylko dla wyznawców islamu.

Wydaje się więc, że w Europie z każdym rokiem Boże Narodzenie staje między młotem sekularyzmu a kowadłem islamizmu. Wiele tradycyjnych jarmarków bożonarodzeniowych w Amsterdamie, Monachium, Londynie nagle zmieniło nazwy na zimowe, aby nie ranić przybyszów. Na przykład Bożonarodzeniowy Jarmark w Brukseli stał się targiem „Zimowych przyjemności” (Plaisirs d’Hiver). Imprezy świąteczne stały się niepoprawne politycznie lub są odwołane z powodu ogromnych nakładów na zapewnienie bezpieczeństwa w obliczu rosnącego zagrożenia islamskim terroryzmem. Trudno jednak zapomnieć atak na berliński jarmark w 2016 r., w którym życie straciło 12 osób. Niewiele się słyszy

o ewakuowanych uczestnikach jarmarków, jak tego w Bonn czy Stuttgarcie z uwagi na alarmy bombowe.

Jeszcze bardziej niepokoją jakieś próby islamizacji Bożego Narodzenia, tak jak to się stało już parę lat temu w Wielkiej Brytanii w kościele pw. Wszystkich Świętych w Kingston nad Tamizą, gdzie uczczono podwójne narodziny Jezusa i Mahometa. Część modłów była ku czci Proroka, po której ponoć „nastąpiło krojenie tortu urodzinowego”. Nie wiadomo zresztą, gdzie już tkwi granica upokorzenia katolików, a gdzie szaleństwa i groteski, żeby przywołać tylko przykład jasełek we włoskiej szkole i podjętej tam decyzji zmiany imienia Jezusa z Gesù na Perù, aby nie urazić wrażliwości dzieci z innych kultur.

Mimo wszystko w upokarzaniu katolików prym zdają się wieść lewicowe władze Katalonii, a zwłaszcza pani burmistrz tak pluralistycznej Barcelony – Ada Colau. Dziennik „ABC” w artykule „Colau boi się żłóbka” tak opisuje działania władz: „Zaproponowali wykorzenienie w mieście wszelkich śladów tradycji

Do obrażania islamu potrzeba nie tylko bezzelności, lecz także odwagi. Dręczenie katolików uchodzi płazem

chrześcijańskiej, nie wspominając już o wrogości wobec katolicyzmu, którą emanuje oferta edukacyjna. Kontrowersje wokół szopki Sant Jaume to już klasyka tych dat. Jeśli nie jest to zestaw pudeł, które zostały rozrzucone na ulicy, to puste krzesła lub figury, których nikt nie jest w stanie rozpoznać. W tym roku rada miejska postanowiła розміścić szopkę bożonarodzeniową w całej Dzielnicy Gotyckiej. »Wystę« będzie nas, wszystkich barcelończyków, kosztował prawie 190 tys. euro”.

WULGARNE ATAKI

Owe performance’y elektryzują co roku całą Hiszpanię, ponieważ nie sposób dopatrzeć się w nich czegokolwiek poza policzkiem wymierzonym w twarz wszystkim wierzącym. Zresztą zdaje się, że Barcelona, miasto ulubione przez turystów z Polski, poziomem bluźnierstw wymierzonych w naszą religię przekra-

cza chyba nawet unijne normy. Parę lat temu Rada Miasta Barcelony świętowała rozdanie nagród miasta recytacją bluźnierczego „Ojciec nasz” w wykonaniu poetki Dolors Miquel. Jej feministyczny „utwór” zaczynał się od słów: „Matko nasza, któraś jest w niebie, niech święci się ci a twoja...” (reszty państwu oszczędzę).

Dwa lata temu w czasie świąt liderka socjalistów z Walencji, Sandra Gómez, wywołała kontrowersje, publikując na swoim koncie na Instagramie zdjęcie kobiety w szopie, ucharakteryzowanej na Matkę Boską, w trakcie widocznego porodu i dodała komentarz: „Nawet Bóg narodził się z kobiecej ci.” Gómez wyraziła życzenie, aby obchody Bożego Narodzenia służyły również przypomnieniu, jak „wspaniałe i ważne są kobiety i ile warta jest ich piz.a”.

Owszem, zdarzają się szopkowe skandale i w innych krajach: Dziewica Maryja z odsłoniętą piersią, aby nakarmić Dzieciątko (w Portugalii) czy słynny żłóbek z dwoma ubranymi na różowo Józefami jako gejowska „Święta Rodzina” (w USA), ale to niestety lewica hiszpańska uważana jest za jedną z najbardziej antyklerykalnych i przemocowych na świecie. Nic dziwnego, ma na koncie prawdziwe igrzyska śmierci na katolikach w czasie wojny domowej lat 1936–1939. Pilnie uczy się od niej nasz liberalno-lewicowy salon, dlatego – jak już wcześniej alarmowałam – zaczynają być importowane tak groźne hasła, jak to obecne na T-shirtach sprzedawanych w czasie Strajku Kobiet i dla niepoznaki nadrukowywane po hiszpańsku: „La única iglesia que ilumina es la que arde” – czyli „Jedyny kościół, który oświeca, to ten, który płonie”.

Nie ma wątpliwości, że mainstream czymś nas zaskoczy na święta. „Bóg się rodzi długo przed nadejściem świąt, a imię jego Towar” – napisała kiedyś prof. Magdalena Środa. Każdemu więc urodzi się wedle uznania i wiary: jednym Syn Boga, innym towar lub nienawiść. Pozostaje im współczuć, bo nie mogą znieść własnej pustki, będą próbowali zepsuć ten czas ludziom wierzącym. Mimo wszystko warto pamiętać, że te swoje perwersje i bluźnierstwa rezerwują tylko wobec Boga chrześcijan, bo z Mahometem i jego wyznawcami nie mają odwagi zadzierać. I z całą pewnością, nie wierząc w Boga, tworzą sami sobie bogów i idoli, tyle że na swoje marne podobieństwo.

Zbliżała się północ z drugiego na trzeciego września 1991 r. Do dwuosobowego pokoju w szpitalu Przemienienia Pańskiego na warszawskiej Pradze, gdzie leżałem dotknięty nieuleczalną chorobą, wszedł dyżurny lekarz, informując, że pewnie się ucieszę, bo za chwilę dołączy do mnie znana mi postać ze świata literatury i muzyki. Na szpitalnym wózku przywieziono Stefana Kisielewskiego „Kisiela”, którego pomagał położyć na łóżku syn Jerzy.

Rano, kiedy otworzył oczy, przyjrzał mi się badawczo i powiedział: „Panie Bujak, skąd pan się tu wziął?”.

Byłem nieco podobny do legendarnego solidarnościowca Zbigniewa Bujaka, skutecznie ukrywającego się w stanie wojennym przed komunistycznymi służbami. Przedstawiłem się. Byłem wówczas publicystą tygodnika „Przekrój” i początkującym pisarzem z dorobkiem dwóch książek. Uprzedziłem, że chciałbym w czasie naszego wspólnego pobytu rozmawiać na wiele tematów i robić notatki z rozmów, gdyż jestem stałym czytelnikiem jego felietonów i twórczości. Stefan Kisielewski wyraził zgodę. Po latach sięgnąłem do sporządzonych wówczas notatek.

Zaczęliśmy rozmowy od lat dziecięcych, młodzieńczych i o wyborze zainteresowań.

MACIEJ KLEDZIK: *Panie Stefanie, leżymy obok siebie i co chwila zaglądamy do nas różni goście. Jedni przychodzą do znakomitego muzyka i kompozytora, inni do wielkiego pisarza, jeszcze inni do wybitnego felietonisty i publicysty politycznego. Czy nie czuje się pan rozstrojony? Czy nie wolałby pan być znakomitym kompozytorem i muzykiem, jak chociażby pana kolega z Konserwatorium Muzycznego Witold Lutosławski?*

STEFAN KISIELEWSKI: Zacząłem bardzo późno naukę muzyki. Nie mieliśmy w domu instrumentów, a moi rodzice nie rozumieli, dlaczego się ich domagałem i do nich paliłem. Mając dziesięć lat, zacząłem się uczyć grać na pianinie, nie posiadając go w domu. Chodziłem grać do znajomych. Zamiłowanie absolutne. Wstąpiłem do Konserwatorium. Zrobiłem trzy dyplomy, w tym, nie wiadomo po co, z fortepianu.

Zaczynał pan od pianina i fortepianu.

Fortepian wymaga strasznej pracy. Ale zapaliłem się do kompozycji, a przy okazji ukończyłem teorię, i to był trzeci dyplom. A czy pan wie – zwrócił się do mnie z pytaniem – że równoległe przez dwa lata

Po co mi była popularność



Maciej Kledzik

W 1991 r. w szpitalu odbyłem ostatnie rozmowy ze Stefanem Kisielewskim





studiowałem jeszcze filologię i filozofię na Uniwersytecie Warszawskim?

Studiując, napisałem kilka recenzji muzycznych w piśmie „Echo Tygodnia” wydawanym przez redaktora Grubińskiego. Potem zacząłem pisać w „Muzyce Polskiej”. I nagle rzucili się na mnie, tłumacząc, że potrzeba im takiego młodego, który pisałby recenzje muzyczne. I zacząłem pracować jako sekretarz redakcji w „Muzyce Polskiej”.

Który to był rok?

Recenzje zacząłem pisać w 1935 r.

To znaczy, że w tym roku rozdwoiły się pana zainteresowania zawodowe?

Wcześniej, ale na serio w 1935 r.

Kosztę gry i czasu na komponowanie?

Muzyka była dla mnie najważniejsza, ale zrozumiałem, że trzeba odłożyć fortepian na trochę, a nad kompozycją wytrwale pracować. Któregoś dnia przyszedł kolega Małcużyński i namówił mnie do współpracy z pismem „Bunt Młodych”. Powiedział, że tam nikt o muzyce nie pisze, a on zna redaktora, pana Giedroycia. Pamiętam jak dziś, Giedroyc powiedział: „Jestem głuchy jak pień, w ogóle nic nie słyszę, ale jestem pewien, że będzie pan pisał świetnie”.

Pochlebił mi. „Bunt Młodych” był dwutygodnikiem, potem zmienił się w tygodnik „Polityka”. Redagowali go konserwatyści – bracia Pruszyńscy, bracia Bocheńscy i im podobni. Ale ja w „Buncie Młodych” nie pisałem o muzyce.

A o czym pan pisał?

O polityce. Giedroyc przyjął mnie jako recenzenta muzycznego, a ja napisałem tylko jeden, jedyny tekst, zatytułowany „Coś o muzyce”.

A co na to naczelny?

Redaktor Giedroyc płacił każdemu od razu po 30 zł za tekst, bez względu na temat i objętość. Pisałem o tym, co mnie wtedy interesowało. O niezależności sztuki, o polityce.

I wszystko panu drukowali?

Raz tylko, w 1937 r., nie chcieli wydrukować jednego artykułu. Jakoś tak sanacja doszła do wniosku, że endecja ma za duże wpływy, że trzeba zacząć pracować z młodzieżą. Pułkownik Koc, który miał się zająć pracą z młodzieżą, wygłosił proendeckie przemówienie. A ja akurat napisałem artykuł wcale nie o tym, pod tytułem: „Dlaczego pilsudczycy nie kierują życiem Polski?”.

Zarzucałem im brak ideologii, co jest powodem, że endecy i komuniści zaczynają zyskiwać sympatię społeczeństwa.

Zaniósłem tekst do redakcji. Redaktor Giedroyc przeczytał go i powiedział, że nie umieści, ponieważ jest on przeciwko Kocowi. Ale wtedy autor musiał wyrazić zgodę na nieumieszczenie tekstu. Takie miał prawo. Zaprośili mnie do redakcji i trzy godziny truli, żebym wyraził zgodę. Zgodziłem się w końcu. A dwa tygodnie później ze zdumieniem ujrzałem mój odrzucony tekst wydrukowany na pierwszej stronie jako wstępniak.

Co się stało?

Śmigły-Rydz się wściekł, wyrzucił Koca, a Giedroyc natychmiast wykorzystał mój artykuł.

Co zajmowało panu wówczas więcej czasu: pisanie czy komponowanie?

Przez cały czas komponowałem.

Rozmowy nasze przerywane były zabiegami i transfuzjami krwi. Zauważyłem, że stan chorego, który otrzymywał tę samą grupę krwi, polepszał się lub pogarszał. Zwróciłem uwagę lekarzowi prowadzącemu. Odpowiedział, że on też to widzi, ale krew pochodzi od różnych dawców i jej jakość jest lepsza lub gorsza.

Następnego dnia pan Stefan sam wrócił do przerwanego wątku.

STEFAN KISIELEWSKI: W 1938 r. wyjechałem do Paryża.

MACIEJ KLEDZIK: Na stypendium?

Nie miałem tego szczęścia. Tak się złożyło, że mój ojciec prowadził w Polskim Radiu audycję „Znam tylko Twoje listy”. Od jednej ze swoich słuchaczek wielbicielek otrzymał zapis pieniężny, który przeznaczył na moje kształcenie w Paryżu. Komponowałem tam jak szalony, a w wolnych chwilach pisałem do tygodnika „Pion” korespondencje muzyczne. Po powrocie zostałem powołany do odbycia służby wojskowej w Nowowilejce. Na krótko. Wróciłem do Warszawy w marcu 1939 r. Otrzymałem posadę referenta muzycznego w Programie 2 Polskiego Radia. Przyszła wojna, nastąpiła okupacja.

Utrzymywałem się, grając na pianinie w szkole baletu i gimnastyki, której właścicielem był przedwojenny wicemistrz Europy w pięcioboju nowoczesnym, Szelestowski. Blagier okropny. Znajomi Niemcy, których poznał na olimpiadzie, pozwolili mu założyć szkołę. Po tej pracy dawałem mnóstwo lekcji i zaangażowany byłem w konspirację, w Delegaturze Rządu na Kraj, w Wydziale Kultury.

**■ Nie tęsknił pan do pisania?**

W 1942 r. zacząłem pisać powieść. Namówił mnie Miłosz. Mój ojciec potwornie się zdziwił, gdy mu o tym powiedziałem. Dałem jej tytuł – „Sprzysiężenie”.

Muzyka i polityka uzupełnione zostały pisarstwem. Czuł się pan usatysfakcjonowany?

No właśnie. Zmęczyłem tę moją pierwszą powieść w 1944 r. Kupił ją Ryńca.

Władysław Ryńca, który po zakończeniu wojny kierował wydawnictwem Czytelnik w Krakowie?

Tak. Jego sekretarzem do spraw literackich był Czesław Miłosz. Rękopis ocalał, bo w czasie powstania znalazł się w Piastowie. Czytał pan „Sprzysiężenie”?

Nie.

To jest opowieść o facecie, który nie może mieć stosunków z dziewczynami. Akcja dzieje się przed wojną i w czasie wojny. Takie dziwactwo. O dziwo, o tej mojej pierwszej książce krytycy najczęściej mówią. Ryńca wydał po wojnie „Sprzysiężenie” w swoim prywatnym wydawnictwie. Namówiłem go, żeby wydał też Bocheńskiego „Dzieje głupoty w Polsce”. Trzytysięczny nakład tej książki nie rozszedł się i Ryńca był wściekły.

Ale pana „Sprzysiężenie” rozeszło się błyskawicznie.

Po tygodniu książek zabrakło w księgarniach, ale awantura była straszna. „Sprzysiężenie” anonsował „Tygodnik Powszechny”, więc zamawiali je księża, zakonnicy i zakonnice. Nagle się okazało, że jest to „pornografia”. Ale proszę to słowo napisać w cudzysłowie.

Czy pisząc pierwszą powieść, wzorował się pan na jakimś autorze lub książce?

Nie. Sam wymyśliłem fabułę. Zbliżała się wojna, są dwaj przyjaciele, nieudane narzeczeństwo, spiszek na życie Hitlera. Występuje też Giedroyc i jego „Polityka”, sporo o muzyce i polityce. Mieszmasz.

Czy „Sprzysiężenie” miało wznowienia?

Tylko raz, bodajże w 1957 r., wydało je Wydawnictwo Literackie w Krakowie. A kiedy książka się ukazała, znowu wybuchła awantura.

Drugi raz o to samo?

Wezwał mnie abp krakowski Baziak, ale potraktował łagodnie. Napisałem mu, że żałuję, i na tym się skończyło.

W okresie okupacji Stefan Kisielewski pracował w konspiracyjnym Polskim Radiu, którego dyrektorem programo-

Michnik z Geremkiem zrugali mnie, że zdradzam Turowicza.**Powiedziałem, że nie zdradzam, bo ślubu z Turowiczem nie brałem**

wym był prof. Kazimierz Kumaniecki „Kozakiewicz”. Podlegały mu dwa wydziały – Audycji Słownych i Muzyczny. Kierownikiem Wydziału Muzycznego był Stanisław Golachowski „Staś”. Podlegały mu referaty Muzyki Poważnej, prowadzony przez „Rom” (N.N.), i Muzyki Mechanicznej, kierowany przez Olgierda Straszyńskiego „Olgierda”. Zapytałem pana Stefana, czy był w zespole dyrygenta Straszyńskiego. Nie chciał rozmawiać o dniach przed wybuchem powstania i o swoim udziale w powstaniu.

Odtworzyłem już później, że 28 sierpnia 1944 r. obowiązki dyr. Kumanieckiego przejął zwolniony z więzienia na Pawiaku prof. Andrzej Tretiak. Zespół Polskiego Radia miał przygotowane trzy miejsca oczekiwania w razie wybuchu powstania: w sklepie materiałów piśmiennych „A. Rudnicka” (Aleksandry, żony dyrektora PR) przy ul. Marszałkowskiej 120, róg Sienkiewicza, w mieszkaniu Marii Ponikowskiej na drugim piętrze oficyny przy Krakowskim Przedmieściu 7 (tam przechowywana była radiostacja Polskiego Radia) i w zakonspirowanym studiu nagrań na szóstym piętrze hotelu „Polonia”, z wejściem od ul. Poznańskiej 38 (od pierwszych minut powstania hotel był opanowany przez Niemców).

1 sierpnia kamienica przy Krakowskim Przedmieściu 7 została odcięta w Godzinie „W” od powstańców. Przebywali w niej, oprócz dyr. Rudnickiego i właścicielki mieszkania Marii Ponikowskiej, dr Maria Żebrowska, Nelly Horecka, Joanna Gorczycka (właściwie Nelly Khuen-Kryk), prof. Tretiak (wyszedł na obiad przed Godziną „W” i już nie wrócił, zatrzymany przez Niemców, został 3 sierpnia rozstrzelany przy Nowym Zjeździe 5) i Zenon Skierski. Stefan Kisielewski dołączył do nich ostatni, po godz. 17.

5 sierpnia Niemcy, po wypędzeniu mieszańców, podpalili domy przy Krakowskim Przedmieściu. Dyrektor Rudnicki z Marią Ponikowską, Joanną Gorczycką (Horecką) i Zenonem Skierskim, złapani, stanowili osłonę dla Niemców

zbierających swoich rannych żołnierzy w Ogrodzie Saskim. Udało im się szczęśliwie przedostać z Ogrodu do powstańców.

W oficynie kamienicy pod nr 7 pozostała Maria Żebrowska, opiekując się zranionym Stefanem Kisielewskim. Wyszli oboje z palącego się kwartału kamienic. On wywieziony został przez Niemców z ludnością cywilną. Zbiegł z transportu kolejowego w Skierniewicach. Radiostacja Polskiego Radia pozostała w opuszczonym i wkrótce potem spalonym mieszkaniu.

Następnego dnia wróciliśmy do tematu muzycznego.

MACIEJ KLEDZIK: Jakie utwory skomponował pan w czasie okupacji?

Kilka, w tym „Koncert na orkiestrę”. Spłonął w powstaniu razem ze wszystkimi utworami skomponowanymi w czasie pobytu w Paryżu.

Nie odtworzył ich pan z pamięci po zakończeniu wojny?

Tylko kilka. Jeden odtworzył pianista, który grał go na moje zamówienie w 1935 r. W powstaniu spłonęło bardzo dużo. Dwie symfonie, suita na orkiestrę, dwa cykle na fortepian, sporo pieśni.

Po zakończeniu wojny rzucił się pan do pisania.

Marian Eile zaczął w Krakowie tworzyć dziwny tygodnik o nazwie „Przekrój”. Ale zgłosiłem się za późno. Miał już skompletowany zespół. Dostałem u niego etat redaktora technicznego.

Nie zagrał pan długo miejsca w „Przekroju”.

Nie, bo mi to pismo nie odpowiadało. Zamieniłem je na „Tygodnik Powszechny”.

Ale już bez etatu, jako współpracownik.

Do 1949 r. byłem etatowym profesorem w krakowskiej Wyższej Szkole Muzycznej. Wylał mnie Włodzimierz Sokorski po wielkiej awanturze na jeździe młodzieży artystycznej w Poznaniu. Zaatakowałem tam, udowadniając, że istnieje realizm w muzyce. Wybuchła straszna awantura, bo był tam delegat z Komitetu Centralnego. W 15. minucie po dyskusji podszedł do mnie rektor mojej uczelni i powiedział: „Przykro mi”. I wręczył wypowiedzenie z pracy.

Nigdy później nie odwoływał się pan od tej decyzji?

Napisałem odwołanie w 1957 r., ale odpisali coś mętnego. Teraz niedawno spotkałem Sokorskiego na spacerze w parku. Powiedział, że wyświadczył mi przysługę w Poznaniu, gdyż zajmo-



wałbym się wyłącznie muzyką, a dzięki niemu zająłem się polityką.

Uplętnęło sporo lat od zjazdu w Poznaniu. Mógł pan już z nim spokojnie rozmawiać o tych sprawach?

Jeszcze przed wojną poznałem jego brata, kompozytora, i siostrę, żonę Mirosława Dąbrowskiego, bardzo dobrą śpiewaczkę. To była muzyczna rodzina.

Kolejna rozmowa przeprowadzona w szpitalu Przemienienia Pańskiego na warszawskiej Pradze w pierwszym tygodniu września 1991 r.

MACIEJ KLEDZIK: Co pan robił po rozpadnięciu zespołu i zawieszeniu wydawania „Tygodnika Powszechnego” w latach 1953–1956?

Stała pensję w Wydawnictwie Muzycznym miała żona. Udzielałem trochę korepetycji. Wśród uczniów był mój wychowanek ze Szkoły Muzycznej, Adam Walaciński.

Nie wszyscy, tak jak pan i Jerzy Turowicz, zaprzestali kontaktów z prasą komunistyczną. Paweł Jasienica, czyli Leon Lech Beynar, zaczął pisać dla Piaseckiego do prasy PAX.

Trudno tak powiedzieć.

Leopold Tyrmand napisał w pamiętniku, że gang Piaseckiego w zamian za nazwisko Jasienicy gwarantował mu bezpieczeństwo i dostatnie życie. Zatrudnili go w piśmie „Dziś i Jutro”.

To są marzenia Tyrmanda. Jasienica rzeczywiście zaczął u nich, wydał książkę, a potem zaczął się kłócić. Spotkał panią Julię Brystygierową [w tym czasie kierowała VI III Departamentem w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego], zaczął się jej zalić, a ona mu powiedziała: „Dlaczego pan musi pisać w »Dziś i Jutro?«”. I zaczął pisać książki historyczne.

Czy to jedno pytanie zadecydowało o uwolnieniu się Pawła Jasienicy od dziennikarstwa i jego ucieczce w pisanie książek historycznych?

Ciągłe kłócił się z Piaseckim, a Piasecki nieustannie powtarzał, że uratował mu życie. Rzeczywiście, w czasie procesu sądowego nie padło nazwisko Jasienicy.

Ale był aresztowany.

W kotle. Przewieźli go do Warszawy. Przesłuchiwał go Różański [Stefan, właściwie Goldberg, pułkownik kierujący Departamentem Śledczym Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego], a potem zaczęły się machinacje. A czy pan wie, że dziennikarze angielscy przekazali do Londynu informa-

cję o aresztowaniu Jasienicy, ks. Piwowarczyka i mnie? Potem to sprostowali.

A jak się zachował zespół redakcyjny „Tygodnika Powszechnego” wobec Jasienicy, gdy go wyłączono z procesu i przyjechał do Krakowa?

Jasienica od razu poszedł do kard. Sapiehy, wycofał się ze wszystkiego. Nie odwróciliśmy się od niego, bardzośmy go lubili.

W jakiej był pan formie psychicznej w latach stalinowskich?

W nie najgorszej. Duża przyjaźń z Gołubiewem, Stommą. U pani Starowieyskiej-Morsztynowej mieliśmy KaKaDu, czyli Katolicki Klub Dyskusyjny. Na spotkania przychodzili najwybitniejsi ludzie ówczesnego Krakowa, panowie Krzyżanowski, Kwiatkowski. UB nie czeptało się nas.

Jakie nadzieje wiązaliście w Krakowie ze zmianami politycznymi po 1956 r.?

Przyjechał Władysław Bieńkowski [wówczas dyrektor Biblioteki Narodowej] i zaczął opowiadać o Gomułce, o naszym wejściu do Sejmu, do Rady Państwa. Zaczynają się rozmowy z frondą z PAX, zaczyna się życie polityczne. Nagle Gołubiew proponuje: „A wiecie co, zróbmy Kisielea posłem”.

Mnie ustawili na Wrocław, Stommę na Kraków, Zawieyskiego na Warszawę, Marczyka na Lublin, Gładysza na Tarnów.

I wygrał pan wybory do Sejmu.

Dostałem najwięcej głosów. Za mną byli Rapacki i Kulczyński. Weszło nas jedenastu. Były awantury, bo Kliszko [Zenon, najbliższy współpracownik Gomułki, wicemarszałek Sejmu PRL w drugiej, trzeciej, czwartej i piątej kadencji] nie zgadzał się na utworzenie poselskiego koła Znak.

Wszedł pan do sejmowych komisji planu, budżetu i finansów oraz do komisji kultury. Czy znajdował pan jeszcze czas na pisanie i komponowanie?

Dzieliłem czas na wszystko. Nadeszła koniunktura na ilustracje muzyczne do filmów, zacząłem pisać kryminały. Miałem zamiar napisać 12, ale Starewicz [Artur, polityk PZPR, poseł na Sejm PRL drugiej, trzeciej, czwartej i piątej kadencji] mi nie pozwolił.

Dlaczego kryminały?

Bo kryminał to jest kryminał. Miłosz mnie namawiał na pisanie kryminałów. Wpisał mi dedykację na „Zbrodni w dzielnicy północnej”.

Teraz czyta pan w wolnych chwilach Jamesa Hadleya Chase’a – „Qui vivra, rira”, a także „C’est pas dans mes cordes”. Podziwiam, z jaką pasją!

To najlepszy, obok Simenona [Georges, Joseph, Christian, belgijski pisarz, napisał 450 powieści w języku francuskim], autor powieści kryminalnych.

Następnego dnia krótka rozmowa spowodowana pogarszającym się stanem zdrowia mego rozmówcy.

MACIEJ KLEDZIK: Był pan posłem, a nie mógł pan wydawać w kraju nawet kryminałów.

Byłem posłem i zabrano mi paszport służbowy. Dostałem go od ministra Trąpczyńskiego.

Z czego pan żył do 1972 r.?

Z czego się dało. I dostawałem honoraria z paryskiej „Kultury”. Giedroyc mnie drukował, tak jak przed wojną. Honoraria z Paryża przywoził mi Micewski [Andrzej, historyk, publicysta, poseł na Sejm PRL drugiej kadencji].

Od 1972 r. zaistniał pan ponownie felietonami w „Tygodniku Powszechnym”.

I zacząłem ponownie wyjeżdżać za granicę. Dali mi paszport. Miałem sporo odczytów w wielu krajach.

Jakby pan najkrócej zamknął okres 1972–1980?

Tolerowali mnie.

A która z pańskich dróg była w tym czasie najważniejsza?

Publicystyczno-książkowa z polityczną.

Stan wojenny...

Zaskakuje mnie w Australii. Po operacji w Warszawie zaprosili mnie polscy lekarze mieszkający w Australii. 13 grudnia zastał mnie w Melbourne, a dwa miesiące później byłem już w Paryżu. Przyjeżdżał do mnie Micewski i zastanawialiśmy się wspólnie, czy mam wracać czy nie wracać. I wtedy napisałem artykuł „Bić się czy nie bić!”. Jedyny, który Giedroyc odrzucił. Pani Toruńczyk umieściła go w „Zeszytach Literackich”.

Szarpały panem wątpliwości w Paryżu – wrócić czy nie wrócić? Czy pojawiła się taka myśl, że chciałby pan tam zostać?

Nie.

Ze względu na rodzinę pozostawioną w Polsce?

Nie, ze względu na robotę. A co ja miałem robić w Paryżu?

Komponować jak szalony. Tak jak w 1938 r.

Nie. W rezultacie wróciłem równo rok po wyjeździe, 22 lipca 1982 r. I proszę sobie wyobrazić, jak mnie powitali na lotnisku. Celnik poprosił, żebym mu wpisał



■ autograf i poprosił też o to mojego syna Wacka [już wówczas znanego pianistę], który po mnie wyszedł. Na lotnisku wszyscy prosili o autografy.

Wrócił pan do „Tygodnika Powszechnego”.

Ale nie pisałem przez dwa lata.

Nagle zrezygnował pan ze stałego miejsca w „Tygodniku Powszechnym”, od którego zaczynała lekturę większość czytelników. Bardzo nam brakowało pańskich felietonów.

Zaczęły się spory z redakcją...

W tym momencie do pokoju zapukał i wszedł redaktor Piotr Gabryel, zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Wprost” ukazującego się w Poznaniu. Prowadził na łamach „Wprost” cotygodniowe rozmowy ze Stefanem Kisielewskim. Zostawiłem panów samych i poszedłem na spacer do przyszpitalnego parku. Po powrocie pan Stefan nawiązał do przerwanej rozmowy:

STEFAN KISIELEWSKI: Na czym polegały spory w redakcji „Tygodnika Powszechnego”? Młodzi redaktorzy zaczęli dodawać komentarze do moich felietonów. Zaczynały się od słów: „Drogi Kisielu”. Odpisałem, że nie jestem dla nich żadnym „drogim Kisielem”. Narosło.

Jerzy Turowicz, naczelny „Tygodnika Powszechnego”, którego pan znał i wspólnie pracował z nim przez 40 lat, nie interweniował, nie skarcił tych młodych?

Ostateczne rozstanie z nim i z redakcją nastąpiło na Uniwersytecie Warszawskim podczas pamiętnego spotkania z Lechem Wałęsą. Poprosiłem o głos i króciutko skrytykowałem Turowicza.

Pana wystąpienie nie zostało przekazane opinii publicznej. Kamera reżysera Sulika, filmującego spotkanie, nie zarejestrowała pana słów.

Powiedziałem, że jeżeli pan Turowicz nie zna innej koncepcji niż koncepcja pana Leszka Balcerowicza, to może czyta tylko „Tygodnik Powszechny”, a nie zna polskiej prasy, która wiele o tym pisze. Zaraz potem Adam Michnik z Bronisławem Geremekiem zrugali mnie, że zdradzam Turowicza. Powiedziałem, że nie zdradzam, bo ślubu z Turowiczem nie brałem. I teraz odpoczywam.

Po tych słowach nie było już najmniejszych wątpliwości, że nikt z „Tygodnika

Powszechnego” nie przyjedzie odwiedzić Stefana Kisielewskiego w szpitalu.

Po odejściu z krakowskiej redakcji przeniósł się do ukazującego się w Poznaniu tygodnika „Wprost”, którego kierownictwo wydawnictwa i redakcji stworzyło mu nie tylko honorowe miejsce w każdym numerze, lecz także ufundowało przyznaną co roku Nagrodę Kisielewskiego. Każdy z nagrodzonych otrzymywał odlaną w brązie głowę Stefana Kisielewskiego, dyplom i nagrodę pieniężną, która w 1991 r. wynosiła ówczesnych 10 mln zł.

Z trzech nagrodzonych – Jana Krzysztofa Bieleckiego, Jerzego Grohmana i Bogusława Bagsika – ten ostatni nie odebrał Nagrody Kisielewskiego. Uprowadzony wcześniej, że zostanie aresztowany za przekupstwo urzędników i wykorzystywanie tzw. oscylatora do zwielokrotniania posiadanego kapitału, uciekł 1 sierpnia z kraju wraz z rodziną do Izraela. Zapytałem pana Stefana, czy zamierza laureata uciekiniera zamienić na kogoś innego. Spojrzał na mnie zdziwiony. Zaprzeczył. Dwa miesiące wcześniej, w lipcu, zaakceptował do nagrody swego imienia najbyskotliwszego w kraju, nie tylko jego zdaniem, biznesmena. Na liście najbogatszych Polaków, prowadzonej przez tygodnik „Wprost”, Bogusław Bagsik zajmował w 1991 r. ósme miejsce.

Dobiegał końca mój pobyt w szpitalu Przemienienia Pańskiego. Dzięki lekarzowi prowadzącemu, dr. Chrobakowi, który śledził i monitorował postępy światowej medycyny, udało mi się sprowadzić z Londynu niedostępne jeszcze na polskim rynku lekarstwo, które zahamowało rozwój mojej choroby. Tego dnia odbyła się nasza ostatnia rozmowa.

MACIEJ KLEDZIK: Czy nie wydaje się panu, panie Stefanie, że będąc obdarzonym trzema talentami, nie do końca wykorzystał pan ten, który był dla pana najważniejszy?

Słusznie. Nie wykorzystałem.

Który?

Muzyczny.

Dlaczego?

Z głupoty. Pociągały mnie pisarstwo i polityka.

Dla zdobycia popularności?

Nie, po co mi popularność. Chciałem pisać, opisać rzeczywistość.

I udało się?

Częściowo.

Dlaczego częściowo?

Bo ludzie są zajęci teraz czym innym. *Stracił pan czas, który można było poświęcić muzyce.*

Nie. Ale już za późno.

A 30 lat temu?

Sam się zastanawiam. Nie wiem.

Czy zmarnował pan część życia?

Nie, coś niecoś zrobiłem.

A mógłby pan zrobić więcej?

Więcej skomponować, uprawiać lepszą publicystykę polityczną.

Jeszcze lepszą? Pana felietony polityczne były nie do docięgnięcia przez konkurencję.

Nie wiem, lepszą.

Co uważa pan za swoje najważniejsze osiągnięcie w życiu?

Powieści.

Którą z nich za najlepszą?

„Widziane z góry”, potem „Cienie w pieczarze”. I jeszcze „Sprzysiężenie”.

A z dzieł muzycznych?

„Trzecią Symfonię Kameralną”, „Kosmos na orkiestrę” i „Spotkania na pustyni”.

A jak pan ocenia swoje najmłodsze dzieło – „Koncert fortepianowy”?

Nie wiem jeszcze, czy dobry.

Co chciałby pan jeszcze opisać?

To, co Polska przeszła za mojego życia.

W dużym stopniu już pan to zrobił w swoich książkach, artykułach i felietonach.

Tak, ale chciałbym to zrobić bardziej sugestywnie. To ciekawe. Znałem wielu ludzi.

Po moim wyjściu ze szpitala decyzją kierownictwa Ministerstwa Zdrowia Stefan Kisielewski przeniesiony został do Centralnego Szpitala Klinicznego przy ul. Banacha w Warszawie. Tam zdążył obejrzeć telewizyjną transmisję swojego „Koncertu fortepianowego”. Kiedy go odwiedziłem, był już bardzo słaby, mówił z trudnością.

Ostatnimi osobami, które go odwiedziły 27 września, byli syn Jerzy i redaktorzy Marek Król z Piotrem Gabryelem z kierownictwa tygodnika „Wprost”.

Zmarł kilka godzin po ich wyjściu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pierwszy, niepełny zapis przeprowadzonych przeze mnie rozmów ukazał się w nr. 2416 (24/1991) tygodnika „Przekrój” pt. „Ostatnia rozmowa z Mistrzem – Trzy drogi Stefana Kisielewskiego”.



KOMUCHOŻERCA

Walka o Powązki

LESZEK ŻEBROWSKI

Cmentarz Powązkowski w Warszawie przechodził różne koleje losu. Został założony w 1912 r. jako cmentarz prawosławny dla żołnierzy rosyjskich. W II RP był cmentarzem wojskowym, przeznaczonym m.in. dla weteranów powstania styczniowego, uczestników pierwszej wojny światowej, poległych w wojnie polsko-bolszewickiej. Chowano na nim również zasłużonych polityków, działaczy społecznych i gospodarczych. Znalazły się tam też kwatery dla ofiar niezwykle krwawego zamachu majowego z 1926 r. Są tam do dziś, ale nieoznaczone i tylko osoby dociekliwe mogą je odnaleźć, bo nie odbywają się tam uroczystości państwowe.

Podczas drugiej wojny światowej część cmentarza zanektowali Niemcy. Po 1945 r. cmentarz został „zdobyty” przez komunistów, którzy zaprowadzili na nim swoje porządki. Zajęli najbardziej eksponowane części dla utworzenia Alei Zasłużonych, w tym działaczy „międzynarodowego ruchu robotniczego”, weteranów KPP (i jej organizacyjnych przybudówek), a z czasem dla działaczy PPR/PZPR. Komuniści nie cofnęli się nawet przed wyrzucaniem z grobów polityków przedwojennych, aby zająć co lepsze miejsca dla siebie. Taki los spotkał m.in. Walerego Sławka, trzykrotnie przedwojennego premiera i marszałka Sejmu.

Cmentarz stał się też miejscem potajemnego grzebania ofiar komunistycznego terroru, głównie z więzienia mokotowskiego (tzw. Łączka). Po latach na tak

ukrytych szczątkach chowano ich oprawców, a na obrzeżach „Łączki” leżą m.in. Jakub Bermań, nadzorca sowiecki nad Polską, i Julia Brystiger „Krwawa Luna”. Okazałe groby mają też mniej znani zbrodniarze, jak np. major UB Stefan Kocvel Stanisław Sielecki – szef PUBP Ostrołęka, który oślawił się ludobójczym postulatem: „Amerykanie powinni zrzucić bombę atomową na Ostrołękę zamiast na japońską wyspę” (pisał to w lipcu 1946 r., gdy nie dawał sobie rady w zwalczaniu „band” na Kurpiach).

Leży też tam kpt./ppłk UB Tadeusz Konopka „Czerwony” – szef PUBP Płock (1945–1946). Jak zapamiętał jeden z jego podwładnych: „Na wykładach pokazano nam, jak prowadzić przesłuchanie ofiar. Na początku Konopka stwierdził z dumą, że ponieważ szkołą nas Rosjanie, a jednocześnie korzystamy z podręczników Gestapo, to będziemy lepsi od jednych i drugich”.

Sprawa Powązek (które w 1998 r. odzyskały status cmentarza wojskowego) odżywa przy każdorazowym pochówku wysokiego rangą funkcjonariusza komunistycznego. Tak było z pogrzebem Wojciecha Jaruzelskiego, Stanisława Kani, ostatnio Jerzego Urbana. Na unormowanie statusu cmentarza III RP miała ponad trzy dekady. Nie zrobiono nic. Na szczątkach naszych bohaterów leżą ich oprawcy. Dla nich zawsze było miejsce. O pochówku osób naprawdę zasłużonych dla Polski zawsze trwa polityczno-administracyjna walka, nie zawsze skuteczna, bo przecież... nie ma już miejsca. ©©



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Karp a sprawa polska

SŁAWOMIR KOPER

Wbrew powszechnej opinii karp wcale nie pojawił na wigilijnym stole w Polsce dopiero w czasach PRL. Ryba była bowiem już dość popularna w okresie międzywojennym, inna sprawa, że z reguły na inteligenckich czy robotniczych stołach. Ziemiaństwo preferowało szlachetniejsze gatunki, a „karp był ulubionym przysmakiem polskich domów” w miastach, a do tego w mniej zamożnych rodzinach.

Karp był rybą dość popularną już w okresie międzywojennym

Przygotowywano karpia po francusku (z winnym octem, cebulą i goździkami) oraz po polsku (z octem, ciemnym piwem i warzywami). Jednak rekordy popularności bił przepis na rybę w szarym sosie, którą uznawano za tradycyjną potrawę wigilijną. Ugotowany we włoszczyźnie karp był następnie duszony w sosie złożonym z mąki, rodzynek, migdałów, masła (lub oliwy), soku z cytryny i czerwonego wina.

Wielka kariera gatunku zaczęła się dopiero po drugiej wojnie światowej, gdy Hilary Minc rzucił hasło: „Karp na każdym wigilijnym stole”. Pochodząc bowiem z rodziny żydowskiej, doskonale znał jego smak, gdyż była to ryba popularna w jadłospisie polskich starozakonnych, a szczególnie w wersji

faszerowanej i z dodatkiem słodkiej galarety.

Aparatczyk doskonale też wiedział, że szlachetniejsze gatunki ryb będą jeszcze długo niedostępne, a karp był łatwy w hodowli. Zaczęto zatem masowe zarybianie stawów i ryba stała się popularna. Tym bardziej że jej cena była dość przystępna, a część towaru rozprowadzano przez zakłady pracy. Jednak ci, którzy nie mieli okazji kupić przydziałowego karpia, musieli stać w tasemcowych kolejkach bez gwarancji, że akurat danego dnia uda się zdobyć upragnioną rybę. Dlatego też polowanie na karpia rozpoczynano już kilka, a nawet kilkanaście dni przed Wigilią.

Ryby przywożono do sklepów żywe, takie też sprzedawano klientom – wówczas nikt jeszcze nie słyszał o patroszeniu czy też mrożeniu karpia. Z konieczności narodził się zwyczaj przechowywania żywych ryb w domowych wannach, co utrudniało codzienną higienę. Inna sprawa, że chlorowana woda specjalnie karpom nie szkodziła, a byli też tacy, którzy twierdzili, że właśnie dzięki temu ich mięso pozbywa się błotnistej posmaku. Karpie zabijano najczęściej w Wigilię rano – zapewne tego dnia odbywała się największa rzeź w dziejach gatunku.

Karp do dziś pozostał jednym z głównych dań wigilijnych. Mało kto jednak kupuje już żywą rybę, a jeszcze mniej osób przetrzymuje ją w domowej wannie. Może dlatego mięso karpia ma błotnisty posmak, czego autor tego felietonu szczerze nie znosi... ©©

Przeciąganie Wałęsy



W czasie rozmowy Solidarności ze stroną rządową, 10 marca 1981 r. Od lewej: dyrektor Biura ds. Współpracy ze Związkami Zawodowymi Paweł Chocholak, minister Stanisław Ciosek, wicepremier Mieczysław Rakowski, premier Wojciech Jaruzelski, Lech Wałęsa, przewodniczący MKZ NSZZ „Solidarność” ze Szczecina Marian Jurczyk i Bożena Rybicka FOT. WITOLD ROZMYŚLIWICZ/CAF/PAP



Grzegorz Majchrzak

Jedną z ciekawszych operacji Służby Bezpieczeństwa przeciwko NSZZ „Solidarność” była jej planowana „odbudowa”. Takie też były plany władz PRL. Z tego powodu związek nie został rozwiązany 13 grudnia 1981 r., a „jedynie” zawieszony. Definitywny kres jego legalnej działalności położyła dopiero nowa ustawa o związkach zawodowych z 8 października 1982 r.

Na czele „odrodzonego” związku władze widziały Lecha Wałęsę. Temu też celowi służyły działania wobec niego. Nie został on tak jak inni liderzy związku internowany, lecz był „gościem” rządu – 13 grudnia 1981 r. przewieziono go do rządowej willi w Chylicach pod Warszawą, a potem do Otwocka Wielkiego i Arlamowa. Był przetrzymywany w dużo lepszych warunkach niż pozostali działacze związku, m.in. miał dostęp do radia i telewizji, dużo łżejszy reżim – „ochraniali” go funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu, a nie pilnowali ich koledzy ze Służby Więziennej. Przedstawiciele władz natychmiast podjęli z nim poufne rozmowy. Jego pierwszym rozmówcą był minister ds. związków zawodowych Stanisław Ciosek. Najczęściej jednak w kwestii przyszłości związku sondował go Władysław Iwaniec, czyli jego dowódca z okresu zasadniczej służby wojskowej. Do końca 1981 r. spotkał się on z Wałęsą trzykrotnie (17, 21 i 29 grudnia), a w roku następnym kolejne trzy razy (20 lutego, 17 kwietnia i 4 października).

Gdański elektryk okazał się trudnym adwersarzem. W trakcie pierwszych rozmów z przedstawicielami władz wydawał się spolegliwy i skłonny do daleko idącej współpracy – według Cioska miał wręcz współdziałać z rządzącymi w sprawie określenia przyszłości związku. 17 grudnia 1981 r. rano do przewodniczącego NSZZ „Solidarność” przyjechał wicepremier Mieczysław Rakowski. Do ich rozmowy jednak nie doszło. Nie do końca obudzony Wałęsa nie dosłyszał nazwiska swego gościa i kazał go zrzucić ze schodów...

W tym czasie Wałęsa nie dosłyszał nazwiska swego gościa i kazał go zrzucić ze schodów...

Nie zmienia to faktu, że przewodniczący związku był skłonny do rozmów. Pilnujących go BOR-owców przekonywał, że jest zwolennikiem rozmów „trójką” (Wałęsa, I sekretarz KC PZPR i premier Wojciech Jaruzelski oraz prymas Polski Józef Glemp). Nawiązywał tym samym do spotkań, które odbyło się w tym gronie na początku listopada 1981 r. Zgodnie z koncepcją Wałęsy przedstawiciel Kościoła miał występować w roli mediatora, który nie opowiada się jednoznacznie za żadną ze stron. Postawił też warunek wstępny przystąpienia do rozmów: uwolnienie członków Prezydium Komisji Krajowej oraz niektórych doradców związku, m.in. Bronisława Geremka i Karola Modzelewskiego.

WAŁĘSA: „BĘDĘ FAŁSZOWAŁ KARTKI WYBORCZE”

Tymczasem władze – niewykłuczone, że urażone potraktowaniem Rakowskiego – postanowiły przenieść rozmowy z Wałęsą na niższy szczebel i nadać im mniej formalny charakter. W efekcie 17 grudnia przyjechał do niego płk Iwaniec, jako osobisty wysłannik Jaruzelskiego. Według wojskowego przewodniczący NSZZ „Solidarność” potraktował spotkanie z nim jako kolejną okazję do negocjacji z władzami. Miał różne koncepcje i pomysły, „którymi



sypał jak z rękawa”. Ich stałym elementem było utrzymanie związku w kształcie sprzed 13 grudnia 1981 r. Według przywódcy związku warunkami niezbędnymi do rekonstrukcji kierowanego przez niego związku było uwolnienie internowanych i aresztowanych, a także określenie przez Prezydium KK NSZZ „Solidarność” „warunków politycznych” udziału związku w sprawowaniu władzy.

Ponadto Wałęsa deklarował gotowość do ustępstw wobec władz, miał nawet zapewniać: „Partia musi te wybory wygrać, sam będę fałszował kartki wyborcze, żeby wygrała”. Według Iwańca Wałęsa nie przyjmował do wiadomości, że stan wojenny zmienił dotychczasowe realia, i dopiero pod koniec rozmowy zdał sobie z tego sprawę. Zaproponował przeorientowanie związku, polegające na odejściu od polityki na rzecz spraw związkowych. Tę nową formułę programową przyjęło Prezydium Komisji Krajowej (KK), złożone z jego ludzi, a następnie zatwierdziła ją cała „krajówka”. „Żadna siła nie będzie w stanie odwieść go [Wałęsę – przyp. G.M.] od posiadanych koncepcji i poczucia własnej misji” – konkludował wojskowy. Zapewne tę rozmowę rządzący uznali za na tyle udaną, że dzień później (18 grudnia) z Wałęsą ponownie spotkał się Ciosek. Niestety, nie wiadomo, jaki był przebieg ich rozmowy.

20 grudnia 1981 r. Wałęsę odwiedził ks. Alojzy Orszulik, który został wydelegowany w celu odprawiania mszy dla internowanego przewodniczącego Solidarności, ale też miał go przekonać do szukania porozumienia z władzami w sprawie przyszłego kształtu Solidarności. Ksiądz poinformował wyraźnie wzburzonego wydarzeniami w kopalni „Wujek” Wałęsę o inicjatywach władz kościelnych i prowadzonych przez nie rozmowach z rządzącymi, m.in. na temat propozycji przeniesienia przewodniczącego Solidarności na „grunt neutralny”, aby mógł się spotkać z Prezydium Komisji Krajowej i doradcami związku, a następnie podjąć negocjacje z władzami PRL. Przewodniczący związku deklarował jednak, że „do rozmów nie przystąpi i że będzie prowadził głódówkę, bo rozmowy są potrzebne partii, a nie nam”. I z wyraźnym optymizmem, wręcz buńczucznie zapewniał: „Wytrzymamy ich jeszcze przez dwa tygodnie. Jesteśmy bliscy zwycięstwa. Oni muszą przyjść na kolana do nas”. Dodawał: „Prymas tak może, ale on nie może rozmawiać z bandytami. A oni okazali się bandytami, bo strzelali do moich ludzi”. Później jednak, gdy przypo-

mniano mu, iż „zawsze [...] deklarował, że usłucha głosu Prymasa”, zgodził się na podjęcie rozmów, ale pod dwoma warunkami. Pierwszym było wydanie oficjalnego komunikatu o tym, że za poręczeniem episkopatu „wyszedł on z izolacji na teren neutralny”, a drugim umożliwienie mu kontaktu z doradcami i członkami Prezydium KK. Wałęsa wymienił nawet konkretne osoby: „Na doradców proszę Geremka i innych, których wyznaczycie. Gdyby upierali się i nie chcieli dopuścić Geremka, to może być Mazowiecki”.

Mimo że warunki przewodniczącego Solidarności nie zostały spełnione, dzień później (21 grudnia) po raz drugi zgodził się na rozmowę ze swoim byłym dowódcą z wojska. Jej tematem były oczywiście m.in. dalsze losy NSZZ „Solidarność”. Jak odnotował Iwaniec, przewodniczący związku „zainteresował się jednak – w odróżnieniu od poprzedniej rozmowy – przyszłością Związku w jego nowych ramach i warunkach. Zapytał, jaka ewentualnie mogłaby być [»Solidarność« – przyp. G.M.], żeby mogła być. Sam sobie najpierw odpowiedział, rysując nieco tylko złagodzony obraz sprzed 13 grudnia”. Poinformowany przez swego rozmówcę, że „Związek może istnieć (pod taką czy inną nazwą) jedynie jako związek zawodowy”, ponoć odparł: „Co, znowu mamy załatwiać rękawice i liczyć kalesony?”. A po wysłuchaniu argumentów wojskowego miał stwierdzić, że „taki Związek go nie satysfakcjonuje i trzeba będzie wrócić do starej formuły, tylko ją poprawić (mniej »wariatów« i »nawiedzonych«, »kuroniadę już rozgoniłem, tylko tego fragmentu z Radomia [posiedzenia Prezydium KK i przewodniczących zarządów regionów z 3 grudnia 1981 r. – przyp. G.M.] nie puścili«)”. Przyznał się również do błędu: „Trochę za szeroko poszliśmy, to trzeba będzie zmienić”. Stanowisko przewodniczącego Solidarności w sprawie przyszłości związku absolutnie nie satysfakcjonowało rządzących, którzy uważali, że on lawiruje, i mu nie ufali.

WAŁĘSA: „CHCĘ POMÓC GENERAŁOWI”

Drugiego dnia Świąt przyjechali do niego wysłannicy episkopatu – ks. Orszulik i bp Zbigniew Kraszewski. Duchowni odprawili mszę i przekazali Wałęsie list od papieża Jana Pawła II. Ważnym elementem ich misji było też nakłonienie go do podjęcia negocjacji z rządem. Jak potem informował SB kontakt operacyjny „Libella”, czyli ks. Henryk Jankowski,

przewodniczący Solidarności uzależniał to jednak od uwolnienia internowanych działaczy związku. Z informacji przekazanej przez KO „Libellę” wynika, że przedstawiciele episkopatu z trudem wytłumaczyli Wałęsę, że „teraz nie pora na stawianie warunków, lecz należy poszukiwać konstruktywnych rozwiązań zaistniałych problemów społecznych”. Jak z kolei relacjonował ks. Orszulik, przekonali go m.in. do korzystania z doradców pozostających na wolności, zdecydowanie bliższych Kościołowi. Ksiądz odwiedził zresztą ponownie przewodniczącego kilka dni później (27 grudnia). Według jego relacji Wałęsa miał stwierdzić, że jest gotów do negocjacji oraz iż „dziwi się, że dotąd nikt z władz nie proponuje rozmów, że czeka na rozmowę w najbliższych dniach, że liczy, iż przekonamy władze do tych rozmów, bo czas biegnie i rośnie podziemie”. Zagroził nawet, że jeśli do 1 stycznia negocjacje nie zostaną z nim podjęte, to „on dalej nie będzie siedział w tych pałacach beczynnie”. Po raz kolejny powrócił do kwestii uwolnienia Mazowieckiego i Geremka, wręcz podkreślał, że bez nich „nie będzie wiarygodny wobec członków Związku i społeczeństwa”.

Dwa dni później do przywódcy Solidarności po raz trzeci przybył płk Iwaniec. Niestety, przebieg ich rozmowy nie jest znany. Z kolei 1 stycznia 1982 r. Wałęsa po raz kolejny dyskutował z ks. Orszulikiem na temat rozmów z władzami. Przewodniczący ponownie nalegał na ich przyspieszenie i deklarował: „Nie jestem samobójcą. Nie będę wchodził w głupie układy. Nie będę podburzał czy organizował strajków. Chcę pomóc generałowi”. Deklarował dokonanie zmian personalnych w związku, powrót do jego statutu i uznanie realiów politycznych. Opowiadał się za utrzymaniem przez rok stanu wojennego, ponieważ – jak uzasadniał – „ludzie się rozdemokratyzowali i potrzebna jest dyscyplina”. Mówił: „Ten etap jednak musimy przeżyć, by nie przyszedł etap następny, gorszy, interwencja z zewnątrz”. Zgodził się na propozycję strony kościelnej dotyczącą doradców.

Chociaż Wałęsa był skłonny do ustępstw, o czym władze doskonale wiedziały dzięki podsłuchom umieszczonym w miejscu jego internowania oraz raportom funkcjonariuszy BOR, w dalszym ciągu nie podejmowano decyzji w sprawie negocjacji z nim. W kolejnych tygodniach jego głównym rozmówcą, przynajmniej w odniesieniu do tematów



politycznych, pozostał ks. Orszulik. 18 lutego 1982 r. przewodniczący Solidarności został przesłuchany w ramach śledztwa prowadzonego przeciwko Bogdanowi Lisowi, ale nie przez prokuratora, lecz przez oficera Oddziału II Zarządu Wojskowej Służby Wewnętrznej Pomorskiego Okręgu Wojskowego Stefana Rusiniaka. Odmówił składania zeznań, ale wdał się z oficerem WSW w nieformalną rozmowę, po której Rusiniak odnotował: „W swej postawie i osobowości [Wałęsa – przyp. G.M.] stracił pewność siebie, jest chwiejny i ogromnie podatny na wpływ innych, gotowy iść w chwili obecnej na różne ustępstwa”.

Zapewne ta ocena postawy przewodniczącego Solidarności była przyczyną przeprowadzenia z nim dwa dni później (20 lutego) kolejnej rozmowy przez Iwana. Wojskowy ponownie chciał wysondować, jakie jest stanowisko Wałęsy w sprawie przyszłego kształtu związku, w tym ewentualnej przynależności do niego pracowników MON i MSW (co przed 13 grudnia 1981 r. było jedną z ważniejszych kwestii spornych w relacjach z władzami). Iwaniec był też zainteresowany tym, jaki będzie stosunek związku do sojuszników czy też jak potraktuje on prawo do strajku. Stanowisko Wałęsy z pewnością nie odpowiadało rządzącym, był on bowiem przeciwny proponowanej przez nich „odbudowie” związku, m.in. odejściu od struktury regionalnej. Dopuszczał jedynie mniejsze lub większe korekty personalne i programowe. W ocenie jego rozmówcy najbardziej obawiał się, że ewentualna „odnowa” związku „wysadzi go z siódła”. Iwaniec uważał, że aby zrealizować swoje chorobliwe ambicje, Wałęsa był gotów obiecać prawie wszystko. W tym kontekście przytoczył słowa przewodniczącego związku: „Mogę dać gen. Jaruzelskiemu słowo honoru, że nie będę spiskował, tylko pozwólcie mi działać, ja chcę dobrze”.

W tej sytuacji wojskowy proponował m.in. „zaniechanie wizyt osób urzędowych” u Wałęsy. Nie wiadomo, czy władze zrealizowały jego propozycje. W każdym razie Iwaniec spotkał się z Wałęsą jeszcze raz – 17 kwietnia 1982 r., przed przeniesieniem przewodniczącego Solidarności spod Warszawy do Arłamowa. Temat rozmów był oczywiście ten sam, co poprzednio – przeszłość Solidarności i jej przyszłość oraz plany Wałęsy. W jej trakcie wojskowy chyba całkiem wyzbył się złudzeń co do zmiany stanowiska przewodniczącego Solidar-

Iwaniec uważał, że aby zrealizować swoje chorobliwe ambicje, Wałęsa był gotów obiecać prawie wszystko

ności w tych kwestiach. „Nie jest w stanie zmienić swoich poglądów i przekonań, gdyż odpowiadają one typowi jego osobowości” – konkludował. Mimo tych negatywnych wniosków dialogu z Wałęsą nie zaprzestano. Po przewiezieniu go do Arłamowa (11 maja 1982 r.) rozmowy z nim prowadził dyrektor gabinetu ministra – członka Rady Ministrów ds. współpracy ze związkami zawodowymi – Paweł Chocholak. Najprawdopodobniej pierwsza z nich odbyła się 14 maja przy okazji wizyty, którą Wałęsie złożył wiceprzewodniczący Międzynarodowej Organizacji Pracy Nicolas Valticos, któremu Chocholak towarzyszył jako tłumacz. Jak odnotował ten wysoki urzędnik URM, jego rozmowa z liderem związku dotyczyła w znacznej mierze przyszłości Solidarności. Wałęsa miał stwierdzić, iż „wie, że Związek musi być inny, mieć nowy statut, inny status [w tekście błędnie: statut – przyp. G.M.] doradców, ale to musi Związek zrodzić i on, ale nie kto inny”. Zdaniem Chocholaka Wałęsa dopuszczał dwa warianty rozwoju ruchu związkowego w Polsce. Pierwszy zakładał odwieszenie Solidarności „z dalekimi zmianami [...], które on gotów wcześniej uzgodnić i przeprowadzić”. Zgodnie z drugim wariantem Wałęsa, „biorąc pod uwagę sytuację gospodarczą kraju i fakt, że pełnych swobód związkowych być nie może, [był gotów] ogłosić zawieszenie działalności związku na 2–3 lata. Ale również [chciał – przyp. G.M.], żeby zrobiło to prezydium”. Zaznaczył też, że gdyby doszło do rozwiązania istniejących związków lub delegalizacji Solidarności, „to oczywiście beze mnie”.

GOTÓW DO NEGOCJACJI

Kolejne spotkanie Chocholaka z liderem Solidarności odbyło się 29 maja. Według Wałęsy trwało ono cztery godziny. Dyrektor gabinetu Cioška miał mu przedstawić cztery warianty dotyczące dalszych losów Solidarności. Pierwszy z nich przewidywał, że zostanie określony status doradców, a związek zobowiąże się do ograniczenia prawa do

strajku i przyzna się „do winy za popełnione błędy”. Zgodnie z drugim wariantem Solidarność zostałaby rozwiązana, a 10 tys. jej działaczy aresztowanych (zapewne na długi czas, ponieważ stan wojenny mógłby trwać nawet 18 lat). Trzeci miał być podobny do drugiego, ale możliwe było „rozwiązanie wg modelu czechosłowackiego, co miałoby oznaczać interwencję Bloku w Polsce”. Czwarty wariant zakładał odwieszenie Solidarności, gdy związek zobowiąże się, że „nie będzie on prowadził działalności w takim zakresie jak dotąd i również przyzna się do winy”. Wałęsa miał dopuszczać dyskusję nad pierwszym i ostatnim rozwiązaniem. Według niego „mogłyby działać MKZ-ty i regiony w mniejszym niż dotąd składzie”.

Paweł Chocholak przyjechał do Lecha Wałęsy również 24 lipca, ale tym razem przewodniczący Solidarności odmówił rozmowy z nim. Był gotów do podjęcia negocjacji, ale postawił warunek: „Będę rozmawiał z Cioškiem lub Rakowskim – ale najniżej z Rakowskim”. Oczywiście rozmowa z wicepremierem, którego przewodniczący Solidarności kilka miesięcy wcześniej potraktował „z butą”, nie wchodziła w grę. Był to też koniec negocjacji z nim na temat przyszłości związku. Swoistych prób „przeciągania Wałęsy”, pozyskania go do firmowania koncepcji „odbudowanej” NSZZ „Solidarność”, działającej pod kontrolą władz PRL. Mimo nacisków na niego również ze strony przedstawicieli Kościoła – mamionych przez władze wizją „żółtych związków zawodowych”, z dużym wpływem strony kościelnej – nie był on skłonny firmować związku „odbudowanego” po 13 grudnia 1981 r. na warunkach komunistów. Owszem, był – z czasem – skłonny do coraz dalej idących ustępstw, a także do wygłaszania miłych dla rządzących deklaracji, w które ci zresztą nie wierzyli. Najlepiej jego postawę wobec koncepcji „odbudowy” NSZZ „Solidarność” oddają słowa wypowiedziane na początku lutego 1982 r., kiedy to jednego z „ochraniających” go BOR-owców poprosił o przekazanie, że „nie zamierza podjąć działalności związkowej w »nowo« tworzonych związkach zawodowych” oraz iż proponuje, aby ich przewodniczącym został „generał Jaruzelski lub redaktor Rakowski albo działacz społeczny – minister Ciošek”...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD WTORKU W SPRZEDAŻY!

CZY POLACY SĄ SKAZANI NA WIELKOŚĆ?

O szansach stworzenia naszego imperium
za Polski Piastów oraz I i II Rzeczypospolitej
mówią historycy: Jacek Banaszkiewicz,
Andrzej Nowak i Mariusz Wołos



Mikołaj Iwanow – O sowiecko-polskiej wojnie o białoruską duszę

Piotr Semka – O wielkim głodzie w Irlandii i na Ukrainie

Maciej Rosalak – O grozie Berberów na Morzu Śródziemnym

Jakub Ostromięcki – O truciźnie na dworze Króla Słońce

Sławomir Koper – O seksie i alkoholu w życiu Kazimierza Deyny

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Tomasz Lenczewski

Przed warszawskim sądem w 1932 r. stanęła księżniczka Zofia Zyta Korybut-Woroniecka, oskarżona o zabójstwo swojego narzeczonego. Jej czyn i proces długo nie schodziły ze szpalt prasy

Zyta była córką średnio zamożnego ziemianina z Wężowca koło podwarszawskiego Grójca. Jej ojciec, Władysław Korybut-Woroniecki, właściciel 300-hektarowego majątku, poślubił swoją kuzynkę w trzecim stopniu pokrewieństwa, Zofię Nałęcz-Gostomską. Rzekomo miało to negatywny wpływ na stan psychiczny dzieci pochodzących z tego związku. Młodszy syn, Henryk, w wieku 26 lat popełnił samobójstwo z miłości, będąc już żonatym ze starszą od siebie kobietą. Najstarsza córka, Maria, cierpiała na kleptomanię, a kolejna, Alicja, była również zdaniem matki osobą chorą. Najstarszy syn, Władysław, także przysparzał rodzicom wiele wstydu i stał się przyczyną gorszącego procesu.

Rodzina, choć odnotowana w „Almanachu błękitnym”, stanowiła spauperyzowaną linię książęcego rodu, zwaną gałęzią płocką. W dodatku nieuznaną w tytule książęcym z powodu wątpliwości w sprawie metryki przodka, co zostało odnotowane w prestiżowej encyklopedii. Tytuł książęcy wpisywano im głównie w kościelnych metrykach i posługiwali się nim towarzysko.

Dystans, który dzielił Zytę i jej rodzinę od pozostałych gałęzi rodu, był znaczny. Ona sama otrzymała przeciętne wykształcenie typowej ziemiańskiej córki ze średnią szkołą u zakonnic w Zbylitowskiej Górze oraz pobytem w klasztorze w Belgii. Znała język francuski i grała na fortepianie. Wychowana została w rodzinie żyjącej na dość skromnej stopie, obciążonej finansowo wskutek konieczności wykształcenia dzieci. Znamienny był fakt, że jeździli trzecią klasą w pociągach. Nawet uroczyste chrzty jej i starszej siostry odbyły się dopiero, kiedy obie były już nastolatkami.

Widoki na korzystny związek małżeński miała Zyta niewielkie. Będąc na wczasach w Krynicy, poznała urzędnika nadleśnictwa hr. Zamoyskich Jerzego Töpffera

Księżniczka zabójczyni



Zyta Woroniecka po balu w warszawskim ratuszu, maj 1929 r. FOT. ARCHIWUM AUTORA



i wbrew woli rodziców doprowadziła do małżeństwa z nim. Ślub odbył się w Warszawie w listopadzie 1930 r., bo tam zamieszkiwał krewny ojca Włodzimierz ks. Korybut-Woroniecki, ożeniony z bogatą Epsteinówną. Małżeństwo Zyty i Jerzego trwało zaledwie kilka miesięcy – zakończyło się separacją. Dziś trudno dociec, czy powodem jego rozpadu były głównie sprawy finansowe (niewypłacony posag?). Z jej zachowanej korespondencji wynika, że czuła się przedstawiicielem handlowym o niewtrącanie się w jej życie osobiste. O to samo prosił również miejscowy ksiądz proboszcz. Później obciążała za winę również męża, jako „amoralnego dziwaka”, i mieszkającą z nimi teściową. W rezultacie powróciła do Węzowca.

ZABÓJSTWO NARZECZONEGO

Wkrótce po separacji, wracając pociągiem ze Lwowa, poznała Jana Dudzińskiego. Był on przedstawicielem handlowym warszawskiego kupca Jana Brunona Boya, ewangelika z Łodzi, pochodzenia niemieckiego. Magia nazwiska sprawiła, że zainteresował on poznaną księżniczką swego pryncypała, pozostającego w separacji z żoną. Nastąpiło romantyczne spotkanie, wzajemne oczarowanie, które doprowadziło do wybuchu płomiennego uczucia kobiety, która szukała spełnienia w miłości.

Oboje byli w związkach małżeńskich. Dla Boya sprawa rozwodu była formalnością, a dla Zyty w ówczesnych praktykowanych warunkach wiązała się z poważnym wydatkiem finansowym połączonym ze zmianą wyznania. Nastąpiły wizyty Boya w majątku rodziców, nadzieje na posag, które wkrótce szybko rozwiązała rzeczywistość. Zyta się nie zawahała i skorzystała z zaproszenia do wspólnego zamieszkania. Boy prowadził życie na wysokiej stopie. Mieszkał nad sklepem przy ul. Senatorskiej, w dużym apartamencie, wraz z matką i jedną z córek, którą odebrał żonie. Nieformalny związek Zyty i Brunona nie był tajemnicą dla nikogo. Towarzyszyły mu oświadczyzny, pierścionek z brylantem, zastawiony potem w lombardzie na poczet długów firmy. Zyta pomagała w interesie jako kasjerka bez pensji. Po zorientowaniu się w statusie materialnym Woronieckich Boy znalazł się w kłopotcie. Zarówno jego matka, jak i córka polubiły narzeczoną ojca, a on sam nawet się do niej przywiązał. W istocie jednak zdradzał ją niemalże od pierwszych dni ich wzajemnego pożycia,



Wypoczynek na plaży. Z prawej: Zyta z Boyem, sierpień 1931 r. FOT. ARCHIWUM AUTORA

nawet z zatrudnionymi u siebie ekspertkami. Prowadził hulalszczy tryb życia, nadużywał alkoholu i wyprowadzał pieniądze z firmy. Mimo to Zyta kochała go zaborczą, wręcz patologiczną miłością, którą on czuł się z każdym dniem coraz bardziej zmęczony.

W rezultacie podjął wobec niej swoistą grę emocjonalną. Opowiadał jej, że kobiety go zepsuły, relacjonował swoje prawdziwe bądź wymaginowane ekscesy z kobietami w Italii czy Europejskim. Szczególnie akcentował spotkania z Jadwigą Jennerówną, córką prokurenta łódzkiego banku, zwaną „Dzidzią”. Woroniecka odczytywała to jako słabość i rodzaj choroby. Tym bardziej że obiecywał jej co pewien czas dłuższe wspólne chwile, a ona uważała się za jego narzeczoną. Zyta notowała jego wyjścia na miasto i spotkania z kobietami, a wreszcie, czując się zaniebawaną, zaczęła go śledzić, a nawet urządziła mu publiczną awanturę w lokalu w obecności „Dzidzi”. Boy miał jej dosyć i poniżał ją w oczach personelu, aż wreszcie zwolnił z posady kasjerki.

Rankiem 20 listopada 1931 r., po powrocie z nocej hulanki, oznajmił swojej narzeczonej, że wprawdzie kiedyś kochał ją bardzo, ale między nimi wszystko już skończone. Zyta wpadła w histerię. Błagała go o zastanowienie, powołując się na ich wspólne szczęśliwe chwile oraz jej przywiązanie do niego. Brunon opędał się od niej i lekcewał jej słowa o możliwości popełnienia jakiegoś głupstwa. Drwił z niej nawet wtedy, kiedy wzięła do ręki pistolet. Rozdygotana Woroniecka oddała w kierunku Boya siedem strzałów, z których trzy były celne. Brunon zmarł na miejscu. Po zabójstwie Zyta zadzwoniła po pracownika firmy, który wezwał policję. Początkowo zachowała zimną krew, ale wkrótce, gdy zorientowała się w skutkach swojego czynu, wpadła w rozpacz.

KARA ZA ZABÓJSTWO

Temat został podchwycony przez prasę. Dziennikarze nie przebierali w sło-

wach i epitetach, kreując Zytę na „wampirzycę” dotkniętą chorobliwą namiętnością oraz nienasyconą erotycznie „Katarzynę Wielką”. Z czasem, również dzięki listom rodziców do poczytnego „Tajnego Detektywa”, nastąpiło uspokojenie. Zaczęto dostrzegać w niej ofiarę dramatu. Zwrócono uwagę na zachowanie Boya. Zelżał ton nienawistnych komentarzy pod jej adresem. W pra-

sie jednak wciąż wytykano jej arystokratyczne pochodzenie, choć Korybut-Woronieccy nigdy nic wspólnego z arystokracją polską na poziomie europejskim czy nawet lokalnym nie mieli. Dziennikarze pisali także błędnie, że Boy był oficerem lub żołnierzem Legionów Polskich, co było czystą fantazją, ale być może miało „uszlachetnić” jego sylwetkę.

Zyta została osadzona na warszawskim Pawiaku w oddziale kobiecym więzienia przy ul. Dzielnej. Tydzień po zabójstwie zaczęła prowadzić pamiętnik, zachowany do dziś. Jest on kroniką jej związku z Boyem, dużo miejsca poświęciła jego wiarołomstwu. Choć jego styl jest zdecydowanie grafomański i egzaltowany, to jest on jednak ważnym dokumentem odzwierciedlającym jej stan psychiczny, a przede wszystkim cechy osobowości. Warto dodać, że Woroniecka została poddana badaniu psychiatrycznemu w szpitalu w Tworkach. Niestety, orzeczenie znane jest jedynie z prasy, a w pamiętniku Zyta przedstawiła nieco inną wersję. Idealizowała swoje uczucie do Boya, przeciwstawiając je potrzebom erotycznym, które kierowały jego stosunkiem do kobiet.



Zyta z Boyem i siostrą Alicją w Węzowcu, 24 lipca 1931 r.

FOT. ARCHIWUM AUTORA



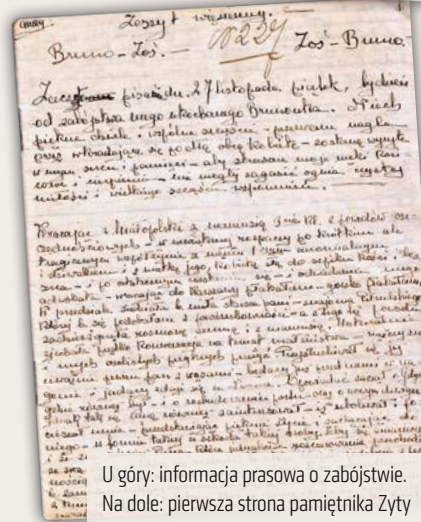
Postępowanie sądowe rozpoczęło się w czerwcu 1932 r. Sąd okręgowy przychylił się do żądania prokuratora Mieczysława Siewierskiego, później- szego wybitnego karnisty, aby proces odbył się przy drzwiach zamkniętych ze względu „na dobre obyczaje i przystojność publiczną”. W sądzie odbyła się konfrontacja trzech kobiet uwikłanych w różnym stopniu w ten dramat: żony Boya, kochanki „Dzidzi” i oficjalnej narzeczonej.

Rodzina wynajęła dobrego adwokata, Władysława Sobotkowskiego, któremu udało się przedstawić swoją klientkę jako ofiarę. Uznano ją winną zbrodni zabójstwa pod wpływem zniewagi wyrządzonej przez Boya i skazano na trzy lata twierdzy. Sąd nakazał jednocześnie dostarczanie alimentów małoletniej córce ofiary. Z uwagi na zdanie odrębne jednego z sędziów, który opowiadał się za uniewinnieniem Zyty, sprawa trafiła do wyższej instancji. Jednak sąd apelacyjny pół roku później pod wpływem wystąpienia prokuratora Kazimierza Rudnickiego, zwanego „czernym prokuratorem”, nie był dla skazanej już tak łaskawy. Utrzymał wprawdzie wyrok, dostosowując go do nowego kodeksu karnego, gdzie nieistniejące już pojęcie „twierdzy” zastąpił „więzieniem”, lecz zarazem dowodził, że Zyta, jako osoba o „wrodzonym niedorozwoju umysłowym”, ale też nieznacznej psychopatii, nie była żadną ofiarą, gdyż zniewagi znosiła w trakcie trwania związku z Boyem. Pod wpływem tej argumentacji sąd zmienił kwalifikację czynu na zwykłe zabójstwo w afekcie. W wyroku nie wspomniano o alimentach dla córki Boya.

Woroniecka odbywała karę w znośnych warunkach w Fordonie. Kilka miesięcy przed jej końcem wyszła na wolność. Na prośbę matki Zyty prezydent RP Ignacy Mościcki skorzystał z prawa łaski. Nie było w tym nic dziwnego, bo np. hrabiemu Bohdanowi Ronikierowi, zabójcy własnego szwagra, prezydent darował wcześniej kilka lat z odbywanego wyroku. Tymczasem Woroniecka udzieliła jeszcze kilku banalnych wywiadów prasowych i wkrótce o niej zapomniano.

ŻYCIE NA WOLNOŚCI

Po wyjściu z więzienia nie potrafiła już ułożyć sobie życia. W 1935 r. poznała wprawdzie potomka starożytnego rodu Jana Maleszewskiego, dziennikarza „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, zatrudnionego w MSZ w charakterze tłumacza.



U góry: informacja prasowa o zabójstwie.
Na dole: pierwsza strona pamiętnika Zyty
pisanego na Pawiaku FOTARCHIWUM AUTORA

Łudził ją możliwościami zatrudnienia w resorcie, co było naturalnie niemożliwe. Bezszytecznie przekonywał do konieczności wydania pamiętnika, co miało przynieść spore pieniądze. Jednak ów snob, tytułujący się hrabią, któremu podobala się księżniczka, nie zdołał jej zainteresować i zerwała z nim kontakty.

Mieszkała w majątku rodziców, jak reszta rodzeństwa, stanowiąc dla nich duże obciążenie. Szczególne problemy sprawiał brat Władysław, wydziedziczony przed wojną przez rodziców. Był on czarną owcą w rodzinie. Znieważał swoich bliskich, co doprowadziło do sprawy sądowej oraz przyczyniło się, zdaniem matki, „w znacznej mierze do upadku majątku”. Wcześniej zwolniono go z pracy wskutek defraudacji, której koszty musiał uregulować ojciec. W czasie okupacji zajmował się handlem walutą i złotem oraz wydał w ręce policji niemieckiej Jerzego Szturma de Hirsfelda, za co po wojnie był przejściowo aresztowany. Sama Zyta miała się zaangażować w konspirację i trafić ponownie na Pawiak. Poza jedną mało wiarygodną relacją brak jest jednak źródłowego potwierdzenia tego faktu. Niewątpliwie jej niemieckie nazwisko, które cały czas nosiła po mężu, mogło wzbudzić zainteresowanie okupacyjnych władz niemieckich. Przejęły one zresztą majątek na

Liegeschaf (administrowanie przez niemieckiego pełnomocnika), choć rodzina pozostała w Węzowcu.

Z powodu powojennej reformy rolnej Woronieccy musieli opuścić swój majątek, znacznie okrojony i zadłużony hipotecznie. Przygarnięci przez inną rodzinę zamieszkali w Mogielnicy. Zyta wraz z siostrą Alicją dbały o rodziców. Jak wspomina o niej Michał Woroniecki na kartach swojej monografii o Woronieckich: „Była osobą bardzo ekscentryczną, znana była z posiadania dużej ilości bezpańskich psów, które zbierała po okolicy... Psy karmiła resztkami jedzenia z którejś z warszawskich restauracji na Koszykowej...”. W istocie, zdaniem miejscowej regionalistki Wandy Szelaż, psy rasowe stanowiły jej źródło utrzymania obok handlu, głównie dobrami pochodzącymi z paczek zagranicznych od dalszych krewnych i przyjaciół. Po śmierci rodziców siostry za biżuterię matki kupiły niewielki domek we wsi Szczęsna pod Grójcem, potem Zyta przeniosła się do Piastowa. Dopiero w połowie lat 50. XX w. Życie Woronieckiej udało się przeprowadzić rozwód z mężem i powrócić do pełnego rodzowego nazwiska.

Pod koniec życia zamieszkała w domu w Brzózkach pod Milanówkiem. Procesowała się z bratem Władysławem o portrety rodowe i inne ruchomości zebrane w 18 paczkach, które matka pozostawiła jej w charakterze „wyprawy”, co zostało wyraźnie zaznaczone w testamentach. Sąd Rejonowy w Grodzisku Mazowieckim oddalił roszczenia brata. Złożył on apelację, której jednak nie doczekał. Po nim pojawił się jego spadkobierca, obcy dla Zyty. Wygrała proces, ale zaraz zmarła. Dziedziczył po niej Skarb Państwa, a wszystkie pamiątki uległy rozproszeniu.

Zyta stała się bohaterką wielu artykułów i książek, począwszy od okresu międzywojennego, choć jej „sławę” już przed wojną przyćmiła Gorgonowa. Choć autorzy współczesnych tekstów na jej temat dobrze odtworzyli samą zbrodnię i proces, mimo sprzecznych niekiedy relacji prasowych, to nie zdołali do końca wnikać w jej sprawy osobiste i rodzinne, wyjść poza samą tragedię. Wiele faktów zostało zresztą przeinaczonych za sprawą osób trzecich. Ta historia wciąż czeka na rzetelne opracowanie. Zarówno postać Zyty Woronieckiej, jak i historia jej rodziny kryją bowiem wiele tajemnic, których rozszyfrowanie mogłoby wnieść wiele do zrozumienia tragedii, której była sprawczynią.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DZIENNIKARSKI POKER

od **poniedziałku**
do **czwartku**
19:10

Podsumowanie najważniejszych wydarzeń dnia w Telewizji Republika z udziałem zaproszonych do studia polityków, dziennikarzy, komentatorów i ludzi kultury.

Prowadzą: **Adrian Stankowski, Piotr Lisiewicz i Tomasz Sakiewicz**





Z ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Polsce Markiem Brzezinskim rozmawia Jerzy Dąbrowski

Kiedy powtarzam, że Polska jest bezpieczna, nie mówię tylko za siebie

JERZY DĄBROWSKI: W lipcu tego roku zmarła pańska mama, Emilie Benes Brzezinski, krewna Edvarda Beneša, prezydenta Czechosłowacji w latach 1935–1938 i 1940–1948. Była znaną artystką-rzeźbiarką. Jak napisała pańska siostra Mika Brzezińska: „Moja mama była kobietą niezależną i nowoczesną”. Jaka była?

MARK BRZEZINSKI: Moja mama była artystką w Waszyngtonie – mieście, które nie jest miastem artystów. Stolica jest bardziej skupiona na rządzie i polityce.

Jako artystka mama była więc zdana na samą siebie, miała jednak wsparcie mojego taty, który był dumny z jej pracy. Robiła duże gumowe formy drzew i odlewała je w rzeźby z żywicy. Później drażyła w pniu drzewa ogromne rzeźby o silnym przesłaniu ekologicznym. To, czego się od niej nauczyłem, to siła osobowości, którą artysta musi mieć, aby być samodzielnym, rzucać wyzwania konwenansom, robić coś, czego inni

mogą nie rozumieć – ale zdają sobie sprawę, że to jest piękne. Kiedy dorostałem, w domu Brzezińskich panowała prawdziwa równość. Mój ojciec był ważnym człowiekiem, ale praca mamy była równie ważna. Kiedy my, dzieci, wracaliśmy do domu ze szkoły, a mama w tym czasie wycinała piłą łańcuchową olbrzymie rzeźby z pnia drzewa, nie przeszkadzaliśmy jej, lecz czekaliśmy, aż skończy pracę. Spoglądając wstecz jako



Ambasador USA w Polsce Mark Brzezinski obserwuje współdziałanie wojsk z Polski, USA, Francji i Szwecji w ramach ćwiczenia „Defender Europe 2022”, organizowanego przez dowództwo amerykańskich wojsk lądowych w Europie i Afryce (USAREUR-AF)

FOT. JERZY DĄBROWSKI/ONS

**Mój dziadek,
Tadeusz Brzeziński,
był jednym z wielu, którzy
pomimo ryzyka zdecydowali
się przeciwstawić złu**

Niektórzy mówią, że oni się nie lubili. Nie jest to zgodne z prawdą.

Mam egzemplarz książki Henry’ego Kissingera na temat Chin, z dedykacją dla mojego ojca: „Zbigniewowi Brzezińskiemu, który pomimo różnic ze swoim przyjacielem szedł równoległą drogą”. A potem autor dodał w nawiasie: „Zachowaj to w tajemnicy, Henry Kissinger”. Więc cokolwiek ludzie o nich mówili, obaj byli intelektualnymi bratnimi duszami.

Dziadek opowiadał panu o swojej pracy w przedwojennej polskiej dyplomacji? W latach 1931–1935 pomagał Żydom w ucieczce z Niemiec, wydając polskie paszporty. W latach 1935–1937 był świadkiem znikania ludzi w ZSRS. Po wojnie zaangażowany był w pracę na rzecz Polonii kanadyjskiej. Słyszałem, że to głównie dzięki niemu skarby wawelskie trafiły po wojnie do Krakowa.

Mój dziadek, Tadeusz Brzeziński, był jednym z wielu, którzy zdecydowali się przeciwstawić złu, którzy robili to, co uważali za słuszne, pomimo ryzyka, które niosły za sobą ich działania. W 2008 r. pisałem o jego niesamowitej historii w „New York Timesie”, o tym, jak wyszedł poza swoje obowiązki w roli polskiego dyplomaty. Pełniąc funkcję konsula generalnego w Lipsku, podczas dojścia Hitlera do władzy na początku lat 30. ubiegłego wieku, widział niesprawiedliwość i narastające zło. W tym czasie Żydzi byli już wywożeni do obozów koncentracyjnych, tracąc swój status prawny. Mój dziadek dostarczał polskie paszporty Żydom, zarówno polskim, jak i niemieckim, aby mogli się uwolnić z internowania lub uciec z nazistowskich Niemiec. Kiedy obojętność była łatwym wyborem, on dokonał trudnego wyboru. Dokonał właściwego wyboru.

Postanowił nie być obojętnym w obliczu okrucieństwa. Zdecydował się podjąć działania, aby chronić ludzkie życie.

Znalazłem też informacje, że Stany Zjednoczone dzięki namowom pańskiego ojca poparły wybór Karola Wojtyły na Papieża. Jakie były relacje Ojca Świętego ze Zbigniewem Brzezińskim?

osoba dorosła, doceniam wsparcie mojego taty dla niej we wszystkim, co robiła.

Zbigniewa Brzezińskiego nazywano też rusofobem. Wielu amerykańskich polityków nie było w tej sprawie tak zdeterminowanych jak pański ojciec. W książce Andrzeja Lubowskiego „Zbig, który podminował Kreml” przeczytałem, że Zbigniew Brzeziński rywalizował z Henrym Kissingerem, który nie był tak antysowiecki po stronie republikanów. Czy na jego postrzeganie Rosji

nie wpłynęły doświadczenia pańskiego dziadka Tadeusza, uczestnika wojny polsko-bolszewickiej, konsula w Charkowie do 1937 r., który w porę wyjechał z tej placówki do Kanady?

Proszę pozwolić, że powiem najpierw słowo o Henrym Kissingerze. Spotkanie z nim, również imigrantem z Europy Środkowej, odgrywającym rolę polityczną w Waszyngtonie, pomogło przekonać mojego ojca, że ze środowiska akademickiego również może wejść na scenę polityczną.



■ Mój ojciec spotkał się z Janem Pawłem II wkrótce po tym, gdy został on papieżem. Czy pan wie, jak Papież zaczął tę rozmowę? Powiedział: „Dzisiaj rozmawiamy jako dwaj Polacy”. Obaj byli więc Polakami, którzy pod koniec lat 70. znaleźli się za granicą. Jeden był papieżem, a drugi doradcą prezydenta Stanów Zjednoczonych ds. bezpieczeństwa narodowego w szczytowym okresie zimnej wojny. Współpracowali dla dobra świata, ale ich korzenie tkwiły w Polsce. Polska pozostała ich gwiazdą polarną, która kształtowała ich światopogląd. Dla papieża była to rada, której udzielał swojej owczarni, całemu światu katolików, mojemu ojcu oraz ludziom zaangażowanym w politykę zagraniczną w Ameryce.

Opowiem jeszcze bardziej osobistą historię. Kiedy Ojciec Święty przyjechał do Stanów Zjednoczonych, cała moja rodzina jadła obiad z papieżem. Mój ojciec spędził cały ranek, ucząc mnie całować pierścień papieża, ale kiedy go spotkałem i chciałem pocałować jego pierścień, on zapytał mnie: „Dlaczego to robisz? Jesteś Amerykaninem. Możemy uścisnąć sobie dłonie”.

Pańska siostra pisała, że jako nastolatka pojechała z ojcem do Palestyny na spotkanie z Arafatem. W książce Lubowskiego znalazłem informację, że z powodu wyjazdu służbowego pańskiego ojca prezydent Carter był na pańskim bierzmowaniu. Czy te młodzieńcze kontakty zadecydowały o pańskiej późniejszej drodze życia?

Cóż, wychowałem się w rodzinie, która naprawdę ceniła i, jak sądzę, rozumiała wyjątkową rolę Ameryki

Razem z bratem i siostrą mogliśmy usiąść u boku taty i być świadkami tego, jak wygląda światowa polityka

w świecie, jeśli chodzi o propagowanie wartości i poprawę życia ludzi. Mogłem obserwować mojego ojca poprzez jego dyplomację, jego pracę z prezydentem Carterem i wieloma innymi politykami, którzy wykorzystywali sojusze między krajami do promowania pokoju i ludzkości. Przykładem, który najbardziej przychodzi na myśl, jest izraelsko-egipski traktat pokojowy między Anwarem Sadatem a Menachem Beginem. Jako młody człowiek miałem wielkie szczęście, że mój ojciec zabrał mnie na ceremonię podpisania traktatu między nimi. Obaj przyznali podczas tej ceremonii: „Gdyby prezydent nie zaryzykował swojej prezydentury, aby przyspieszyć pokój, to nie wydarzyłyby się to”. To najdłuższy traktat pokojowy w historii Bliskiego Wschodu. Razem z bratem i siostrą mogliśmy usiąść u boku taty i być świadkami tego, jak wygląda światowa polityka.

Pański brat Ian też jest dyplomatą. Republikaninem. Był asystentem sekretarza obrony Donalda Rumsfelda oraz blisko współpracował ze słynnym senatorem i kandydatem na prezydenta Johnem McCainem. Czy zaangażowanie po przeciwnych

biegunach polityki nie wpływa ujemnie na rodzinne relacje, jak to często bywa w Polsce?

Kocham mojego brata – tak samo jak kocham moją siostrę – więc relacje w rodzinie są wspaniałe.

Mamy w Ameryce takie powiedzenie, że polityka zatrzymuje się na skraju wody. Oznacza to, że prowadzimy bardzożywione debaty na temat polityki wewnętrznej, ale jeśli chodzi o politykę zagraniczną, to w wielu kwestiach panuje szeroki konsensus. Tak więc, jeśli spojrzeć na politykę różnych administracji, demokratycznej i republikańskiej, wobec Polski, to znajdzie się tam wiele spójności. Popieramy ścisłą współpracę w zakresie bezpieczeństwa, opartą na wspólnych wartościach demokratycznych. Od 24 lutego do Polski przyjechało ponad 100 członków Kongresu i istnieje silny nadpartyjny konsensus w sprawie poparcia dla Ukrainy oraz głębokie uznanie dla roli Polski w tym wsparciu. W tej chwili mój brat jest starszym członkiem Rady Atlantycznej i jeśli spojrzysz pan na to, co mówi o intensywnej współpracy sojuszniczej w odpowiedzi na rosyjską inwazję na Ukrainę, to zobaczysz pan, że w wielu kwestiach się zgadzamy.

Uchodzi pan za jednego z najlepszych amerykańskich znawców historii i praktyki polskiego konstytucjonalizmu od historycznej ustawy 3 Maja po czasy obecne. Był pan doradcą Billa Clintona i Baracka Obamy w sprawach Europy Wschodniej. W kampanii prezydenckiej aktywnie wspierał pan Joe Bidena i uczestniczył w formułowaniu jego programu europejskiej polityki zagranicznej. Mobilizował pan także amerykańską Polonię do głosowania na partię Demokratyczną. Jest pan świetnie przygotowany do prowadzenia ambasady w naszym kraju, a jednak miał pan problem z jej objęciem. Polski rząd nie zgadzał się na objęcie przez pana tej placówki ze względu na... pańskie polskie obywatelstwo. Jak to zostało rozwiązane?

Powołanie na ambasadora to długi proces. Najpierw musisz zostać dokładnie sprawdzony. Przechodziłem już przez to, zanim zostałem ambasadorem w Szwecji, więc było mi trochę łatwiej. Najpierw tutejsza ambasada USA udostępniła moje nazwisko, przed moją nominacją, aby upewnić się, że polski rząd – rząd goszczący – wyrazi zgodę, abym mógł zostać ambasadorem. A Polacy przeprowadzają także lustrację kandydata ze swojej strony – tak jak rząd amerykański ze swojej strony i tak, jak pan zauważył, jedną z kwestii, którą się zajmowali, była kwestia mojego obywatelstwa. Jestem dumny ze swoje-



Prezydent Andrzej Duda (z prawej)
oraz ambasador Mark Brzezinski podczas ćwiczeń
w okolicach Nowogrodu FOT. JERZY DĄBROWSKI/ONS



Z archiwum rodzinnego
Marka Brzezinskiego

REPRODUKCJE: JERZY DĄBROWSKI/ONS



go polskiego pochodzenia, ale nigdy nie twierdziłem, że jestem polskim obywatelem. Urodziłem się i dorastałem w Stanach Zjednoczonych. Kiedy przyjechałem do Polski jako stypendysta Fulbrighta, przyjechałem tu jako Amerykanin.

Ale to, czy uważam się za obywatela polskiego, a czy polskie prawo uważa mnie za obywatela polskiego, to dwie różne kwestie. To nie pierwszy raz, kiedy pojawia się ten problem. Nicholas Rey, który w latach 90. był ambasadorem USA, urodził się w Warszawie. Istnieje więc proces rozwiązywania tego rodzaju problemów. Wcześniej rozmawialiśmy o mojej mamie. Okazuje się, że zgodnie z polskim prawem odziedziczyłem obywatelstwo po mojej mamie, stając się obywatelem Czechosłowacji – która obecnie już nie istnieje! Udowodniono zatem, że jestem obywatelem amerykańskim, ale musieliśmy ustalić i rozwiązać zaistniały problem.

Został pan ambasadorem na dwa dni przed inwazją Rosji na Ukrainę. Na pewno jest to ogromne obciążenie, bo nie miał pan nawet czasu na rozpakowanie swoich walizek...

Przedstawiłem swoje listy uwierzytelniające dwa dni przed inwazją. Właściwie

Pod wieloma względami rosyjska inwazja na Ukrainę przypomina rok 1939. Z tą różnicą, że tym razem Polska jest częścią sojuszu NATO

to przyjechałem do Polski jakiś miesiąc wcześniej, ale to wciąż mało czasu. Więc tak naprawdę musiałem od razu rzucić się w wir pracy.

Jesteśmy pod wrażeniem ogromnej pomocy Stanów Zjednoczonych dla Ukrainy. Wielu starszych ludzi pamiętających drugą wojnę światową patrzy na tę pomoc z niedowierzaniem. Mając jednak w świadomości osamotnienie, którego doznała Polska w kampanii wrześniowej 1939 r., ludzie ci boją się, że w razie agresji Rosji na Polskę możemy znowu zostać sami. W jaki sposób może pan zapewnić tych ludzi, że to już więcej się nie powtórzy?

To bardzo ważna obserwacja – pod wieloma względami rosyjska inwazja na Ukrainę przypomina rok 1939. Z tą

różnicą, że tym razem Polska jest częścią sojuszu NATO. Mieszkalem w Polsce przez dwa lata w latach 90., będąc na stypendium Fulbrighta. Widzę więc różnicę pomiędzy tamtymi czasami a obecnymi, kiedy Polska jest członkiem NATO. W Polsce stacjonują tysiące żołnierzy amerykańskich. Prezydent Biden zadeklarował podczas szczytu w Madrycie, że Dowództwo V Korpusu armii USA w Poznaniu zostaje już na stałe. Polacy mogą się czuć bezpieczniej. Dlatego moim zdaniem Polacy tak chętnie otwierają swoje domy i serca przed uchodźcami z Ukrainy.

Kiedy powtarzam, że Polska jest bezpieczna, nie mówię tylko za siebie. Mówię też w imieniu prezydenta Bidena, który przyjechał do Polski, by zadeklarować, że będziemy bronić każdego centymetra terytorium NATO.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Waluś wolny, ale wciąż na celowniku

Janusz Waluś – mimo że w 2017 r. zrzekł się obywatelstwa RPA – do końca 2024 r. nie może wyjechać z Afryki Południowej. FOT. JOAO SILVA/AP/EAST NEWS

Wbrew przewidywaniom i nadziejom wielu jego polskich zwolenników Janusz Waluś nie pojawi się zbyt szybko nad Wisłą. Słynny zabójca Chrisa Haniego, szefa Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej, najpierw będzie musiał przetrwać w RPA najbliższe dwa lata. Warunki przedterminowego zwolnienia są bowiem jasne: Waluś – mimo że w 2017 r. zrzekł się obywatelstwa RPA – do końca 2024 r. nie może wyjechać z Afryki Południowej. Zważywszy na bardzo radykalną atmosferę, która panuje wśród licznych zwolenników tamtejszych komunistów, najsłynniejszy Polak w Afryce Południowej będzie musiał mieć oczy dookoła głowy.

– W RPA radykałowie, dla których Hani to absolutny bohater, otwarcie wzywają do zemsty na Januszu Walusiu. Rewanżystowski nastrój jest tam bardzo silny – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Michał Zichlarz, dziennikarz, autor książki „Zabić Haniego. Historia Janusza



Piotr Włoczyk

Janusz Waluś po 29 latach opuścił mury więzienia. To jednak nie koniec problemów najsłynniejszego polskiego zamachowca naszych czasów

Walusia”, który jako jeden z niewielu miał z nim kontakt.

Waluś już odczuł to na własnej skórze. Tuż po ogłoszeniu decyzji o warunkowym zwolnieniu Polak został ugodzony nożem przez innego więźnia. Rana była na tyle groźna, że trafił on na tydzień do szpitala.

Siedemdziesięcioletni Waluś przez najbliższe dwa lata nie tylko nie może opuścić terytorium RPA, ale nie wolno mu także udzielać wywiadów. Jeżeli choćby w najmniejszym stopniu złamie warunki zwolnienia warunkowego, to od razu wróci za kratki, na co czekają zresztą miliony Południowoafrykańczyków.

– Wolność dla Janusza Walusia to policzek wymierzony elementarnemu poczuciu sprawiedliwości – powiedział „Do Rzeczy” Jeremy Cronin, były zastępca sekretarza generalnego Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej. – Człowiek, który o mało nie doprowadził do wybuchu wojny domowej w naszym kraju, starał się zapobiec przekazaniu władzy przez białych i nie wyznał prawdy na temat prawdziwych mocodawców tej brutalnej egzekucji, ma chodzić wolno? Nie możemy się na to zgodzić.

Po drugiej stronie południowoafrykańskiej sceny politycznej nastroje są



jednak zupełnie inne. Dla wielu białych mieszkańców Afryki Południowej Waluś to postać jak najbardziej pozytywna. W ich odczuciu Polak wyeliminował szalenie radykalnego i popularnego polityka, którego postulaty stanowiły ogromne zagrożenie dla białych Południowoafrykańczyków.

– Jeżeli chodzi o zabójstwo Chrisa Haniego, to ujmę to w ten sposób: bardzo dobrze, że nie ma go już wśród nas, że nie zatruwa przestrzeni publicznej swoim jadem – powiedział „Do Rzeczy” Werner Weber, szef partii Front Wolności Plus (Vryheidsfront Plus) w prowincji Mpumalanga, która reprezentuje interesy głównie białych Południowoafrykańczyków. – Ten człowiek był niebezpiecznym komunistycznym radykałem. Bardzo prawdopodobne, że to on zastąpiłby Nelsona Mandelę na stanowisku prezydenta. To byłby dramat dla milionów mieszkańców naszego kraju.

Polak najprawdopodobniej będzie pozostawał pod opieką swoich znajomych z RPA, którzy będą się starali zapewnić mu bezpieczeństwo. Na południowoafrykańskiej prowincji biali farmerzy rozwinęli dobrze funkcjonujący system zbrojnej pomocy sąsiedzkiej w przypadku ataków, więc takie środowisko bez

wątpienia byłoby dla Walusia najbezpieczniejszą przystanią na najbliższe dwa lata.

„NIECH ZGNIJE”

Do zwolnienia warunkowego doszło dzięki decyzji Trybunału Konstytucyjnego, który zakończył w ten sposób ciągnący się od 2016 r. spór wokół odsiadki Walusia. Już bowiem sześć lat temu południowoafrykański sąd uznał, że Waluś spełnia warunki przedterminowego zwolnienia. Od decyzji tej odwoływali się jednak kolejni ministrowie sprawiedliwości. Wreszcie pod koniec listopada Trybunał Konstytucyjny uznał, że dalsze przetrzymywanie Walusia za kratami jest „nieracjonalne” i „niekonstytucyjne”. Upór ministerstwa sprawiedliwości w tej sprawie uznawany był za działanie typowo polityczne, obliczone na zaspokojenie oczekiwań wciąż licznej rzeszy wielbicieli Haniego. Przypomnijmy, że już w 2015 r. na wolność wyszedł Eugene de Kock, były dowódca Vlakplaas, szwadronu śmierci, który porwał i zabijał przeciwników apartheidu. A więc człowiek, który miał na sumieniu zdecydowanie więcej zbrodni niż Waluś. De Kock, który w 1996 r. skazany został

na 212 lat pozbawienia wolności, miał jednak to „szczęście”, że nie zabił człowieka symbolu.

„Nie ma wątpliwości, że przestępca Waluś jest polaryzującą osobą dla naszej młodej konstytucyjnej demokracji. Wypuszczenie go na wolność w sposób zrozumiały otworzyło na nowo rany u niektórych członków naszego społeczeństwa, szczególnie wśród bliskich zabitej ikony walki o wolność – Chrisa Haniego” – ogłosiło w komunikacie ministerstwo sprawiedliwości RPA.

O nastrojach wśród południowoafrykańskich radykałów wiele mówi komunikat, który wygłosił premier prowincji Gauteng, gdzie zginął Hani. „To smutny dzień. Wszyscy, którzy wiedzą, kim był Chris Hani, i wiedzą, jaką rolę odegrał, abyśmy znaleźli się w miejscu, w którym dziś jesteśmy, rozumieją, że morderca nie zasługuje na to, by wyjść z więzienia. Przeznaczenie będzie za nim kroczyło. Nie może mu się wydawać, że będzie się cieszył życiem, skoro zabił Chrisa Haniego – powiedział mediom Panyaza Lesufi. – Życzymy mu wszystkiego najgorszego, niech zgnije, gdziekolwiek będzie żył. Musi wiedzieć, że jesteśmy wściekli”.

Do słynnego mordu politycznego doszło 10 kwietnia 1993 r.



■ W tamten wielkanocny weekend Chris Hani postanowił dać wolne swoim ochroniarzom. Lider Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej (SACP) święta miał spędzić spokojnie w swoim domu w Boksburgu, nieopodal Johannesburga. W sobotni poranek Hani postanowił wyskoczyć na chwilę autem na małe zakupy do pobliskiego centrum handlowego. Nie zauważył, że cały czas śledził go czerwony ford laser. Gdy tylko Hani wjechał na podjazd pod swoim domem, kierowca forda wysiadł z auta i szybkim krokiem skierował się w jego stronę.

„Wsadziłem pistolet Z88 za pasek z tyłu moich spodni i podszedłem do niego. Nie chciałem strzelać w plecy, więc zawołałem: »Mr. Hani«. Odwrócił się, a ja wyciągnąłem pistolet i strzeliłem w niego. Kiedy się przewracał, strzeliłem drugi raz. Tym razem w głowę. Kiedy upadł na ziemię, oddałem jeszcze dwa strzały w skroń. Zaraz potem wsiadłem do samochodu i odjechałem stamtąd najszybciej, jak to było możliwe” – tak Janusz Waluś opisał ostatnie chwile Chrisa Haniego, stojąc w sierpniu 1997 r. przed południowoafrykańską Komisją Prawdy i Pojednania.

Niecałe pół godziny po zabójstwie Waluś był już w rękach policji. Czarna większość mieszkańców RPA zawrzała na wieść o zabójstwie lidera SACP. W rankingach popularności plasował się on wówczas tuż za Nelsonem Mandelą. Ten wyszkolony w ZSRS i NRD komunista kierował Umkhonto we Sizwe (Włócznia Narodu), zbrojnym ramieniem Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC), które organizowało ataki terrorystyczne wymierzone w białych.

Miliony afrykanerów – białych mieszkańców RPA – bez wątpienia odetchnęły z ulgą na wieść o zabójstwie Haniego. Widzieli w nim afrykańskiego Lenina, który po upadku apartheidu zamieni życie białych w piekło. Odbierze im własność, pozamyka w obozach lub wygna z kraju.

Dla większości czarnych Południowoafrykańczyków czyn Walusia był jednak przede wszystkim mordem dokonany na czarnym przywódcy przez białego, który chciał powstrzymać upadek apartheidu.

– RPA stanęła na krawędzi wojny domowej – niewiele brakowało, by czarni rzucili się na białych i by cały proces

pokojuowego przekazania władzy runął w gruzach. Kilkadziesiąt osób zginęło wtedy w rozruchach. Nelson Mandela musiał użyć całego swojego autorytetu, by uspokoić sytuację – wyjaśnia Michał Zichlarz.

Apel Mandeli wstrzymał odwet czarnej większości i zapobiegł wykośleniu procesu negocyjnego zmierzającego do przeprowadzania pierwszych wolnych wyborów. Mandela został prezydentem niemal dokładnie rok po zabójstwie Chrisa Haniego.

POWSTRZYMAĆ ZMIANY

Urodzony w Zakopanem Janusz Waluś do RPA wyemigrował tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego. Przyjechał do ojca i brata i przez kilka lat razem z nimi prowadził małą hutę szkła, potem został kierowcą ciężarówki. Wraz ze zbliżającym się wielkimi krokami końcem apartheidu Waluś zaczął coraz bardziej angażować się w politykę. W ten sposób związał się z ugrupowaniami (Partią Konserwatywną i radykalnym Afrykanerskim Ruchem Oporu), które chciały utrzymać stary system, wbrew największej sile politycznej białych – Partii Narodowej – która pod rządami F.W. de Klerka dążyła do kompromisu z czarną większością.

Waluś chciał dokonać zabójstwa, które miało doprowadzić do chaosu w kraju, a tym samym wykoślenia proces negocyjny. Jak zeznał później przed Komisją Prawdy i Pojednania: „Zrobiłem to, ponieważ wierzyłem, że może to powstrzymać ANC i Południowoafrykańską Partię Komunistyczną przed przejściem władzy w tym kraju”.

W tamtym okresie Waluś poznał Clive’a Derby’ego-Lewisa, znanego białego polityka Partii Konserwatywnej, który również postanowił siłą zatrzymać zmiany w RPA. To właśnie Derby-Lewis został uznany za bezpośredniego zleceniodawcę zabójstwa Haniego i to on przekazał Walusiowi pistolet (wyszedł na wolność w 2015 r. z powodu ciężkiej choroby i rok później zmarł).

Miliony afrykanerów, białych mieszkańców RPA, odetchnęły z ulgą na wieść o zabójstwie Haniego. Widzieli w nim afrykańskiego Lenina

Kara za mord na Hanim mogła być tylko jedna: Waluś został skazany na śmierć. Polak miał jednak to szczęście, że na fali zmian w RPA zniesiono karę główną i wyrok śmierci zamieniono mu na dożywocie.

Przez ostatnie trzy dekady przeciwnicy uwolnienia Walusia podkreślali, że ich zdaniem nie powiedział on całej prawdy na temat okoliczności zabójstwa Haniego. Najczęściej pojawiającą się wersją, konkurencyjną wobec opowieści Walusia, jest udział południowoafrykańskich służb specjalnych.

– W raporcie Komisji Prawdy i Pojednania zostało użyte określenie „trzecia siła”. Szukano na siłę jakiejś tajnej organizacji, która stałaby za falą przemocy na początku lat 90., kiedy to zginęło 14 tys. osób. Nie znaleziono jednak na to żadnych dowodów – mówi autor „Zabić Haniego. Historia Janusza Walusia”. – Wielu uważa, że Waluś jest kozłem ofiarnym. Polonusi, z którymi rozmawiałem, uważają nawet, że to nie on pociągał za cyngiel. Waluś wielokrotnie jednak powtarzał, że w tej sprawie nie ma nic do dodania, ale nie wszyscy wierzą w jego wersję. To domniemane zatajenie prawdy o prawdziwych zleceniodawcach było i jest głównym zarzutem pod adresem Janusza Walusia ze strony rządzących.

Kilka elementów tej opowieści sprawa jednak, że zabójstwo Haniego wciąż wygląda bardzo zagadkowo. – Kiedyś pytałem Janusza Walusia, jak to się stało, że tuż przed zamachem spotkał się z nim gen. Tienie Groenewald, szef południowoafrykańskiego wywiadu wojskowego. Janusz Waluś odpowiedział, że generał wizytował akurat wtedy rejon, gdzie rodzina Walusiów miała hutę szkła, i przypadkiem przyjechał w odwiedziny – mówi Michał Zichlarz. – Z kolei Hazel Friedman, jedna ze znanych południowoafrykańskich dziennikarek, powiedziała mi, że krótko przed zabójstwem Haniego otrzymała bardzo ciekawy przeciek od jednego z członków Civil Cooperation Bureau, które zajmowało się zwalczaniem wszelkiej opozycji. Otóż Eugene Riley powiedział jej, że „niedługo dojdzie do zamachu na czołowego przedstawiciela Afrykańskiego Kongresu Narodowego, który zostanie przeprowadzony przez osobę z polskiej społeczności w RPA”. Niedługo potem Eugene Riley popełnił samobójstwo w dziwnych okolicznościach. W tej sprawie było i jest sporo znaków zapytania. © 2024 Wszelkie prawa zastrzeżone



CIERPIAŁ W WIĘZIENIU, BO NIE BYŁO TRUSKAWEK

Amerykanie zgodzili się niedawno na wymianę więźniów z Rosjanami. W zamian za uwolnienie amerykańskiej koszykarki zatrzymanej za posiadanie narkotyków zwolnili z więzienia Viktora Bouta – przemytnika i handlarza bronią. Ten podczas wywiadu w rosyjskiej telewizji poskarżył się na okropne warunki, w których był przetrzymywany w Stanach Zjednoczonych. Powiedział, że przez 12 lat nie dostawał w posiłkach kopru, czosnku i truskawek.

FOT. ALEXANDER SHVARTSEV/REUTERS

KORUPCJA SZEFA ANTYKORUPCYJNEJ SŁUŻBY

Rosyjskie służby federalne aresztowały szefa Wydziału Antykorupcyjnego Federalnej Służby Celnej. Dmitrijowi Muryszowowi zarzucono przyjmowanie łapówek. Wartość przyjętych przez niego rzeczy według śledczych miała wynieść kilkadziesiąt milionów rubli. Zatrzymania dokonano 9 grudnia – w dniu, w którym wypada Międzynarodowy Dzień Przeciwdziałania Korupcji.

W TYM KRAJU JUŻ NIGDY NIE ZAPALĄ

Władze Nowej Zelandii wprowadzają ustawę, która dla przyszłych pokoleń zdelegalizuje papierosy. Nowe prawo wejdzie w przyszłym roku. Zakazuje sprzedaży wyrobów tytoniowych osobom urodzonym 1 stycznia 2009 r. lub później. Oznacza to, że pokolenie obecnych 14-latków już nigdy w tym kraju legalnie nie kupi papierosów.

PRZEBIEGŁA 160 KILOMETRÓW NADAREMNO

Amerykańska biegaczka Camille Herron pobiła rekord, przebiegając ultramaraton o długości 160 km w 12 godzin, 41 minut i 11 sekund. To był nowy rekord świata. Po ośmiu miesiącach okazało się, że zmierzono ponownie trasę tego biegu. Okazała się za krótka o 218 m. Rekord Heron został anulowany.

MUSIAŁ JECHAĆ, AŻ SKOŃCZYŁA SIĘ BENZyna

Kierowca w Chinach jechał SUV-em marki Haval H6 po autostradzie przez miasto Zhuzhou. Gdy przekroczył prędkość 100 km, doszło do awarii samochodu. Kierowca nie mógł zwolnić, przestały działać hamulce. Gdy kierowca nie dawał sobie rady z opanowaniem samochodu, zadzwonił na policję. Ta wysłała mu ekspres. Chińczyk stanął dopiero po 500 km, gdy w samochodzie skończyło się paliwo. ©

Lukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Patrioty dla Polski i Ukrainy

Wiele wskazuje na to, że niebo nad Ukrainą oraz Polską będzie wkrótce dużo lepiej chronione.

Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”, zachodnie media podały wiadomość, że administracja USA finalizuje już plany wysłania na Ukrainę elementów systemu obrony przeciwrakietowej Patriot.

Jeśli ten news się potwierdzi, to będzie to podwójnie dobra wiadomość. Po pierwsze dlatego, że patrioty będą najbardziej zaawansowanym technologicznie systemem uzbrojenia, które Stany Zjednoczone prześlą Ukrainie od czasu rozpoczęcia przez Rosję krwawej inwa-

zji na Ukrainę. To sygnał, że mimo presji ze strony Berlina i Paryża na tak rychłe podpisanie zawieszenia broni i powrót do robienia interesów z Moskwą Waszyngton zamierza nadal wspierać walkę Ukraińców o wolność i ratowanie kraju. Bez próby – przynajmniej na razie – zmuszania Kijowa do zgody na Jałtę 3.0.

Wyrzutnie Patriot mogą pozwolić Ukraińcom na ochronę odbudowanych kluczowych elementów infrastruktury. Brak prądu, wody czy ogrzewania w domach mogłoby nie tylko zmniejszyć chęć Ukraińców do dalszej walki, lecz także wywołać kolejną gigan-

tyczną falę migrantów z Ukrainy, której ciężar w największym stopniu poniosłaby Polska. Wyrzutnie Patriot mogą ograniczyć ten nowy kryzys humanitarny.

Rozmieszczenie wyrzutni Patriot na Ukrainie to poniekąd odpowiedź na apele również polskiego rządu. Jeszcze lepszą wiadomością jest zaś to, że Niemcy i Polska osiągnęły wstępne porozumienie w sprawie rozmieszczenia nad Wisłą niemieckich zestawów Patriot. Polskie niebo wreszcie będzie nieco bezpieczniejsze, a Niemcy zyskają szansę na wywiązanie się z sojuszniczych zobowiązań. ©



Maciej Pieczyński

Elektrownia w Czarnobylu, miejsca zbrodni wojennych w Buczy, Las Samobójców w Japonii, dom strachów, w którym można dobrowolnie poddać się torturom. Dla niektórych to wymarzone podróżnicze destynacje

Kiedy wyobrażamy sobie urlop, do głowy przychodzą słoneczne plaże i beztroski odpoczynek. Ale podróże to nie zawsze coś wesołego. Czasami wręcz przeciwnie – tymi słowami ukraińskie biuro podróży Visit Tour parę miesięcy temu zapowiedziało przygotowanie oferty dla fanów tzw. mrocznej turystyki (dark tourism). Tym terminem określane jest oryginalny, ekstremalny rodzaj podróżowania, polegający na odwiedzaniu miejsc niebezpiecznych bądź związanych ze śmiercią. Jak nietrudno się domyślić, w przypadku Ukrainy chodzi o miejsca naznaczone inwazją rosyjską. Visit Tour oferuje wycieczkę po „miastach wyzwolonych spod rosyjskiej okupacji”. Chodzi o Buczę, Irpień, Hostomel, Borodiankę, wieś Romaniwkę. Oferta kierowana jest teoretycznie do dziennikarzy, oficjalnych delegacji, misji dyplomatycznych czy liderów opinii, ale w praktyce wykupić ją może każdy. Z własnym transportem kosztuje 70 euro za godzinę, z wynajmem transportu – 295 euro za pięć-sześć godzin wycieczki.

Jak można przeczytać na stronie internetowej biura, pomysł, by otworzyć się na mroczną turystykę, narodził się po tym, jak Buczę, Irpień i inne zniszczone w trakcie działań wojennych podkijowskie miasta odwiedzili „światowi liderzy [...], a także ogólnoswiatowe gwiazdy”. Niezależnie zaś od politycznych delegacji do miejscowości tych codziennie przybywają setki dziennikarzy. „Zrozumieliśmy, że ludzie nieobojętni chcą zobaczyć ślady wojny na własne oczy. Żeby opowiedzieć światu prawdę, [opowiedzieć], jaką cenę nasz kraj płaci za niepodległość, [...] powstał pomysł, by opracować wycieczki do tych dzielnych miast” – mówi CEO Visit Ukraine Anton Taranenko. Jego wypowiedź cytuje strona internetowa biura.

Podróż za jedną śmierć



Przed rosyjską agresją popularnością cieszyły się wycieczki do Strefy Wykluczenia wokół Czarnobylskiej Elektrowni Atomowej. FOT. VINCENT MUNDY/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Taranenko niejako usprawiedliwia kontrowersyjny pomysł, wpisując wycieczki do Buczy w tradycję ukraińskiej turystyki: „W pewnym momencie miejscem pielgrzymek turystów były pola bitew drugiej wojny światowej. Następnie Czarnobyl. To, co dzieje się dziś na Ukrainie – to nasza rzeczywistość. Powinniśmy informować światową społeczność o tragicznych wydarzeniach, które niestety miały miejsce w cywilizowanym świecie w XXI w.”. Według informacji Visit Ukraine każdy uczestnik może spodziewać się spacerów wśród gruzów po bombach, zrujnowanych budynków, przy dźwiękach wyjących syren przeciwlotniczych. Przewodnik nie tylko opowiada historię zwiedzanych miejsc, lecz także tłumaczy, jak unikać i gdzie się chować w razie nalotu. „Przespacerujemy się z wami po

budynkach mieszkalnych oraz ulicach miast i miasteczek, gdzie doszło do bestialskich zbrodni żołnierzy rosyjskich” – początkowo w taki sposób biuro oficjalnie reklamowało wycieczkę. Po tym, jak przez ukraiński Internet przełała się fala oburzenia w związku z zerowaniem na tragedii, ten, szczególnie kontrowersyjny, fragment opisu usunięto. Ponadto całość środków, pochodzących z wycieczek do wyzwolonych spod okupacji miast, ma zostać przekazana na ich odbudowę. Biuro przeznacza także 10 proc. wszystkich swoich dochodów na pomoc dla ukraińskich uchodźców.

„SZLAKI PAMIĘCI”

Nie tylko prywatne biura podróży, lecz także ukraińskie władze nie widzą niczego nieetycznego w zarabianiu

na mrocznej turystyce. Z inicjatywy Wołodymyra Zełenskiego mają powstać tzw. szlaki pamięci. Czyli trasy turystyczne, przypominające o tragedii wojny z Rosją. Bucza, Irpień oraz inne miasta, zniszczone przez agresora, mają stać się celami wycieczek. Przygotowywany jest przewodnik, zbierane są historie. Uczynienie z miejsc związanych z wojną atrakcji do zwiedzania z jednej strony pomoże zachować pamięć o rosyjskich zbrodniach, z drugiej strony pomoże odbudować ukraińską turystykę. Realizacja projektu planowana jest na okres powojenny.

„ZONA” I POLIGON ATOMOWY

Jeszcze przed rosyjską agresją Ukraina była atrakcyjną destynacją dla mrocznych turystów. Sporą popularnością cieszyły się wycieczki do Strefy Wykluczenia wokół Czarnobylskiej Elektrowni Atomowej. Organizowane zarówno przez zagraniczne, w tym polskie (m.in. Aliena Tours), jak i ukraińskie (Czornobyl Tour) biura podróży. „Zonę” zamknięto dla turystów 19 lutego 2022 r., w związku z zagrożeniem inwazją. Pięć dni później w Czarnobylu byli już Rosjanie. Piszącemu te słowa udało się jeszcze zobaczyć to miejsce. Uczestnicy wycieczki otrzymują liczniki Geigera, dzięki czemu mogą sami sprawdzić poziom napromieniowania, w większości przypadków niezagrażający zdrowiu i życiu. Bardzo wysoki jest natomiast w tzw. czerwonym lesie. Nazwa pochodzi od koloru napromieniowanych drzew. To jedno z najbardziej skażonych miejsc na świecie – podobno właśnie tutaj okopali się rosyjscy żołnierze. „Zona” robi wrażenie jako miejsce odludne, opuszczone, w którym człowiek zastąpiła przyroda. Niedługo 50-letnie miasto Prypeć, w którym mieszkali pracownicy elektrowni, to dziś gęsty las, w którym z odległości kilku metrów trudno dostrzec ukryte wśród drzew, wielopiętrowe budynki. A w schładzających reaktor elektrowni basenach pływają gigantyczne sumy z pobliskiej rzeki Prypeć. Według badaczy ich rozmiary nie są wynikiem radiacji, tylko efektem nieobecności człowieka.

Jedną z największych obok Czarnobyla mrocznych atrakcji turystycznych na obszarze postsowieckim jest poligon atomowy w Semipałatyńsku. Bezkręśny step w północno-wschodnim Kazachstanie. Przez pół wieku zimnej wojny

Sowieci przeprowadzili tutaj 456 testów broni jądrowej, badając skutki wybuchów i radioaktywnego promieniowania. Nieczynny od 1991 r. poligon ściąga żądnych wrażeń turystów. Podobnie jak w czarnobylskiej strefie, poziom radiacji z reguły nie jest tutaj niebezpiecznie wysoki. Jednym z wyjątków jest szerokie na pół kilometra i głębokie na 100 metrów jezioro Szagan. Zbiornik powstał w wyniku podziemnego wybuchu bomby jądrowej o sile dziesięciokrotnie większej niż w Hiroszimie. Skażenie stukrotnie przekracza normy dla wody pitnej. Aby pokazać, że akwen jest bezpieczny, sam minister średniego przemysłu maszynowego ZSRS przepłynął je w pław. Jego wyczyn przed kamerami powtórzył kilkadziesiąt lat później dziennikarz David Farrier w jednym z odcinków wyprodukowanego przez Netflixa serialu dokumentalnego „Mroczny turysta”. Radioaktywne jezioro cieszy się popularnością nie tylko u poszukiwaczy przygód, lecz także wśród miejscowych wędkarzy.

Wspomniany dokument w kolejnych odcinkach przedstawia także inne destynacje mrocznej turystyki. Farrier zwiedza dawną rezydencję Pabla Escobara w towarzystwie jego byłego współpracownika

Chodzi o przeżycie doświadczenia, które sprawi, że człowiek poczuje się tak, jakby był uwięziony we własnym horrorze

Popeye’a – płatnego zabójcy, który po wyjściu z więzienia ze swojej zbrodniczej przeszłości uczynił pomysł na biznes, stając się znanym youtuberem. Specjalnie dla Farriera Popeye inscenizuje krwawe porachunki gangsterskie, ze śmiechem opowiada o ćwiartowaniu ciał, żartuje, że może zabić żonę dziennikarza. W tym samym roku, w którym wyemitowano serial, był współpracownik słynnego narkotykowego bossa znów trafił za kratki. Farrier zgłębia też tajemnice Santa Muerte – meksykańskiego kultu śmierci, łączącego elementy chrześcijaństwa i pogaństwa. W Japonii przemierza miasta, opuszczone po katastrofie elektrowni w Fukushima, a także zapuszcza się do Lasu Samobójców – tajemniczego miejsca, w którym co roku ok. 100 osób odbiera

sobie życie. Z kolei w Stanach Zjednoczonych odwiedza McKamey Manor – dom strachów, prawdopodobnie najbardziej przerażający na świecie, bo prawdziwy. „Klienci” muszą podpisać wielostronicową umowę, zgadzając się na poddanie torturom. W bogatym repertuarze „atrakcji” mieszczą się: bicie, podtapianie, duszenie, zakopywanie żywcem, wyrywanie zębów bez znieczulenia, kłucie igłami, rażenie paralizatorem, zamykanie w pomieszczeniu z węzami, pajakami. „W wywiadzie przed wycieczką zadajemy kilka bardzo konkretnych pytań na temat lęków oraz fobii. Jeśli ktoś powie, że boi się pajaków, to zrobimy wszystko, by nasza najgrubsza tarantula spacerowała się po jego twarzy. Chodzi o to, by stworzyć bardzo spersonalizowane doświadczenie, które sprawi, że osoba poczuje się tak, jakby naprawdę była uwięziona we własnym horrorze” – przyznał w jednym z wywiadów Russ McKamey, twórca domu strachów. Początkowo uczestnikom „zabawy” nie przysługiwało nawet żadne tzw. bezpieczne słowo – hasło, którym można zakończyć tortury. Nawet jednak, gdy takie rozwiązanie wprowadzono, podobno nie zawsze torturujący reagują. Zdarza się, że turnus w posiadłości McKameya kończy się w szpitalu. Natomiast na tych, którzy dotrą do końca „wycieczki” i znajdą wyjście z tego osobliwego escape roomu, czeka nagroda w wysokości 20 tys. dol. W ramach opłaty za wizytę w domu strachów McKamey przyjmuje jedynie karmę dla psów.

Mroczną turystykę przybliżają też polscy podróżnicy – Borys i Ola, twórcy kanału na YouTube „Planeta Abstrakcja”. W jednym z odcinków swojego cyklu pokazują makabryczny zwyczaj ludowy mieszkańców Madagaskaru. Co siedem lat z grobowców wyjmują się zmarłych po to, by z nimi zatańczyć przy akompaniamencie radosnej muzyki, potem przebrać ich w nowe szaty i z powrotem pochować. Mroczna turystyka cieszy się coraz większą popularnością, ale sama w sobie fascynacja śmiercią wydaje się zjawiskiem ponadczasowym. Walki gladiatorów w starożytnym Rzymie czy publiczne egzekucje w wiekach późniejszych zazwyczaj przyciągały liczną widownię. Podobnie jak wówczas, również dziś nie ma raczej sensu doszukiwać się etycznych pobudek. Mroczna turystyka to raczej poszukiwanie mocnych wrażeń niż próba zrozumienia świata i jego problemów. I nie ma w tym nic złego.



Kogo bardziej bolą sankcje



Jakub Wozinski

Stwierdzenie, że nałożone na Rosję sankcje ciągną Europę na dno, to gruba przesada, ale z pewnością łatwiej z ich konsekwencjami radzi sobie położona daleko za oceanem gospodarka amerykańska

Największym krytykiem sankcji w Europie – nie licząc oczywiście polityków rosyjskich – pozostaje od wielu miesięcy premier Węgier Viktor Orbán. Kilka miesięcy temu powiedział, że nakładając je, Unia Europejska strzeliła sobie nie tyle w stopę, ile w płuca, i zaczyna się powoli dusić. Po tego rodzaju retorykę sięgają na całym kontynencie również znani ze swojej prorosyjskości politycy, tacy jak Marine Le Pen, Matteo Salvini czy też liderzy niemieckiej Alternative für Deutschland. Według nich zastosowane środki ekonomiczne przyniosły jedynie ten efekt, że Europa dusi się pod ciężarem sankcji, Rosja zaś wcale ich nie odczuwa.

Mimo że początkowo nagły wzrost cen ropy i gazu, przy konieczności kontynuowania zakupów przez kraje europejskie, stworzył złudne wrażenie wielkich korzyści finansowych odno-

szonych przez Rosję, obecnie kraj ten zaczyna bezspornie odczuwać coraz więcej niedogodności. Odciecie od zachodniego kapitału, technologii i dostaw oraz utrata intratnych rynków eksportowych tworzą coraz większą presję nie tylko na rosyjską gospodarkę, lecz także na zdolności bojowe rosyjskiej armii w niektórych obszarach. Najlepszym symbolicznym podsumowaniem stanu, w którym znalazła się rosyjska gospodarka, niech pozostanie fakt, że władze wstrzymały regularne raportowanie wybranych wskaźników gospodarczych (a te, podawane oficjalnie, budzą bardzo wiele wątpliwości).

RÓŻNICA W KOSZTACH

Jako że Unia Europejska ogłosiła niedawno dziewiąty już pakiet sankcji wobec Rosji, krytyczny wobec nich Viktor Orbán postanowił nieco zmodyfikować swój przekaz. Podchwyciwszy wypo-

wiedź Emmanuela Macrona na temat różnicy w kosztach, które płacą w wyniku wojny Europa i Ameryka, węgierski premier wezwał do natychmiastowego rozwiązania kryzysu energetycznego na Starym Kontynencie, gdyż w przeciwnym razie przemysłowi grozi upadek.

Ocena Macrona-Orbána zasługuje na szczególną uwagę, ponieważ czym innym jest nakładanie sankcji na Rosję w przypadku, gdy jest ona czwartym największym partnerem handlowym (Unia Europejska), a czym innym, gdy dopiero 30. (USA). Granicząc bezpośrednio z Rosją, Europa utrzymywała z nią siłą rzeczy zdecydowanie więcej relacji gospodarczych, których zerwanie pociąga za sobą określone koszty. W przypadku Stanów Zjednoczonych jest już jednak zupełnie inaczej, gdyż najważniejszym towarem importowym z Rosji od dawna była ropa naftowa (aż 43 proc. wartości całego handlu). Sama ropa z Rosji odpowiada-



ła jednak zaledwie za 3,5 proc. całego importu tego surowca do USA, dlatego zerwanie gospodarczych więzów z państwem rządzone przez Putina okazuje się dla Amerykanów w większości bezbolesne. Na liście głównych towarów importowanych z Rosji są m.in. łatwo dostępne gdzie indziej żelazo czy krewetki, a większe kłopoty może sprawiać jedynie brak dostępu do platyny, palladu czy niklu.

Z oczywistych względów dużo bardziej bolesne okazało się ograniczenie handlu z Rosją w Europie. Dotyczy to w szczególności gazu ziemnego, gdyż jego ceny na Starym Kontynencie pomimo ostatnich spadków pozostają wciąż nawet sześciokrotnie wyższe niż za oceanem. Tak spora dysproporcja nie jest jednak tylko skutkiem nałożonych sankcji – Unia Europejska celowo zakazała przecież wydobycia gazu łupkowego na swoim terytorium ze względów ekologicznych, choć dzisiaj sprowadza go na potęgę z USA.

Wiele cierpień przysparza Europie również brak dostępu do rosyjskiej ropy. Przed wybuchem wojny kraje Unii sprowadzały ze Wschodu aż 30 proc. tego surowca, co przełożyło się na drożyznę na stacjach. Na początku grudnia Amerykanie płacili za litr benzyny ponad połowę mniej niż mieszkańcy krajów Europy Zachodniej. Zaniepokojony wpływem sankcji na europejską gospodarkę Viktor Orbán na drogą ropy nie powinien jednak narzekać, ponieważ jego kraj został przez Unię Europejską zwolniony z embarga.

RAPORT KOMISJI

Jak informowała niedawno agencja Bloomberg, kraje członkowskie UE miały przed nałożeniem dziewiątej już serii sankcji przeciwko Rosji poprosić Komisję Europejską o przygotowanie specjalnego raportu na temat ekonomicznych skutków zastosowanych do tej pory środków. Według dokumentu, który nie został oficjalnie opublikowany, wpływ sankcji okazuje się stosunkowo niewielki i ograniczony do niektórych branż. Oprócz ropy i gazu sankcje są najbardziej odczuwalne m.in. w zakresie dostępu do cennych metali oraz drewna (brakuje szczególnie drewna dębowego i sklejk).

Kraje Unii Europejskiej uczyniły od końca lutego bardzo wiele, aby w zakresie importu wielu istotnych towarów Rosję zastąpiły inne kraje. Dzięki temu

znacząco wzrosły obroty handlowe m.in. z Turcją, Brazylią, Indiami, Katarą czy też z Koreą Południową. Raport przygotowany przez Komisję Europejską wskazuje przy tym, że kraje wspólnoty nie zamknęły sobie możliwości importu rosyjskiego aluminium, niklu, palladu czy tytanu. W przypadku części z nich import od początku wojny wręcz wzrósł. Nie wolno także zapominać o tym, że swoje własne sankcje nałożyła sama Rosja, która, wstrzymując eksport gazów szlachetnych (neonu, ksenonu, kryptonu), znacząco ograniczyła m.in. możliwości produkcji chipów. Ograniczając wywóz zboża z Ukrainy czy też eksport nawozów, przyczyniła się także do wzrostu światowych cen żywności.

Jak starannie wyliczyli eksperci Komisji Europejskiej, od początku rosyjskiej agresji unijne władze zezwoliły na łącznie ponad 150 nadzwyczajnych rozwiązań zastosowanych przez kraje członkowskie, których celem było ograniczenie wpływu sankcji na kondycję gospodarki. Związane były one głównie z poluzowaniem zasad ograniczających zakres pomocy publicznej dla rodzimych przedsiębiorstw. Łącznie przeznaczono na ten cel od lutego do listopada 525,5 mld euro. Jak więc widać wyraźnie, radzenie sobie z sankcjami nie odbywa się bez znacznych poświęceń w obszarze fiskalnym.

PANDEMICZNO-KLIMATYCZNE TŁO

W całej dyskusji na temat prawdziwych skutków nałożonych na Rosję sankcji brakuje, jak zwykle, komponentu pandemicznego i klimatycznego. Zarówno Viktor Orbán, jak i jego skrajnie lewicowi adwersarze starannie unikają dyskusji na temat tego, jak wielką katastrofą dla europejskiej gospodarki była stosowana przez nich radykalna polityka sanitarna oraz że pozostaje wciąż równie radykalna polityka dążenia do zeroemisyjności.

Od samego początku rosyjskiej agresji przeciw Ukrainie rządy w całej Europie starają się konsekwentnie przysłonić swoje liczne błędy osobą Władimira Putina. Humbug „putinlacji” był obficie eksploatowany nie tylko w Polsce, lecz także niemal na całym świecie. Ograniczenie dostępu do rosyjskich surowców rzeczywiście przyczyniło się do zaognienia problemu inflacji, lecz jego prawdziwe źródło leży gdzie indziej. Gdyby nie masowy dodruk pieniądza, dokonany w okresie wprowadzania kompletnie

nieuzasadnionych lockdownów, oraz nieustanne dokręcanie generującej ogromne koszty „zielonej śruby”, to większość z zastosowanych przeciwko Rosji środków nie miałaby aż takiej siły rażenia.

Jak można się dowiedzieć z raportu Komisji Europejskiej, sankcje przeciwko Rosji zostały celowo zaprojektowane tak, aby nie naruszały samych fundamentów gospodarek państw członkowskich. W następstwie klimatyczno-pandemicznego fiaska można jednak szczerze wątpić w to, czy fundamenty trzymają się mocno. Średnia stopa inflacji w strefie euro wyniosła w listopadzie 11,5 proc., podczas gdy w Stanach Zjednoczonych 7,7 proc. Całkowity fiskalny koszt złagodzenia skutków wysokich cen energii dla gospodarstw domowych w całej Unii Europejskiej sięgnie w tym roku aż 0,9 proc. całego PKB. W ostatnim kwartale 2022 r. strefa euro i większość państw członkowskich UE wkroczą już na dobre w fazę recesji.

DEINDUSTRIALIZACJA

Zbieżność czasowa kilku najważniejszych przyczyn obecnych zawirowań gospodarczych zapewniła politykom możliwość bardzo dogodnego żonglowania nimi i przedstawiania jako jedynych determinantów narastającego kryzysu. Zrzucając odpowiedzialność na Putina lub sankcje przeciwko Rosji, decydenci starannie pomijają jednak sedno problemu, który daje o sobie znać poprzez przyspieszającą deindustrializację Starego Kontynentu. Najwyższe na świecie ceny energii i najbardziej zapatrzeni w zieloną utopię politycy doprowadzili już do tego, że rosnąca liczba biznesów przenosi się na inne kontynenty, w tym nawet do Ameryki Północnej. Stany Zjednoczone, w przeciwieństwie do szybko tracącej na znaczeniu Europy, posiadają znaczne ilości eksploatowanych złóż gazu oraz bardziej przyjazny klimat inwestycyjny.

Rację ma Viktor Orbán, gdy twierdzi, że nałożone przeciwko Rosji sankcje przyczyniają się do upadku europejskiego przemysłu. Przyspieszyły one jednak działania dużo bardziej istotnych procesów wyniszczających Europę już od dłuższego czasu. Przez pasywną postawę rządu Polska również coraz bardziej odczuwa skutki polityki, która w przypadku braku pilnej reakcji sprowadzi cały kontynent na bardzo stromą gospodarczą równię pochyłą.



Łukasz Warzecha

Fanatyczni klimatyści na razie są zabawni, ale zaczną być groźni

25 listopada w hamburskiej Elbphilharmonie, pięknie położonej nad samą Łabą w budynku gruntownie odremontowanego starego magazynu, miał się odbyć koncert Landesjugendorchester, czyli orkiestry młodych muzyków kraju związkowego Hamburg. Orkiestra pod dyrykcją Volkera Kraffta miała wykonać trzy utwory: „Im Herbst”, czyli „Jesienią”, oraz „Koncert na fortepian i orkiestrę a-moll op. 16 Edvarda Griega, a także Symfonię nr 7 h-moll »Unvollendete« (»Niedokończoną«)» Franza Schuberta.

Koncert został jednak niespodziewanie zakłócony, gdy na scenie pojawiło się dwoje dzielnych bojowników o planetę: niewiasta o kształtach, by tak rzec, mocno pełnych oraz młodzieniec będący fizycznie jej przeciwieństwem, z fryzurą jak Harry Potter. Oboje odziani w obowiązkowe pomarańczowe kamizelki. Para zastosowała metodę typową dla klimatystycznych ninja: klej. Ona swą lewą, on swą prawą dłoń przykleili się do barieryki podestu dyrygenta, po czym niewiasta rozpoczęła wygłaszanie klimatystycznej tyrady w kierunku widowni. Niestety, widownia okazała się porażająco nieczuła na przekaz o nadchodzącej katastrofie i zareagowała buczeniem.

Nieszczęście w tym, że u bojowników klimatystycznych zawiodło planowanie. Wkrótce bowiem na scenę wkroczył pracownik obsługi technicznej filharmonii, wyciągnął barierekę z mocowania i wyniósł ją za kulisy, ciągnąc za sobą wciąż przyklejoną parę przy owacyjnej reakcji publiczności. Para ta następnie została uwieczniona na zdjęciu, umieszczona już wraz z barierką w jakimś składziku, ze wzrokiem dość smętnie wbitym w przestrzeń. Można się domyślić, że na zapleczu filharmonii klimatystyczne przesłanie nie docierało do wielu. Być może nawet do nikogo. Zdjęcie zrobiło wielką karierę w mediach społecznościowych.

PRZYKLEJONY NA ZAWSZE

Powiedzą państwo: Nagroda Darwina. Ale nie – gdyby wyłaniać jej laureatów w gronie bojowników klimatystycznych,

Klimatystyczny gang Olsena



Klimatystyczni aktywiści przyklejają się do dróg. Czasem tak, że trzeba wycinać asfalt

FOT. KLAUS-DIETMAR GABBERT/DPA/AFP/EAST NEWS

trzeba by ją przyznać pewnemu młodemu człowiekowi z Moguncji, z formacji Letzte Generation, czyli Ostatnie Pokolenie. Człowiek ów, wraz z grupą towarzyszy walki, przykleił się zaledwie kilka dni temu do ulicy w tym pięknym nadreńskim mieście. Klimatyści są przyzwyczajeni do pewnej rutyny: oni się przyklejają, pokrzyczą sobie to czy tamto, potem zjawia się policja i inne służby, które troskliwie się nimi zajmują: odklejają, opatrują i tak dalej. Niestety, ten bojownik o planetę miał wyjątkowego pecha, przykleił się bowiem nadzwyczaj skutecznie. Tak skutecznie, że zwykła procedura nic nie dała. Trzeba było wezwać ekipę robotników drogowych, którzy ostatecznie byli zmuszeni użyć niedużego młota pneumatycznego oraz wycinarki do nawierzchni. Za pomocą tego ostatniego urządzenia wycięli w końcu niewielki fragment asfaltu, który bojownik mógł zabrać wraz ze swoją dłoń. Lecz happy endu nie było – jak informują niemieckie media, lekarze orzekli, że najprawdopodobniej dłoń trzeba będzie amputować. Wraz z asfaltem. Ludzie są okrutni, ale trzeba odnotować, że gdy relacja z tego wydarzenia została

umieszczona na Twitterze, większość komentatorów nie tylko nie wykazywała zainteresowania losem planety, lecz także nawet nie zdobyła się na podstawowe współczucie dla człowieka z asfaltową dłoń. A wkrótce może w ogóle bez dłoni. Która – nie mam wątpliwości – w gronie bojowników o klimat zyska status relikwii.

Ta ostatnia historia jest brutalna, ale właściwie mogło być gorzej, bo klimatysty przyklejali już do różnych powierzchni także swoje głowy. Tak jak jeden z członków Just Stop Oil w Mauritiushaus w Amsterdamie, który właśnie głową przykleił się do „Dziewczyny z perłą” Johanna Vermeera. Nie ma jednak informacji, że następnie musiał chodzić z szybą ochronną z obrazu przytwierdzoną permanentnie do czaszki.

Klimatyści z Just Stop Oil, żądający, aby Wielka Brytania w ciągu ośmiu lat przeszła na całkowitą bezemisynowość, także nie budzą u publiczności ciepłych uczuć. Ich praktyka blokowania dróg zaczyna wzniesać prawdziwą wściekłość, bo jej ofiarami padają przypadkowi ludzie. Niedawno w stacji Sky News Mark Austin przepro-



wadzał wywiad z przedstawicielką JSO, panną Indigo Rumbelow, którą próbował pytać o strategię organizacji. Choć może słowo „wywiad” nie jest tu do końca trafne. Można było odnieść wrażenie, że redaktor Austin próbuje prowadzić rozmowę z automatem, zaprogramowanym na określony zestaw odpowiedzi, niekoniecznie korespondujących z pytaniami. Mark Austin powtarzał wielokrotnie pytanie o to, czy strategia JSO nie powoduje, że przekaz ginie, bo ludzi zajmuje i irytuje głównie forma protestu. Przywoływał przy tym przykłady, w tym głośną sprawę pana Tony’ego Bambury, który z powodu zablokowania jednej z autostrad przez JSO nie był w stanie dojechać na pogrzeb własnego ojca. Bambury w rozmowie z BBC stwierdził, że ten pogrzeb nie zdarzy się drugi raz i że on tego ludziom z JSO nigdy nie wybaczy.

Wszystko to odbijało się od panny Indigo jak od ściany. Przedstawicielka JSO coraz bardziej przypominała mistyczkę w religijnym uniesieniu. „Sytuacja jest poważna” – mówiła coraz bardziej podniesionym głosem. „Gdybyście wy, dziennikarze, dobrze wykonywali swoją pracę, przed parlamentem protestowałyby już dziesiątki tysięcy ludzi” – wywodziła. A w końcu zwróciła się do dziennikarza Sky News z dramatycznym pytaniem: „Czy kocha pan swoje dzieci bardziej niż paliwa kopalne?”.

Bojówkarze JSO blokujący brytyjskie autostrady nie przyklejają się do kratownic nad drogą, po prostu na nie wchodzą. Policja wtedy blokuje całą jezdnię i tak tworzą się gigantyczne korki. Korki, jak wiadomo, znacząco zwiększają emisję spalin, ale nie bądźmy drobiazgowi i nie oczekujemy od ludzi przerażonych nadchodzącą katastrofą logicznego myślenia.

Niedawno londyńska policja musiała się tłumaczyć ze swojej biernej asysty przy jednej z blokad JSO, której członkowie skutecznie zablokowali ruch w centrum miasta. Aktywiści nie siedzieli jednak na jezdni i do niczego się nie przykleili, ale po prostu bardzo wolno szli całą szerokością jezdni. Zwierzchnik Metropolitan Police rozłożył wtedy ręce, tłumacząc, że formalnie rzecz biorąc, nie była to blokada, bo przecież ruch się jednak odbywał. Bardzo wolno, ale zawsze, a to oznacza, że wszystko, co funkcjonariusze mogli zrobić, to pilnowanie porządku. Nie mogli jednak podobno aktywistów z jezdni usunąć. To tłumaczenie nie przemówiło do mieszkańców miasta, którzy już w trakcie blokady głośno wyrażali zdziwienie postawą policjantów, aktywi-

stów zaś obficie częstowali słowem na „f”, sugerując, aby odblokowali przejazd.

Jakiś czas temu objawiła się kolejna formacja walcząca o uratowanie planety: Scientist Rebellion, nawiązująca do radykałów z Extinction Rebellion (jak widać, świat klimatystycznych bojówek zaczyna przypominać najlepsze czasy na Bliskim Wschodzie z 50 odłamami Hamasu). Scientist Rebellion na swoim twitterowym koncie opowiada się stanowczo przeciwko kapitalistycznemu wyzyskowi, tzw. greenwashingowi (czyli rzekomemu udawaniu przez firmy i rządy zainteresowania problemem klimatu) oraz pogwałcaniu praw LGBT. No i oczywiście przeciwko katastrofie klimatycznej.

W październiku członkowie Scientist Rebellion przedsięwzięli akcję w Autostadt, Muzeum Volkswagena w Wolfsburgu. A konkretnie w pawilonie Porsche. Członkowie bojówki, odziani w dostojne białe kitle (jak na naukowców przystało), weszli do budynku, po czym tradycyjnie przykleili się do podłogi w pobliżu jednego z samochodów. Okazało się jednak, że sprawa nie była do końca przemyślana, podobnie jak w przypadku pary z filharmonii w Hamburgu. Pracownicy pawilonu oznajmili bowiem, że bardzo serio traktują prawo do protestu i zamierzają na protest jak najbardziej pozwolić. Wyłączyli więc ogrzewanie oraz oświetlenie i poszli do domu, nie spiesząc się z powiadomieniem policji. Jeden z uczestników protestu skarżył się na bieżąco brytyjskiej gazecie „Express”: „Nie zareagowano na naszą prośbę, aby dostarczyć nam miski, żebyśmy mogli z godnością oddawać mocz i kał tam, gdzie się przykleiliśmy. Nie możemy zamówić nic do jedzenia, jesteśmy skazani na to, co dostarcza nam Volkswagen. Światła wyłączono. Odbywają się nagłe, niezapowiedziane kontrole straźników z oślepiającymi latarkami”. Proszę sobie wyobrazić tę traumę: nie ma wegańskiego steku, może nawet jest tylko pełnomięsny wurst, sikać trzeba pod siebie, a do tego strażnicy się nie zapowiadają!

POCZĄTEK TERRORYZMU

Jak widać, poświęcenie klimatystycznych bojowników jest bezgraniczne: dla planety są gotowi nie tylko robić pod siebie, lecz także nawet stracić od czasu do czasu rękę. Brzmi to wszystko jak wyczyny gangu Olsena – i bardzo dobrze. Istnieje bowiem szansa, że tak właśnie zacznie na to patrzeć większość ludzi, a to z kolei może – choć nie musi – prowadzić

do zakwestionowania głównonurtowego klimatycznego fanatyzmu. Już nie tego uprawianego przez Just Stop Oil czy Scientist Rebellion, ale przez panów w garniturach i krawatach, którzy narzucają nam zmianę sposobu życia i grożą rocznymi limitami CO₂ – co pojawiło się już w głównym nurcie debaty we Francji – albo firmują, jak Frans Timmermans, „Fit for 55”, czyli program rujnujący unijne gospodarki, w tym polską.

Na koniec tej opowieści, przypominającej scenariusz skeczu Monty Pythona, trzeba jednak zawrzeć kilka uwag serio. Po pierwsze – możliwy jest też scenariusz negatywny: „racjonalny” klimatyzm będzie prezentowany jako alternatywa wobec świrów. Czyli: rozumiemy, że odrzuca was historyczka na kratownicy nad autostradą M25 w Anglii, ale Timmermans ze swoimi mądrymi planami to przecież całkiem co innego.

Po drugie – mamy do czynienia z fanatykami. Najpewniej w dużej mierze nie zrównoważonymi, co wytyka alarmistom klimatycznym autor książki „Apokalipsy nie będzie. Dlaczego klimatyczny alarmizm szkodzi nam wszystkim”, amerykański publicysta Michael Shellenberger. Shellenberger, były kandydat na gubernatora Kalifornii, twierdzi nie bez racji, że najbardziej zaburzone osoby z pokolenia dzisiejszych dwudziestoparolatków są cynicznie wykorzystywane do takich akcji jak opisane wyżej. Pytanie brzmi: Kto i po co je wykorzystuje?

Po trzecie – sytuacja zaczyna coraz bardziej przypominać początek fanatycznego ruchu terrorystycznego. Wśród aktywistów narasta frustracja, bo okazuje się, że ludzie jakoś nie garną się, aby podzielać ich przerażenie i z uwagą wysłuchiwać ich przekazu. Są wystarczająco zmęczeni dotychczasową presją związaną z realizacją zielonej polityki. To może bojówkarzy z czasem popchnąć do użycia przemocy. Już teraz ostrzegają przed tym niektórzy politycy. Brytyjski konserwatywny deputowany Gareth Johnson apelował już w Izbie Gmin do premiera Rishiego Sunaka, aby uznał Just Stop Oil za tzw. proscribed organisation – w brytyjskim prawie to termin oznaczający w praktyce ugrupowanie terrorystyczne. Za udział w działaniach tak określonej organizacji grożą surowsze kary. Premier Sunak na razie takiej decyzji nie podjął. Może się to jednak zmienić, gdy klimatystyczni klauni przestaną być śmieszni, a staną się naprawdę groźni.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Wszechświatowy eksperyment!

Ekonomiści socjaliści i socjologowie socjaliści ekscytują się organizowanymi tu i tam na świecie eksperymentami z bezwarunkowym dochodem podstawowym. Czyli taką powszechną darmością dla wszystkich i reakcjami obdarowanych na nią, które to reakcje są potem przez naukowców wnikliwie badane. Nie dziwi więc, że polscy naukowcy socjaliści nie kryli ekscytacji po tym, jak gruchnęła wieść o takim eksperymencie w Polsce. Gdzieś tam – na północy, przy granicy z obwodem kaliningradzkim – kilka tysięcy osób przez dwa lata ma podobno dostawać co miesiąc po 1,3 tys. zł bezwarunkowego dochodu podstawowego, a więc takiego, na który nie zapracowali.

Warto przy tym zauważyć, że nasi naukowcy socjaliści zdradzali swą ekscytację tym polskim małym, lokalnym eksperymentem, zupełnie nie dostrzegając, że od 30 lat przeprowadzamy taki eksperyment na skalę nieporównanie większą – wprost gigantyczną.

Otóż polscy podatnicy od 30 lat – nieprzerwanie, co miesiąc – fundują bezwarunkowy dochód podstawowy, obecnie w wysokości zbliżonej właśnie do 1,3 tys. zł, niemal milionowi rodaków. A konkretnie – niemal milionowi rolników, w których przypadku ów bezwarunkowy dochód podstawowy dla niepoznaki nosi nazwę emerytury (lub renty) rolniczej. Emerytury (lub renty), na którą rolnicy składają się w zaledwie jednej dziesiątej, a całą pozostałą jej część stanowi właśnie ów dochód

gwarantowany, fundowany im przez pozostałych Polaków – podatników z miast, którzy nie dość, że muszą ciężko się narobić, żeby zarobić na swoje emerytury, to jeszcze muszą się dodatkowo narobić, żeby zarobić na emerytury (i renty) wszystkich rolników w Polsce.

A przecież podatnicy z miast fundują rolnikom, którzy nie płacą podatku dochodowego, także zasiłki 500 zł na każde dziecko oraz dopłacają resztę do uiszczanych przez nich wprost symbolicznych składek na ochronę zdrowia. W sumie więc, gdyby wszystkie te dochody rolników zsumować, wyszłoby, że ich bezwarunkowy dochód podstawowy jest naprawdę niebagatelny i z całą pewnością także wymaga naukowego przebadania. Ciekawe np., czy rolnicy za ten otrzymywany regularnie, przez znaczną część życia, dochód gwarantowany są wdzięczni darczyńcom, czyli podatnikom z miast. No i jak bardzo ów otrzymywany przez nich dochód gwarantowany ułatwia im życie? A może utrudnia?

No i jeszcze teraz – bo przecież wybory za pasem i politycy znów muszą czymś „kupić” głosy rolników – rząd zmienił warunki otrzymywania tego bezwarunkowego dochodu podstawowego, którym jest rolnicza emerytura. Do tej pory trzeba było przekroczyć ustawowy wiek i przekazać gospodarstwo następcom. Teraz wystarczy jedynie przekroczenie wieku emerytalnego i już można inkasować bezwarunkowy dochód podstawowy i dalej prowadzić swoje gospodarstwo. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

W oparach schyłkowości

Czy pamiętają państwo jeszcze schyłkowy rząd Ewy Kopacz, który urządzał wyjazdowe posiedzenia, więc trzeba było za nim po całym kraju wozić komplet mebli? Sama zaś pani premier zajmowała się namiętnie kontrolą jakości kotlecików podawanych w Warszawie. Sprawiało to wrażenie cokolwiek żałosne i tak też żałośnie się skończyło – podwójną przegraną w 2015 r. Miał tamten okres natomiast w sobie coś nieuchwytnego wprawdzie, ale bardzo charakterystycznego. Właśnie ową schyłkowość,

nej formie już zaszedł. Jeśli zaś sprawdzi się prognoza o pozbyciu się z koalicji SP, to schyłkowość stanie się faktem bezsprzecznym. Pan premier na pewno odechnąłby wówczas z ulgą, ale tylko przez krótki moment. Zapomina bowiem najwyraźniej o starej zasadzie, że wroga najlepiej mieć blisko i pod kontrolą.

Wiadomo, że w tej chwili walka toczy się przede wszystkim o wymęczenie z Brukseli pieniędzy z KPO, które już i tak musimy spłacać. Ich zatrzymanie to jedna z największych porażek szefa rządu.

Jasne, że partia Zbigniewa Ziobry jakoś szczególnie w ich zdobyciu nie pomaga. I jest to najdelikatniej powiedziane. Jednak to diagnoza ziobrystów jest tutaj trafna. Po pierwsze, pakowanie się w Fundusz Odbudowy i Fundusz Odporności było ryzykowne od początku, bo było to zarazem pakowanie się w uwspólnotowiony dług. Po drugie, sam polski KPO nadal zawiera nie tylko punkty o sądownictwie, lecz także blisko 300 innych. Co z nimi? Zadałem takie pytanie Ministerstwu Funduszy i Polityki Regionalnej i od tygodnia czekam na odpowiedź. Po trzecie, w zamian za pieniądze Polska zgodziła się na kwestie potwornie obciążające dla naszej gospodarki i obywateli, związane z realizacją polityki klimatycznej. SP o tym mówi, a poza rządem będzie grzmieć. I wtedy nawet kontrola kotlecika w Warszawie może już panu premierowi nie pomóc. ©©

Walka toczy się o wymęczenie z Brukseli pieniędzy z KPO

której aromat jest nie do pomylenia z żadnym innym.

Albo jeszcze lepszy – i mój ulubiony – przykład: ostatni rząd SLD przed utratą władzy w 2005 r., kierowany przez Marka Belkę, który w tym czasie przeszedł już do nieistniejącej dziś partii (chyba, bo nigdy nic nie wiadomo) Demokraci.pl, która członkiem koalicji nie była – i w ten oto sposób znalazł się w opozycji do rządu, którym kierował.

Rząd Mateusza Morawieckiego nie jest jeszcze na tym etapie, ale naprawdę niewiele mu brakuje. Słuchając czasem polityków Solidarnej Polski, można odnieść wrażenie, że właściwie przypadek Belki w nieco zmodyfikowa-

MIESZKANIA GOTOWE DO ODBIORU w Poznaniu



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl 27b2502899



Dziewiczy świat, połączenie majestatu i grozy

FOT. ARCHIWUM AUTORA

W poszukiwaniu złotego miasta



Jacek Pałkiewicz

Na tropie największej tajemnicy Inków, legendarnego Paititi, synonimu El Dorado, w czasie świąt Bożego Narodzenia w 2002 r.

Takiemu jak ja nomadzie, który ponad pół życia spędził z dala od domu, częstokroć trafiały się chwile wyobcowania i przygnębienia. Samotność pastwiła się nade mną szczególnie w okresie Świąt Bożego Narodzenia, kiedy z dala od bliskich, od solennej i hipnotyzującej atmosfery nachodziły nostalgiczne rozmyślenia o wyczekiwaniu na pierwszą gwiazdę na niebie, o choince, kolędach, łamaniu się opłatkiem, wy-

mianie prezentów, wreszcie o składaniu sobie życzeń pojednania i pokoju. Bo to jest wyjątkowa chwila, która przybliżyła do siebie drugiego człowieka i odnawia więzy między nimi.

Takich turbacji doświadczyłem chyba z pół tuzina, ale największego dyskomfortu zaznałem 20 lat temu, tropiąc największą tajemnicę Inków – ukryte w dżungli amazońskiej legendarne Paititi, synonim El Dorado. To tam ukryte zostały skarby i dorobek kulturowy Inków, eksterminowanych bezlitośnie przez Francisca Pizarra, który z garstką 170 żołnierzy dokonał bezprecedensowego podboju ogromnego imperium ówczesnego świata.

Rozległy dziewiczy region w dorzeczu Rio Madre de Dios, kilkadziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych piekła ochrzczonego imieniem Madonny, szczyci się ponurą sławą, bo pochłoniął niejedne zbrojne oddziały hiszpańskie, niezliczo-

nych eksploratorów i romantycznych łowców przygód. Największą tragedią okryła się wyprawa konkwistadora Gonzalo Jiméneza de Quesady, w której zginęło 250 Hiszpanów i prawie 1,5 tys. lokalnych tragarzy. Sensacją było też tajemnicze zaginięcie w 1925 r. płk. Percy'ego Fawcetta. Nieznośny klimat, nieprzyjazna natura, dzikie ostępy, choroby, jadowite węże, malaria i zasadzki wrogich tubylczych plemion – wszystko to sprzymierzyło się ze sobą, aby utrudnić intruzom penetrację tej krainy. Mówi się, że absolutny władca Atahualpa rzucił na goniącą za złotem rzęsę nieustraszonych śmiałków anatamę, przypominającą klątwę faraonów.

Pochłonięta przez zaborczą roślinność forteca złota od kilku stuleci strzeżona jest przez wrogo nastawionych Indian Huapakores, bezpośrednich potomków Inków, rzekomo posiadających do spełnienia posłannictwo ochrony antycznej

aglomeracji. Podobno pozostało nie więcej niż kilkadziesiąt rodzin, które unikają kontaktów z białym człowiekiem. Nieznośny klimat, skrajnie surowe, pełne niebezpieczeństw środowisko, choroby i zasadzki nieprzyjaznych Indian zawsze powstrzymywały tu pochod człowieka. Ten, któremu udało się umknąć śmierci, podsycił jeszcze bardziej mit miasta pełnego niewyobrażalnych bogactw.

Ze wzruszeniem zachowuję w pamięci nazwiska tuzów literatury awanturniczo-przygodowych: Stevensona, Londona, Melville'a. Ikony literatury zastępowały mi ewangelię i zachęcały do wędrówki palcem po globusie, mojej młodocianej biblii. Jako chłopiec marzyłem o dalekich podróżach i legendarnych skarbach piratów na zapomnianych wyspach. Temat zaginionych klejnotów zawsze silnie oddziałuje nie tylko na młodzieńczą wyobraźnię. Marzenia o nich ekscytują i dostarczają dreszczu emocji.

Głośne legendy zawierają niejednokrotnie wartości, które od pokoleń są akceptowane przez ogół ludzi, a delikatna linia pomiędzy faktem i fikcją często ulega zatarciu. Polowanie na Eldorado zaczęło się od narodzin intrygującej legendy o „hombre dorado”, połączonym człowieku, która, jak można dzisiaj wnioskować, nie zrodziła się wcale z fantazji. Mit o rytualnych ablucjach kacyka z plemienia Czibczów, który wrzucał do wody cenne klejnoty, się ucieleśnił. W 1969 r. znaleziono misternie wykonaną ze złotego drutu miniaturową trawerkę wiernie odwzorowującą scenę tego obrzędu, dowód potwierdzający historyczny fakt. Fakt ten musieli uznać podchodzący lekceważąco naukowcy. Troja, biblijne miasto Erech, wieża Babel – przez całe wieki istniały tylko w mitycznych opowieściach. A jednak wielu naukowców autsajderów, kierując się jedynie legendą, odniosło sukces. Schliemann zlokalizował gród Priama, Botta – Niniwę, Woolley – miasto Ur wraz ze śladami „potopu”, Roberto Koldeweyowi zaś udało się odsłonić fundamenty ogromnego Zigguratu, sakralnej budowli w starożytnej Mezopotamii. Centra te wspominano długo po tym, jak zniknęły z powierzchni ziemi. Po pewnym czasie pojawiała się wiara, że kiedyś istniały. W ten sposób faktyczny stan ewoluował w legendę.

SENSACYJNY RĘKOPIS

Jakby nie patrzeć, dosyć wcześnie porzuciłem młodzieńcze sny. Jestem realistą,



Enigmatyczna mapa regionu Paititi z XVIII w.

FOT. ARCHIWUM AUTORA



Tumi, sakralny nóż inkaski

FOT. ARCHIWUM AUTORA

nie bujam w obłokach, nie żywię żadnych złudzeń i zawsze staram się trzeźwo patrzeć na świat. Jednak, w końcu lat 90. ubiegłego wieku, kiedy w rzymskim archiwum jezuitów znaleziono sensacyjny XVI-wieczny rękopis potwierdzający istnienie Paititi, uważany przez historyków za całkowicie wiarygodny, zmieniłem zdanie. Dokument mówił o ojcu Andrea Lopezie, dyrektorsze Kolegium Towarzystwa Jezusowego w Cuzco, pierwszym białym człowieku, który odwiedził miasto ze świątyniami pokrytymi złotem. W trzystronicowym manuskrypcie była także informacja o tym, że budowle znajdują się o 10 dni drogi na wschód od stolicy Imperium Inków i że papież zezwolił jezuitom szerzyć ewangelię wśród jego mieszkańców.

W egzystencję miasta złota wierzył nie zachwianie polski salezjanin o. Edmund Szeliga, któremu tubylcy niejednokrotnie opowiadali o „nietykanej świętości” fortecy zarośniętej przez zaborczą roślinność i strzeżonej przez wrogo nastawionych Indian Huapakores, rzekomo posiadających do spełnienia posłannictwo ochrony starożytnej aglomeracji. „Niektórzy z nich mówili mi o nieprzebranych skarbach, odmawiając jednak zaprowadzenia tam, bo odczuwają paniczny lęk przed złymi duchami i mocami nadprzyrodzonymi, broniącymi dostępu do tego miasta” –



■ ciągnął swoją opowieść o. Szeliga. Na potwierdzenie słów pokazał mi cenny klejnot inkaski, złotą „hacha”, sakralną siekierkę, którą na znak przyjaźni podarował mu pół wieku temu pewien Indianin z plemienia Piurów. „Tubylec zdobył się na odwagę i odwiedził Paititi, gdzie oglądał wielkie skupisko złotych artefaktów” – przekonywał duchowny.

Po rocznych przygotowaniach i współpracy z antropologami, naukowcami zajmującymi się geofizyką archeologiczną, etnologami, po tasemcowych badaniach historycznych i analizie starożytnych dokumentów oraz annałów w Centralnym Archiwum Indii Zachodnich w Sewilli, wreszcie po kilku wizytach w Peru byłem gotów do podjęcia próby przeniesienia intrygującej zagadki „ciudad perdida” Paititi, zaginionego miasta, w ramki nauki.

Przedemną wyprawą rekonesansowa, poprzedzająca szeroko zakrojony program badań właściwych poszukiwań. Z osady Pilcopata wypływamy dużą piro-

gą pod prąd rzeki Maestron, a później Pini Pini. Po trzech dniach trudnej i niebezpiecznej żeglugi, obfitującej w mielizny zmuszające do nieustannego przepychania łodzi po kamieniach, zagłębiamy się w las tropikalny. Eksplorujemy nieprzezniknione ostępy górzystego dorzecza Alto Madre de Dios, często oznaczonego na mapach topograficznych białą plamą z napisem „Datos insuficientes” – brak danych. Pierwsi idą miejscowi Indianie, „macheteros”, którzy metr po metrze otwierają przejście w zielonym murze. Za nimi kroczy sierżant Hermogenes, jeden z policjantów eskortujących wyprawę, potem reszta grupy – kilkanaście osób. Poruszamy się w poprzek nachylonego stoku, brodzimy w błocie lub gnijących resztkach roślin, forsujemy kolejne strumienie zagrządzające drogę. Jest duszno, dżungla wyciska z ciała ostatnie poty. Nie dają spokoju moskity, chociaż jeszcze gorsze bywają mrówki. Wybór ogromny, od czarnej do czerwonej, od mikro do



dwucentymetrowej potwornej insuli, której ukłucie przyprawić może o wielodniową gorączkę. Włazą wszędzie. Boją się jedynie ognia.

Nieustannie trzeba być ostrożnym. Felipe zsunął się właśnie kilkadziesiąt metrów po zdradliwym zboczach, zatrzymując się tuż nad głębokim urwiskiem. Zawsze trzeba patrzeć, gdzie się stawia nogę i opiera rękę. Jeden z Indian prawie cudem uniknął ukąszenia węża „szuszuja”, którego jad rokuje nie więcej niż godzinę życia. Równie niebezpieczne są i inne gatunki: culebra negra, kapukarara. Ich jad jest bombą atomową w miniaturowym opakowaniu. W 10. minucie od ukąszenia następuje paraliż mięśni. Umiera się po jednej dobie. Nie ma zresztą surowicy uniwersalnej likwidującej skutki ukąszenia wszystkich gatunków. Odcięci od świata nie możemy liczyć na żadną pomoc, zakładając nawet, że takowa byłaby zmobilizowana. Telefon satelitarny pozwala na szeroki kontakt, ale ile czasu musiałoby upłynąć, żeby dotarła do nas jakaś pomoc?

Rwąca Choritiari stopniowo przechodzi w zaciemniony, głęboki wąwóz z wiszącymi oparami wilgoci. Idziemy po kolana w wodzie, wyszukując łatwiejszych przejść. Ślizgamy się na gładkich kamieniach formowanych w ciągu milionów lat przez nieustannie płynącą wodę, co chwilę potykamy się, zarabiając kolejne siniaki i otarcia. Żadnego ruchu powietrza, nieustannie jesteśmy mokrzy. Woda chlupocze w butach, pot spływa po plecach. Na dodatek rozszalała się burza z grzmotami. Kto nie widział tropikalnej ulewy, ten nie ma pojęcia, ile wody może spaść na ziemię w ciągu kilku minut. Ściana wody. Wokół grzmi ogłuszający szum ulewy. Dygoczymy z dokuczliwego chłodu. Lecz po chwili świeci już słońce. Wszystko intensywnie paruje, a my znów



Puszcza urzeka swoim nieuchwytnym magnetyzmem

FOT. ARCHIWUM AUTORA



W dorzeczu Alto Madre de Dios

FOT. ARCHIWUM AUTORA

zaczynamy się pocić. Prawdziwy dżunglowy chrzest. Podczas krótkiej przerwy na odpoczynek jeden z tragarzy ścina jedną z rozłożystych palm, odrąbuja liście i rozłupuje pień, skąd wybiera kilkucentymetrowej średnicy pałkę. To palmeto – serce palmy zbudowane z przylegających do siebie płatków o delikatnym smaku, co stwierdzamy, degustując ten zaimprovizowany posiłek.

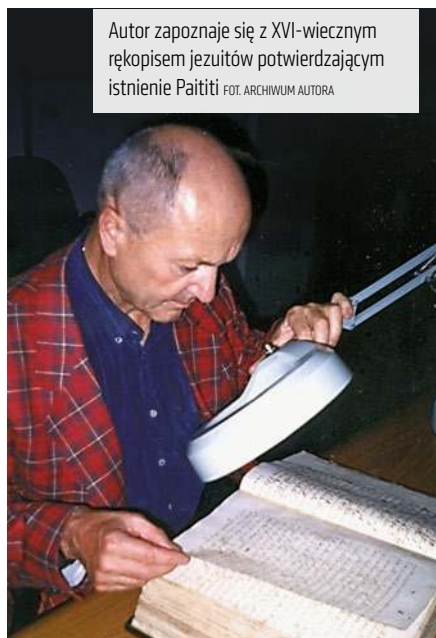
PRZYWYKNAĆ DO WILGOCI

Bywa, że podczas nawałnicy wiatr wraca z łoskotem, bez ostrzeżenia jakieś wielkie drzewo. W dżungli najgroźniejszy jest nadmiar wyobraźni, szczególnie nocą. Jeśli wyzwolisz w sobie strach, jeśli wszędzie, w każdym szeleście będziesz widział niebezpieczeństwo, to nigdy nie zaśnieś, a po kilku takich nocach rozkleisz się jak stary kapeć. Tuż przed świtem budzi nas bębnienie deszczu po napiętym brezencie. Lecz ulewa nie trwa długo. Po deszczu las jest jeszcze bardziej mokry, za to powietrze rześkie, lżej się oddycha. A do wilgoci w dżungli należy się przyzwyczaić, bo nie da się jej pokonać. Nawyknać trzeba także do wielu rzeczy: do ciała nieustannie lepkiego i pachnącego wysiłkiem, bo pot nie ma jak odparować przy stuprocentowej wilgotności powietrza. Przeciwno sobie masz wspinaczkę, kolczaste krzaki i zarośla poplątane z lianami. Bezruch, chwila letargu – to wydanie się na łup tysięcy szczególnie dokuczliwych drobniutkich muszek i innych komaropodobnych owadów, czekających na okazję do bezpłatnego posiłku. Jeśli będziesz miał pecha, to ukłuje cię jakiś komar, nosiciel malarii lub żółtej febrы, albo pchła piaszkowa, przenosząca chorobotwórczego pierwotniaka leishmanię, albo jeszcze gorzej – inny owad złoży ci pod skórą larwę gza. Dowiesz się o tym dopiero za kilka tygodni, gdy ciało

zżerającego cię pasożyta osiągnie kilka centymetrów.

Podczas gdy kucharz przygotowuje kolację, staramy się suszyć przy ogniu ubrania. Po całym dniu przedzierania się przez las wszystko jest przeпоcone i brudne. Zabrudzenie stanowi siedlisko zarazków, a wilgoć powoduje pojawienie się pleśni. Na szczęście wody mamy pod dostatkiem i z praniem nie ma problemów. Gorzej jest z suszeniem w wilgotnym powietrzu. Co gorsze, taką powieszoną koszulę po kilku minutach pokrywają mrówki, muchy albo inne jeszcze paskudztwa. Victor, szef tragarzy, przestrzega przed tornillo – owadem śrubą. Bardzo lubi składać jaja w wywieszonych na noc wilgotnych ubraniach. Kiedy jajo styka się z ludzką skórą, wwierca się pod nią i zaczyna rozwijać. W sumie nic groźnego – owad tkwi pod skórą i po jakichś 40 dniach wyfruwa na zewnątrz.

Autor zapoznaje się z XVI-wiecznym rękopisem jezuitów potwierdzającym istnienie Paititi FOT. ARCHIWUM AUTORA



Katastroficzne warunki pogodowe i długotrwałe napięcia oraz towarzyszący temu stres wyczerpują ludzi fizycznie i źle wpływają na morale. Słabnie świadoma motywacja, narastają konflikty, zmordowani ludzie nie są gotowi do ponoszenia ciągłych trudów. Relacje między mną a zespołem naukowców stają się, delikatnie mówiąc, apatyczne. Nawet kolacja przygotowana z ostatnich już zapasów nie jest w stanie podnieść pogody ducha i zapału.

Cały ten obraz uzupełnia jeszcze fakt, że dzisiaj mamy szczególny dzień: 24 grudnia. Absolutnie nierealny wigilijny wieczór wypełniają momenty zadumy i wspomnienia niepowtarzalnej magii najpiękniejszej nocy w roku. Mój dawny dom z zimowym krajobrazem wydaje się znajdować na jakiejś odległej planecie. W myślach ożywiają emocje związane z przygotowaniem stołu gwiazdkowego. Odczuwam radość, że po tylu latach mogę jeszcze doznawać intensywnie tych samych emocji. „Święta to miły czas dobroci, wybaczenia i miłosierdzia... Nic nie jest w stanie zastąpić szczerych relacji międzyludzkich” – pisał Charles Dickens w „Opowieści wigilijnej”. Jestem wdzięczny rodzicom, że przekazali mi radość tego święta, połączoną z wartościami rodzinnymi i szczerymi uczuciami.

Takie święta, z dala od kręgu rodzinnego, dla podróżników, marynarzy, emigrantów na całym świecie są o tyle wzruszające, że wzmacniają więzi, łagodzą niepokoje, skracają drogę do bliskich i przybliżają do domu. Nie ukrywam, że tu, pod zielonym baldachimem dziewiczej puszczy, wyobraźnię pobudza także rodzimy, pełny magnetyzmu zimowy całun, połączenie bieli i skrzypiącego mrozu, zamieniający codzienność w ulotną bajkę budzącą w duszy ciepło i dobry nastrój.

Wkrótce podejmuję decyzję o odwrocie. W sumie eksploracja pozwoliła zgłębić temat, co ułatwiło zadanie rok później podczas właściwej ekspedycji. Niestety, nie znaleźliśmy Paititi. Jeden z najbardziej fascynujących mitów w historii ludzkości pozostaje wciąż w strefie imaginacji. Niektórzy uważają, że to i lepiej, bo w chwilach, kiedy zawodzi codzienność, człowiek chętnie ucieka w świat fantazji, snując marzenia o jakiejś „wyspie skarbów”, która nęci i rozpala wyobraźnię. Pozbawiony tego snu poczułby się zawiedziony w swojej podświadomości.

■ Wymiany uczniowskie polskich i węgierskich szkół

■ Zorganizowanie polsko-węgierskiego turnieju piłkarskiego dla młodzieży Kolbuszowa – Tiszaújváros

■ „János Esterházy. Niewymazana historia” – kontynuacja projektu filmowego

■ „Pod skrzydłem sokoła / A sólyom szárnya alatt” – Realizacja polsko-węgierskiego wydawnictwa fonograficznego, klipu audio wideo

■ „Wiele Kultur, Jedno Miejsce – Węgry w Gminie Miejsce Piastowe” – organizacja konferencji „Via Carpathia w kontekście węgierskim”

■ „Zrób biznes w Indiach” – webinar dla węgierskich i polskich startupów na rynek indyjski

■ „Polak, Węgier, dwa bratanki – Festiwal węgierskich smaków” w Wołominie

■ „Kresy Węgierskie. Znaczenie Transylwanii w historii i kulturze węgierskiej i jej związki z Polską” – wyjazd polskiej młodzieży do Rumunii na tereny zamieszkujące przez mniejszość węgierską

■ „Tańce węgierskie w Chacie Numinosum” – koncerty i warsztaty z zespołami węgierskimi

■ Gra edukacyjna Węgrzy – Polakom w 1920 roku

■ Nauka języka węgierskiego w Tarnowskim Towarzystwie Przyjaciół Węgier

■ „Ocalić od zapomnienia” – archiwizacja, skatalogowanie i digitalizacja spuścizny tłumacza polsko-węgierskiego Szczepana Woronowicza

■ „Węgier Polakiem. Tibor Csorba na Róztoczu” – przygotowanie prac Tibora Csorby na wystawę w Muzeum

■ Prezentacja węgierskiej branży biotechnologicznej inwestorom europejskim i amerykańskim na targach CEBioForum 2022

■ „Wspólni bohaterowie, wspólny kierunek – spotkania polsko-węgierskie” – wizyta samorządowa z węgierskiego miasta Bodajk w gminie Pleśna

■ „Historia i teraźniejszość – ślady węgierskie na ziemi krasnostawskiej” – utworzenie szlaku historycznego

■ XXII Międzynarodowy Festiwal *Młodzi Artyści w Krakowie* – występy artystów węgierskich

■ TRIMARIUM. Gry edukacyjne jako narzędzia wsparcia współpracy polsko-węgierskiej

■ Półmaraton śladami św. Kingi

■ Polsko-Węgierskie Forum Samorządowe w Karpaczu

■ Dzień Węgierski w Wieprzu

■ Wizyty studyjne dziennikarzy szlakami turystycznymi Polski i Węgier

Dofinansowania 2022.

■ „Ikony węgierskiego rocka – wspomnienie” – nagranie koncertu unplugged upamiętniającego zespół Omega

■ Polsko-Węgierska współpraca sportowo-kulturalna w piłce wodnej



INSTYTUT
WSPÓŁPRACY
POLSKO-
WĘGIERSKIEJ

IM. WACŁAWA FELCZAKA

Ogłoszenie o konkursie otwartym

■ XI Szczecińskie
Dni Przyjaźni
Polsko-Węgierskiej

■ „Węgierskie
ślady Józefa
Szczotki, słynnego
górala z Milówki”
– popularyzacja
nieznanego
powszechnie wątku
węgierskich śladów
w życiu wybitnego
artysty ludowego,
dyrektora szkoły
i nauczyciela

■ Złot i Bieg
Patriotyczny Szlakiem
Kurierskim Komendy
Główniej AK „Szkoła”
im. Wacława Felczaka

na wnioski w sprawie finansowania lub dofinansowania przedsięwzięć podejmowanych na rzecz współpracy polsko-węgierskiej w 2023 roku

Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka – na podstawie § 2 ust. 2 pkt 2 Rozporządzenia Prezesa Rady Ministrów z dnia 14 listopada 2018 r. w sprawie finansowania lub dofinansowania przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka przedsięwzięć podejmowanych na rzecz współpracy polsko-węgierskiej (Dz. U. 2018 r., poz. 2168), ogłasza konkurs otwarty na przedsięwzięcia podejmowane na rzecz współpracy polsko-węgierskiej w 2023 roku na następujących warunkach:

1. Wnioski należy składać w trybie i na warunkach określonych w *Regulaminie udzielania w trybie konkursu otwartego przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka finansowania lub dofinansowania na przedsięwzięcia podejmowane na rzecz współpracy polsko-węgierskiej*.
2. Wniosek składa się elektronicznie za pośrednictwem generatora wniosków dostępnego od dnia zamieszczenia ogłoszenia o naborze pod adresem www.wnioski.kurier.plus
3. Regulamin, o którym mowa w pkt 1, i wzory załączników udostępnione zostały na stronie Instytutu: www.kurier.plus
4. Wniosek można złożyć na przedsięwzięcia realizowane nie wcześniej niż od dnia **1 marca 2023 roku** i nie później niż do dnia **1 listopada 2023 roku**.
5. Wnioski są przyjmowane w terminie do dnia **10 stycznia 2023 roku**.
6. Lista przedsięwzięć priorytetowych na stronie www.kurier.plus

Akcja „prezenty” rusza już w listopadzie. Pierwszą ofertę zaraz po Święcie Niepodległości przysłała mi Tate Gallery, jako zarejestrowanej na jakiejś liście członków. „Znajdź swój niezapomniany prezent w bezgranicznym świecie sztuki” – zachwala londyńska galeria. Kalendarze, książki, piżamka we wzór z Zanzibaru za 140 funtów, szaliki, apaszki, zabawki...

Nieraz zdarzało mi się kupić drobiazgi w londyńskim Victoria & Albert, w Luwrze, w MOM. Prezenty ze sklepów muzealnych są ambitne, ale 10 zł jest tutaj zazwyczaj znacznie przekroczone. Jednak przed świętami misja „prezenty” odbywa się tam, gdzie mieszkamy. Trudno, trzeba się z tym zmierzyć. Żeby uniknąć koszmaru zakupów last minute, trzeba znoją robotę wykonać wcześniej, zanim sezon gwiazdkowy nabierze rozpędu.

LISTA DROGICH RZECZY NIEPOTRZEBNYCH

W PRL, którego bynajmniej nie wspominam z czułością, było prościej. W ilościach, kiedy wszystkiego brakowało, a wymagania były odpowiednie do okoliczności, czyli niewielkie, radość sprawiał prezent prosty i tani: rajstopy, płyn do kąpieli, zestaw filiżanek nie do zdobycia (w sklepie Chinka). Dzisiaj jesteśmy ogólnie zamożniejsi, wymagania urosły, rynek eksplodował, Internet pozwala mieszkańcom wsi pod Działdowem kupić pierścionek Cartier paroma wciśnięciami klawisza. Lub chociażby piżamkę w Tate. Zakładając, że kogoś stać.

Pomocą, wydawałoby się nieocenioną, mogą być przeglądy prezentów w kolorowych magazynach. Przejrzałam ofertę magazynu „Vogue”, wydanie amerykańskie. Oto, co znalazłam, ceny w dolarach. Dla niej: sweter z kaszmiru Khaite, marki ostatnio bardzo modnej i drogiej – 1780; torebka Saint Laurent – 2750; okulary słoneczne Prada – 2355. Dla niego: kosmetyczka Gucci – 890; butelka na wodę Prada – 160; doniczka z trawertynu – 100; zestaw świec i kadzidełek – 290.

Na tych listach sama nigdy nie znalazłam niczego, co chciałabym dostać lub komuś dać. Mam nieodmierne wrażenie, że znajduję się tam dziesiątki przypadkowych, nikomu niepotrzebnych, za drogie gadżetów, dobranych tak, żeby ładnie prezentowały się na stronie. A jednak te przedświąteczne targowiska próżności w zagranicznych magazynach, będąc kompletnym odrealnieniem,



Targowisko



Joanna Bojańczyk

Prezenty sprawiają radość, to oczywiste. Ale czy wszystkie? Ile z nich naprawdę się nam spodobało, ile przydało, a ile zaległo na półce „podaj dalej”?

paradoksalnie odbijają rzeczywistość. Dla mieszkańców bogatszego od nas Zachodu czasy, kiedy dawało się rajstopy, są zamierzchnią przeszłością, jeżeli w ogóle kiedykolwiek istniały. Dzisiaj, nawet w kryzysie, mottem jest luksus, słowo klucz do szczęścia. Ale ile osób daje dziewczynie naszyjnik Louis Vuitton za 2040 euro, narzeczonemu długopis BIC w czterech kolorach, edycja limitowana 999 egzemplarzy, projekt rzeźbiarza Richarda Orlinski – 390 euro? Najbardziej wzruszył mnie korkociąg z posrebrzanego brązu, marki Audiard, cena na żądanie. W domyśle: tak wysoka, że lepiej nie upubliczniać. Albo coś na stół: karafka Diora za 460 euro. (Wszystkie przykłady z francuskiego tygodnika „Paris Match”). Wełniana czapka za 295 funtów i wełniane skarpetki za 90 funtów radzi kupić bliskiej osobie brytyjski magazyn „Toast”. Przyjemne, ale chwilowo nie skorzystam.

PODAJ DALEJ

Prezenty sprawiają radość, to oczywiste. Czy jednak wszystkie? Ile z nich naprawdę się nam spodobało, ile przydało, a ile zaległo na półce „podaj dalej”? Na Boże Narodzenie jesteśmy zazwyczaj w gronie bliskich, więc oczekujemy, że oni znają nasze upodobania, może nawet potrzeby. I dlatego rozczarowanie, a nawet złość, gdy otwieramy coś kompletnie przypadkowego, niemającego najmniejszego związku z naszą osobą, gustami, zainteresowaniami. Tu dochodzimy do kwestii najważniejszej: ofiarować to, co nam się podoba, czy starać się dać coś,

co może się spodobać osobie obdarowywanej? Polecam rozwiązanie numer dwa, chociaż przyznaję, że czasem trudno jest się wstrzeć w cudzie gusta. Ale są osoby, od których i tak zawsze dostaje się fajny prezent; są też takie, od których zawsze możemy liczyć na coś bezsensownego. Nic na to nie można poradzić, nikt tego już nie zmieni.

ŻADEN PORADNIK NIE POMOŻE

Dlatego niniejszy tekst nie jest poradnikiem kupowania prezentów, gdyż mam świadomość, że żaden poradnik tu nie pomoże. Poradnik jest ogólny, a prezent jest jak lekarstwo na receptę, dla konkretnej osoby, z konkretnym charakterem.

„New York Times”, dziennik, po którym można by oczekiwać poważnych rozwiązań, już w listopadzie zamieścił tekst „Jak żeglować po sezonie prezentowym i nie zwariować”. Kupowanie prezentów jest zniechęcające, konstatuje autor Ali Trachta, ale próbuje podejść do zadania z iście amerykańskim pragmatyzmem. Według niego i według jego ekspertów, podobno także ekspertów od shoppingu, zrobienie własnej listy potrzeb (coś takiego, jak lista ślubna, u nas chyba niezbyt rozpowszechniona) oraz rozdanie jej znajomym i rodzinie jest niegłupie, o ile nie umiścimy na niej zbyt ekstrawaganckich i zbyt drogie rzeczy.

Czy niegrzecznie jest zapytać kogoś, jaki prezent by mu się przydał? – zastanawia się autor. „Sformułuj pytanie tak, żeby nie zapytać wprost, ale raczej tak,

próżności

żeby ta osoba ujawniła swoje zainteresowania” – odpowiada mu na to Laura Jennings, autorka strony internetowej Knack, też o prezentach. Zapytaj: „Czy jest coś, co naprawdę lubisz?” zamiast bezpośredniego: „Co mam ci kupić?”. Według pana Trachty należy również przyjść z pomocą osobie, która męczy się z wybraniem prezentu dla nas. Dziennikarz „NY Timesa” jest również zdania, że puszczanie w dalszy obieg nietrafionych prezentów należy „zalegalizować”, mając jedynie na uwadze, aby ten, kto kupił prezent, należał do innego kręgu towarzyskiego niż osoba, która ma go otrzymać z recyklingu.

Są osoby, dla których prezent wybiera się łatwo. Generalnie łatwiejsze są kobiety, a już młode szczególnie. Coś do makijażu, coś pachnącego, coś z modnych sieciówek zawsze sprawia przyjemność. To nic, że będzie się tego używać trzy miesiące. Z facetami jest gorzej. Co rok dzwoni do mnie kilka osób z uczestników naszej rodzinnej

wigilii z zawsze tym samym pytaniem: „Co kupić S?”. Ja, niby bliska mu osoba, mam to wiedzieć. Sama bym chciała wiedzieć i naprawdę jestem w kropce. Ile razy można radzić koszulę, piżamę, książkę Stephena Kinga, wiertarkę? S. to wszystko już ma, a w ogóle jest człowiekiem o minimalnych potrzebach materialnych.

TRZYNASTA PENSJA

Dlatego dużo łatwiej jest z osobami o sprecyzowanych zainteresowaniach. Istnieje wprawdzie ryzyko, że osoby z otoczenia nierozumiejące tajnej i wyspecjalizowanej dziedziny tych zainteresowań trafią kulą w płot. Człowiekowi znającemu się na muzyce kup płytę z Chopinem, jak jakiemuś początkującemu. Obciach. A on właśnie wykopał na aukcji rzadkie nagranie sprzed 80 lat... Obdarowany tylko westchnie z politowaniem

nad ogromem ludzkiej niewiedzy i kwitując podarek, zrobi

dobrą minę do złej gry.

Amerykańska gazeta porusza jeszcze inny delikatny temat. Upominki dla pracowników domowych i osób związanych z domem: dozorca, pani do sprzątania, listonosz. Dziennik doradza bonus w postaci 13. pensji, jeśli pracownik jest na pensji. Przy skromnym budżecie ręcznie napisany list i domowe ciasto byłyby na miejscu. Ja ze swej strony pamiętam, że moi rodzice, mimo skromnego statusu materialnego, nigdy nie zapominali dać niewielki upominek gwiazdkowy listonoszowi. Był on zaufanym człowiekiem rodziny; wypłacając niezbyt wysoką emeryturę ojca, zawsze dostawał niewielki napiwek. To oczywiście było w głębokim PRL. Jak się zorientowałam z rozmów ze znajomymi, zwyczaj taki nie jest podtrzymywany po prostu dlatego, że nie zna się listonosza. Przychodzi w porze, kiedy jest się w pracy, i najczęściej zostawia tylko awiza w skrzynce...

Prezenty dla dzieci to temat osobny. O ile można powątpiewać, czy wzajemne oprezentowywanie się ma sens w naszych w sumie dość dostatnich czasach, to czy można dziecku odmówić radości w imię jakiejś oszczędności, własnej czy z powodu klimatu itp.? Nigdy, ale prezenty dla dzieci to nie jest sprawa prosta. Do trzech lat nie ma problemu: lalki, misie, pojazdy, stosowne do wieku lego czy playmobil rozwiązują problem. Potem jest gorzej. Coraz trudniej dorosłym ogarnąć poziom rozwoju technologicznego starszych dzieci i może być tak, że po prostu wygłupimy się, ofiarowując ośmiolatkowi coś, co jego grupę wiekową pasjonowało dwa lata temu. Jest faktem, że dorośli przestali rozumieć świat filmików, gier i w ogóle całej informatyki zabawowej, w której po uszy zanurzone są dzieci. Niektórzy wciąż uważają, że dziecko w roku 2022 lubi bawić się produktami ekologicznymi – drewnianym samochodzikiem – i kupują takie rzeczy dzieciom. Prawda jest taka, że dzieci najbardziej ze wszystkiego na świecie lubią bawić się naszą komórką, a jeśli jej nie ma pod ręką, to błyszczącym światłami, kaleczącym rączki chińskim badziewiem.

Kwestia, czy prezent ma być koniecznie praktyczny, do czegoś służący, zostaje nie do rozwiązania. Podobnie kwestia, czy to, co nam się podoba, spodoba się innym. Faktem jest, że nikt nas nie zastąpi w tym zadaniu, jednym z najcięższych przed Bożym Narodzeniem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Święta Bożego Narodzenia zbliżają się dużymi krokami, a wraz z nimi powraca coroczny dylemat – jaką choinkę wybrać? Naturalną czy sztuczną? Jodłę czy świerk? Z marketu, bazaru czy prosto z plantacji? Bez względu na wielkość i rodzaj jedno jest pewne – wybierając choinki od leśników, mamy pewność, że kupujemy je legalnie, są pozyskane bez uszczerbku dla przyrody, a do tego są „bio”!

Choinka w formie stojącego w pokoju drzewka ozdobionego świecidełkami to tradycja w naszym kraju dosyć nowa, bo XIX-wieczna. Pierwowzorem bożonarodzeniowego drzewka były gałązki świerkowe lub jodłowe, którymi dekorowano izby. Ich miejsce zajęły bardziej ozdobne podłazniczki, czyli czubki jodły, świerka lub sosnowe gałązki, które przywieszano czubkiem do dołu do drewnianego stropu w izbie. Przystrajano je orzechami, jabłkami, słomianymi zabawkami, barwionymi opłatkami. Z czasem wyparły je tradycyjne choinki, które co roku wybieramy na czas świąt Bożego Narodzenia. Choć moda się zmienia, a wybór drzewek naturalnych i sztucznych jest ogromny, to jest jeden pewnik – choinka to obowiązkowy element, bez którego nie sposób wyobrazić sobie celebrowania świąt. Jaką choinkę wybrać?

NATURALNA CZY SZTUCZNA?

Żywa choinka dodaje magii i sprawia w wyjątkowy świąteczny klimat. Ponadto jest w 100 proc. ekologiczna, to surowiec całkowicie odnawialny. Leśnicy hodują drzewka na specjalnych plantacjach lub w miejscach, w których nie może rosnąć las, np. pod liniami wysokiego napięcia. Na tych ostatnich, ze względów bezpieczeństwa, wysokość drzewek nie może przekroczyć czterech–pięciu metrów, zatem bez względu na to, czy zostaną sprzedane, i tak w najbliższych latach trzeba je wyciąć. Żywe drzewka są rezerwuarem dwutlenku węgla i produkują niezbędny do życia tlen. Po świątach nie zanieczyszczają środowiska, przetwarzają się na nawóz organiczny.



Sztuczne drzewka miały być wspaniałą alternatywą dla prawdziwych choinek (podobno na potęgę wyrzynanych w polskich lasach, a następnie lądujących na śmietniku). Jednak ilość substancji toksycznych emitowanych do atmosfery podczas wytworzenia lub utylizacji sztucznego drzewka jest zatrważająca. Przeciętniej wielkości drzewko zbudowane jest z 1,5 kg żelaza, 0,7 kg polietylenu i 0,5 kg PCV, a przy jego wytwarzaniu trzeba wyemitować do atmosfery 10 kg dwutlenku węgla.

Do tego dochodzą jeszcze emisje nieprzyjaznych środowisku wyziewów substancji chemicznych wytworzonych w procesie produkcji. Przy transporcie docelowym emituje się kolejne 3–9 kg dwutlenku węgla. Sztuczna choinka, gdy już po latach użytkowania trafia na śmietnik, rozkłada się w środowisku nawet do 400 lat! Przez ten okres leśnicy zdążyliby wyhodować kolejne cztery pokolenia lasu, który jest rezerwuarem dwutlenku węgla oraz emitującym niezbędny do życia – tlen.



Decydując się na kupno prawdziwego drzewka, mamy dwie możliwości: drzewko w doniczce lub cięte. Jeżeli wybierzemy pierwszy wariant, to należy wytypować gatunek. Świerk pospolity ma dużą wrażliwość na wahania temperatur oraz brak wilgoci. Szybko traci igły. Świerk serbski czy kłujący jest formą bardziej odporną. Daglezia zielona oraz jodła kaukaska są zdecydowanie bardziej wytrzymałe na zmienne warunki.

Jeśli chodzi o drzewka cięte, to poszukiwanymi gatunkami na bożonarodzeniowe drzewka są głównie jodła i świerk. Tradycją jest wybór świerka, jednak warto zastanowić się nad jodłą, która pomimo tego, że nie posiada intensywnego zapachu, charakteryzuje się pięknym pokrojem, oraz sosną, która pięknie pachnie żywicą i najdłużej utrzymuje igły.

Nadleśnictwa uprawiają przede wszystkim gatunki krajowe, spotykane naturalnie w naszych lasach: świerki, sosny i jodły.

PO CHOINKĘ „BIO” NAJLEPIEJ DO LEŚNIKÓW!

Nie każda naturalna choinka jest jednakowo przyjazna środowisku.

– Z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że choinki oferowane przez Lasy Państwowe zasługują natomiast na określenie „bio”. W odróżnieniu od upraw, gdzie drzewka świąteczne rosną w warunkach ogrodniczych, my naszych choinek nie nawozimy, nie stosujemy herbicydów, nie podlewamy, uprawiamy rodzime gatunki na niewielkich plantacjach – tłumaczy Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych.

Po czym dodaje: – Nasze uprawy nie są ingerencją w krajobraz (góra kilka hektarów wobec kilkusethektarowych plantacji przedsiębiorców). Choinki z plantacji jeżdżą czasem przez pół Europy. Nasze trafiają na lokalny rynek. To ogranicza ślad węglowy i minimalizuje wpływ na środowisko.

Jak kupić drzewko bożonarodzeniowe od leśników?

– Sprzedaż choinek w nadleśnictwach rusza zwykle w grudniu. Trzeba o nie pytać lub sprawdzać strony internetowe pobliskich nadleśnictw. Nie oferujemy drzewek na stoiskach, w miastach czy centrach handlowych. W wielu nadleśnictwach urządzamy „choinkobrania”. Chętni mogą sami wybrać i ściąć choinkę z plantacji. Polecam taką wyprawę po choinkę zwłaszcza rodzicom. To świetny sposób na przygotowanie się do świąt –

mówi Michał Gzowski, rzecznik prasowy Lasów Państwowych.

PIELĘGNOWANIE CHOINKI

Aby świąteczne drzewko jak najdłużej ozdabiało dom, należy je odizolować od źródeł ciepła (grzejnik, kominek). Popularnością cieszą się także ostatnio stojaki z pojemnikiem na wodę, które na pewno przedłużą świeżość bożonarodzeniowego drzewka. Przed wstawieniem do domu warto przez kilka dni hartować choinkę na balkonie, w garażu czy piwnicy. W domu też możemy przedłużyć jej życie. Trzeba je regularnie podlewać i nie wieszać na niej zbyt wielu ozdób. Drzewko można też nawozić.

CO ZROBIĆ Z CHOINKĄ PO ŚWIĘTACH

Choinkę po świętach można, a nawet trzeba zagospodarować – mimo że drzewko jest biodegradowalne, a więc rozkłada się w naturalnym środowisku, nie szkodząc mu, nie wolno go wyrzucić do parku czy lasu. Co więc z nim zrobić, gdy minie świąteczny czas?

Naturalną choinkę ciętą można po świętach wykorzystać na wiele sposobów: może trafić na kompostownik i potem użyć glebę w ogrodzie czy stać się ściółką pod rośliny. Drzewka są wykorzystywane w gospodarstwach domowych na opał, a popiół drzewny doskonale nadaje się na nawóz. Gałązki (jeśli posiadają jeszcze igły) świetnie sprawdzą się do ochrony innych roślin – oddziela się je od pnia i używa w ogrodzie czy na balkonie jako osłon przeciwmrozowych dla bylin, roślin cebulowych czy niskich krzewinek. Mniejsze, zdrewniałe fragmenty (jak również igły) można ułożyć w pryzmach kompostowych. Jeśli kompost jest dość jednorodny i powstał z roślin iglastych, to można stosować go jako ściółkę lub nawóz dla roślin kwasolubnych.

Choinkę ciętą, która usycha, można oczywiście przekazać do utylizacji. Pozostawione przy śmietniku będą traktowane jako odpady komunalne, jednak bardzo często w styczniu organizowane są specjalne akcje typu „oddaj choinkę”. Drzewka z tych zbiorów najczęściej trafiają do elektrociepłowni i są przetwarzane na energię! To ekologiczny sposób utylizacji, ograniczający ilość powstających przy spalaniu zanieczyszczeń. Czasem jednak „zużyte” choinki przewozi się do ogrodów zoologicznych. Tam mogą posłużyć zwierzętom jako pokarm lub schronienie (ścieli się nimi klatki, zostawia do podgryzania).

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zatem nie ma wątpliwości, że choć sztuczne choinki wyglądają coraz ładniej i mogą służyć kilka sezonów, to żywa choinka jest zdecydowanie lepszym rozwiązaniem!

SOSNA, JODŁA CZY ŚWIERK?

Na drzewka świąteczne hodowane jest najczęściej świerk pospolity, świerk kłujący odmiany srebrzystej, jodła pospolita, jodła kaukaska, daglezia zielona oraz sosna zwyczajna.

TEST „DO RZECZY”: SONOS SUB MINI

Kompaktowe rozmiary, dobra jakość dźwięku, który wypełnia całe pomieszczenie, błyskawiczna i bezprzewodowa integracja z innymi elementami systemu audio – to największe zalety nowego subwoofera amerykańskiej firmy Sonos.

Nazwa modelu mówi sama za siebie. Sonos Sub Mini jak na subwoofer jest rzeczywiście stosunkowo niewielki (jego wymiary to 305 x 230 mm) i stosunkowo lekki (6,35 kg). Potrafi jednak zrobić duże wrażenie, wypełniając małe i średniej wielkości wnętrza brzmieniem bogatym w czyste niskie tony. Subwoofer zamknięty w cylindrycznej obudowie z charakterystyczną pionową szczeliną ma minimalistyczny design, dzięki czemu łatwo go wpasować w wystrój nowoczesnych wnętrz. Jakość wykonania jest na wysokim poziomie, choć niektóre modele Sonosa sprawiały wrażenie, jakby były „bardziej premium”. Konfiguracja z innymi głośnikami amerykańskiego producenta przebiega zaś bezproblemowo i błyskawicznie.

A dźwięk? Jak na niewielkie wymiary i stosunkowo atrakcyjną cenę urządzenia brzmienie jest dobre. Sub Mini ma szybki, dokładny, responsywny bas. Niskie tony są głębokie, a jednocześnie zbilansowane i nienachalne (choć oczywiście w aplikacji można podbić basy tak, żeby sąsiadom zwiędły

uszy), a brzmienie pozbawione jest irytujących drgań, brzęczeń czy zniekształceń nawet przy celowo zbyt mocnym podbiciu niskich tonów. Za tłumienie drgań odpowiada specjalna konstrukcja, w której dwa sześciociałowe głośniki niskotonowe z niezależnymi wzmacniaczami klasy D skierowane są do wewnątrz. Czy dźwięk mógłby być bardziej szczegółowy? Momentami być może tak.

Urządzenie dobrze wzmacnia jednak wrażenia z oglądania kina domowego, odkrywając przed użytkownikami głębię ścieżek filmowych, a także uprzyjemnia ratowanie/podbijanie świata w grach wideo. Sub Mini sprawdza się też podczas słuchania muzyki z popularnych serwisów streamingowych takich jak Deezer, Spotify, Tidal etc. lub za pośrednictwem radia internetowego (dostępne są najróżniejsze gatunki muzyki z krajów niemal z całego świata).

Wady? Nie ma ich wiele, ale kilka znalazłem. Po pierwsze: Sub Mini można poprzez wi-fi podłączyć z dowolnym głośnikiem lub soundbarem z wbudowanym wzmacniaczem, pod warunkiem że będzie to... inny produkt firmy Sonos. Gdyby chciało się go używać z soundbarem innej firmy, to nie ma takiej możliwości. Po drugie: nie da się sparować dwóch subwooferów mini w tym samym pomieszczeniu,



choć tę wadę dostrzegą tylko naprawdę bogaci klienci lub właściciele dużych, przestronnych salonów. Po trzecie: szczelina w Subie Mini może szybko zamienić się w siedlisko kurzu. Po czwarte i najważniejsze: to stosunkowo drogi subwoofer. Sonos Sub Mini jest co prawda tańszy od swego starszego i potężniejszego brata (Sonos SUB Gen3 kosztuje 3859 zł), ale wciąż do tanich nie należy (trzeba za niego zapłacić 2399 zł). W zamian zyskuje się jednak nowoczesny subwoofer, który dobrze wykonuje swoją robotę, bez zwracania na siebie zbyt dużej uwagi. © © **Jacek Przybylski**

INTELIGENTNY STEROWNIK ZAOSZCZĘDZI ENERGIĘ

Firma AVM, niemiecki producent urządzeń sieciowych, wprowadziła na polski rynek nowy inteligentny sterownik ogrzewania FRITZ!DECT 302. Urządzenie dzięki takim funkcjom jak harmonogram tygodniowy czy automatyczne wykrywanie otwartego okna może automatycznie obniżać temperaturę, ułatwiając dostosowanie ogrzewania domu lub mieszkania do indywidualnych potrzeb użytkowników i... oszczędzanie drogiej energii. Sterownikiem można sterować przyciskami na urządzeniu lub np. za pomocą inteligentnego przełącznika, smartfona, tabletu, laptopa etc. Można również połączyć kilka sterowników w grupę. Cena: 71 euro, czyli równoważność 333 zł.



CZYSTY DŹWIĘK I... CZYSTE POWIETRZE

Zima to okres, w którym w wielu miastach poziom smogu przekracza wszelkie normy. Brytyjska firma wprowadziła na rynek słuchawki Dyson Zone. Model ten według producenta zapewnia nie tylko czysty dźwięk i redukcję gwaru (model wyposażono w system aktywnej redukcji hałasu ANC), lecz także ma funkcję oczyszczania powietrza. Według producenta zastosowane filtry wychwytyją do 99 proc. cząstek stałych o średnicy 0,1 mikrona, a filtr węglowy wzbogacony potasem neutralizuje miejski odór. Maskę dostarcza użytkownikowi czyste powietrze bez dotykania twarzy. Urządzenie ma działać na jednym ładowaniu do czterech godzin z włączoną jednocześnie redukcją hałasu i oczyszczaczem powietrza. Poziom zanieczyszczeń można zaś sprawdzać w aplikacji mobilnej. Premiera zapowiedziana jest na rok 2023. Cena: 949 dol., czyli równoważność 4225 zł. © © **Jacek Przybylski**



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Chreptiów, stanica Wołodyjowskiego



Czy Chreptiów, opisany przez Henryka Sienkiewicza jako miejsce stacjonowania oddziału płk. Jerzego Michała Wołodyjowskiego, do którego uciekała przed Azją Basia Wołodyjowska, istniał naprawdę? Okazuje się, że... tak. Obecnie to Chreptiów, wieś nad Dniestrem. W XIX w., w „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”, piszą o niej tak: „Wieś, powiat uszycki, cerkiew pamiętna pobytom Wołodyjowskiego na kresach, obecnie wyszła z rąk Sobańskich, sprzedana Patonowi. Leży w lesistej okolicy na górze, pomiędzy dwoma dopływami pobliskiego Dniestru. Z jednej tylko strony, od Nowej Uszycy, jest dostęp i dojazd”. Słownik podaje, że od czasów Sobieskiego w skałach nad Dniestrem wykuta była inna droga, dziś jednak nie sposób ją odnaleźć. Dziś jest to słabo zaludniona osada, jednak położona w malowniczym miejscu, bo przy dolinie Dniestru – głębokim, skalistym wąwozie. Widoki są przepiękne, miejsce wydaje się leżeć na końcu świata, a na ogromnych stepach można by kręcić filmy historyczne. Dawna stanica znajduje się około dwóch kilometrów na południe od wsi, nad brzegiem jaru. Zachowały się tam ledwie widoczne resztki dwóch wałów.

Miejsce to opisane zostało pierwszy raz w 1606 r. przez Samuela Maskiewicza. „W wielkim poście, podług naszego kalendarza, ruszyłem z chorągwią pana Pretwicza kamienieckiego do Chreptiowa na leże. Tam od zbójców mieliśmy wielkie nagabywanie, że nie lża było i na przystawstwo się wychylić czeladnikowi; przespiegowawszy ich, jechaliśmy i pojмалиśmy herszta Sałatę. Którego odesłano do Baru



FOT. DOMENA PUBLICZNA

do pana wojewody ruskiego Golskiego, bo on był na hetmańskim miejscu i tamże ćwiartowany był”.

Za czasów Jana Sobieskiego Chreptiów był jedną z kilkunastu stanic i obozów wojskowych na południowych kresach Rzeczypospolitej. Hetman, a potem król, był zwolennikiem budowania i utrzymywania takich obozów, gdyż przebywając w nich, żołnierze nie mieli okazji, aby grabić prywatne włości. W filmie „Pan Wołodyjowski” stanica pokazana jest jako ogromna forteca, dużo większa niż w rzeczywistości. Przyjeżdżają tutaj Wołodyjowski z żoną, Zagłoba, przybywają Lipek, Tatar polski Melchowicz, który okazuje się synem Tuhaj-beja i naprawdę zwie się Azja. Później próbuje porwać Basię, za co ta wybija mu oko ręką i pistoletu.

Tymczasem filmowy Chreptiów wzniesiony został w 1967 r. w Bieszczadach, na wzgórzu pod istniejącymi do dziś Lutowiskami. Niestety była to tylko makietka, zresztą ministerstwo leśnictwa przekazało na budowę zaledwie 600 metrów sześciennych drewna, podczas gdy zwykły dwór wymaga ok. 200, wliczywszy w to dach, sufit i podłogi. Dlatego na potrzeby filmu zbudowano tylko makietę, która, choć nie była spalona (pożar Raszkowa kręcono w pobliskim Chmielcu), to po kilku latach została rozebrana. Dziś tylko karczma nad Wielką Pętlą Bieszczadzką przy-

pomina o tamtych czasach, jednak nie ma ona nic wspólnego z budownictwem obronnych z czasów I Rzeczypospolitej.

Chreptiów to tylko jedna z wielu dniesirowskich stanic wojskowych. Kolejną był Raszków, który spalił Azja Tuhaj-bejowicz. Dziś miejscowość ta znajduje się na terenie Mołdawii, na lewym brzegu rzeki i wchodzi w skład zbuntowanego postsowieckiego Naddniestrza, które oderwało się od byłej republiki. Dlatego znajdzie się tam więcej pomników rewolucji niż pamiątek po dawnej Rzeczypospolitej. W okolicy powinny znajdować się jeszcze wykute w skałach jaskinie, które w zimie zamieniano na schronienia dla owiec. Na stokach wzgórz, jak podaje wspomniany „Słownik geograficzny...”, znajdowały się winnice „dające 1000 wiader wina rocznie”. Miasteczko już w 1402 r. wzmiankowane było jako Karawuń. Później wielokrotnie palone i niszczone w czasie wojen, tatarskich najazdów, równie szybko odbudowywane. W połowie XVII w. Aleksander Koniecpolski, który odziedziczył te dobra razem z Szarogrodem, wypuścił Raszków w dzierżawę Rozandzie Lupu, wdowie po Tymofiejku Chmielnickim, synu Bohdana Chmielnickiego. Kozacki hetman najechał Mołdawię, zmuszając hospodara Bazylego Lupu do wydania córki. Po zdobyciu Kamieńca i zajęciu Podola przez Turków rezydował tutaj hospodar Jerzy Duca, który zarządzał księstwem Niemirowskim wykrojonym z części zdobytych terenów. W tamtych czasach Raszków zaludniony był przez Ormian, Greków i Wołochów, którzy trudnili się handlem i utrzymywali ogromne stada koni. Do Rzeczypospolitej wrócił po pokoju w Karłowicach w 1699 r. ©



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Kresowe Boże Narodzenie

Oprócz wspomnień i cudownych rodzinnych historii nasza rodzina z Kresów Wschodnich przywiozła zeszyty z zapiskami pełne przepisów kulinarnych, książki kucharskie i mnóstwo pomysłów na tradycyjne Boże Narodzenie. Święta na Wschodzie, ze względu na swoją wielokulturowość wynikającą z położenia naszego państwa na zbiegu wielu kultur, były bardzo różnorodne, barwne i bogate w ciekawe tradycje. Na ziemiach wschodnich mieszkali ludność wierna tradycjom chrześcijańskim oraz wyznawcy Kościoła prawosławnego. Wynikające z tych różnic tradycje owocowały tym, że „na ziemiach wschodnich Pan Jezus rodził się dwa razy”.

Tradycyjnie na naszym rodzinnym stole obowiązkowo musiało znaleźć się 12 potraw, dokładnie tyle, ilu apostołów było przy Jezusie. Stół musiał być pięknie nakryty, oczywiście białym obrusem, pod którym koniecznie musiało znaleźć się sianko. Przy każdym talerzu leżała gałązka świeżej jody oraz tradycyjnie spalano jedną taką gałązkę choinki, aby w domu pachniało lasem. Wieczera wigi-

lijna zaczynała się od wypatrzenia pierwszej gwiazdki na niebie, cała rodzina zasiadała do stołu, oczywiście ubrana odświętnie. Wspólna modlitwa i czytanie Pisma Świętego oraz dzielenie się opłatkiem koniecznie polanym miodem to tradycja wschodnia, a dokładnie z północnych obszarów województwa łwowskiego.

Kolacja zaczynała się od podania zup. U nas były to zawsze zupa grzybowa z suszonych grzybów podana z łazankami albo z szarymi kluskami oraz barszcz czerwony robiony z zakwasu i wywaru ze słodkich buraków z uszkami z farszem z białej cebuli, fasoli i grzybów. Następnie tłuczone ziemniaki i karp smażony w maśle z rodzynkami, do tego kapusta z grzybami. Ryba w galarecie w szarym, mocno cebulowym sosie, śledź na dwa sposoby – jeden z jabłkiem, a drugi z olejem lnianym i cebulą. Bułka tradycyjna pszenna z makiem oraz pierogi z kapustą. Na słodkości nie ma już miejsca, a tu zawsze na stole pojawia się schłodzona na balkonie zimna jak lód kutia, ugotowane ziarno pszenicy z miodem, orzechami, bakaliami i makiem. ©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Jak się nie ubierać

Czy już się państwo ubrali? To jest, chciałam powiedzieć: Czy się państwo wystylizowali?

To tytułem pouczenia czy raczej aktualizacji językowej: obecnie się nie ubieramy. Stylizujemy się.

W skrócie: robimy stylówę. Nie wiem, co prawda, czy większość ludzi, wychodząc codziennie rano do pracy, ma na to czas; jest jednak pewne, że bohaterowie portali mają sporo czasu na „fajną stylówę”, która zdobywa potem lajki na Instagramie.

Jestem także pewna, że 93 osoby wybrane w ankiecie „New York Timesa” jako „najbardziej stylowi bohaterowie roku 2022” mają tego czasu więcej niż sporo. Gotówki tak. Gazeta jest amerykańska, większość tych 93 osób jest zapewne dobrze znana amerykańskim czytelnikom. Sama znam zaledwie kilka, przy czym „znam” należy tłumaczyć jako: obiło mi się o uszy/oczy. Spektrum jest spore: od młodych, pięknych i szczupłych do starych, brzydkich i grubych. Cecha wspólna: wyróżnić się. Błysnąć dziwnym, szokującym, niezwykłym. O starym, nieładnym i niemodnym słowie „elegancja” proszę zapomnieć.

Listę otwiera Timothée Chalamet, francuski aktor, znany ostatnio głównie z tego, że na festiwalu w Wenecji wystąpił w spodniach, a do nich w górę z odkrytymi plecami, przypominającej damską suknię balową. Ten śmiały krok zapewnił mu globalną oglądalność oraz podziw. Wśród nominowanych mamy piosenkarkę Lizzo,



która odznacza się imponującym głosem i jeszcze bardziej imponującą rozmiarowo postacią. Zabraknąć nie może Rihanny, która lubi minimalizować liczbę użytych ubrań, skutkiem czego równie znana jest z urody ciała, jak z głosu. Do dziewięćdziesiątki wybrańców dorzucono królową Elżbietę II oraz księżniczkę Annę. Nie wiem, czym zdołały się zasłużyć tym, dla których idolami są Harry Styles oraz Serena Williams. Podejrzewam, że znaleźli się tam dla bek: „Pokażemy konserwatywne pańce” – pomyśleli progresywni redaktorzy.

Z całego materiału gazety najbardziej podobały mi się komentarze czytelników. Jest ich 206. Oto niektóre: „Cieszę się, że nie stać mnie na to, żeby być modnym”, „Czy to przewodnik o tym, jak się nie ubierać?”, „Żałosne, ale tak świat się kręci”, „Proszę zatrzymać świat, chcę wysiąść”, „Trzeba wiedzieć, że parodia mody jest nie do odróżnienia od aktualnego jej stanu”, „To, co wybraliście, jest po prostu ohydne i przypomina postacie z komiksu, a nie modę”, „Dzięki, uśmiełem się”, „Ponury komentarz do stanu społeczeństwa”, „To chyba żart?”, „Styl to nie jest zwracanie uwagi na siebie”.

Mówię od siebie: obawiam się, że chyba jest. Media społecznościowe wykonały tu dobrą robotę. ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Czyszczenie magazynów

Niedawno odbyła się konferencja ministra zdrowia, na której z dumą ogłoszono, że polski rząd sprowadził 504 tys. szczepionek z przeznaczeniem dla dzieci od szóstego miesiąca życia do lat czterech. Nie rozwodzono się nad sensownością tego działania, rzecznik resortu odniósł się tu tylko do jednego aspektu: zapewnienia, że szczepionki nie szkodzą. Nic o tym, po co to komu. W tym zdarzeniu można odkryć wiele nieoczekiwanych warstw.

Po pierwsze, skoro chodzi o to, że szczepionki nie są szkodliwe, i to ma być powód ich aplikowania, to są tańsze warianty. Można dać np. witaminę C albo... buziaka. Na pewno nie zaszkodzi, a nawet – w świetle badań – pomoże lepiej niż szczepionka.

Po drugie – po co? Dzieci w tym wieku nieczęsto zakażają się COVID-19, jeszcze rzadziej chorują na niego (ważne rozgraniczenie, o którym zapomnieliśmy: zakażony to nie automatycznie chory), a jeszcze rzadziej przechodzą go ciężko. Bilans zysków ze szczepienia w stosunku do ryzyka jest ujemny.

Teraz ryzyka. Od czasu rozpoczęcia akcji szczepiennej notujemy gwałtowny wzrost zachorowań. Na różne choroby. Widać to szczególnie u dzieci, gdzie wzrosty są ponad 1000-procentowe. Trudno bowiem byłoby znaleźć przypadki zakrzepic czy zapalenia mięśnia sercowego u dzieci, a więc tu wzrosty są gigantyczne. To jeszcze bardziej pogarsza ułamek stosunku korzyści do ryzyka. Kiedy liczebnik jest mały (kogo mamy

chronić szczepieniami, skoro w tej grupie praktycznie nikt nie choruje?), to mianownik rośnie, gdyż lawinowo u takich dzieciaków rosną niepożądane odczyny poszczepienne.

Propaganda mówiła i mówi, że robi się to dlatego, żeby ocalić innych. Tak, powiadają, dzieciaki nie chorują, ale się zakażają i przenoszą (bezkarnie) swój COVID na babcię, która przyjdzie odebrać wnuczkę ze żłobka. Robiliśmy to dla babć. Ale ze dwa miesiące temu przedstawicielka producenta szczepionek sama zeznała na komisji w Brukseli, że producenci nigdy nie badali, czy szczepionki powstrzymują transmisję wirusa, a więc tego nie gwarantowali. A zatem ten „babciowy” argument zasadności szczepień odpada.

W końcu argument ostateczny. Chodzi o niego – spodarność. Obecnie mamy w magazynach ponad 25 mln niewykorzystanych szczepionek za ponad 3 mld zł. Nie wiadomo, ile się poza tym przeterminowało, a ile sprzedaliśmy, a raczej rozdaliśmy. Jednocześnie niedawno minister się żalił, że więcej tego towaru nie odbierze (choć to on zamówił), bo nie ma co z nim zrobić. Teraz mówi tak samo cała Unia, która poprzez SMS-y pani Ursuli, szefowej Komisji Europejskiej, zamawiała po 10 sztuk (dwudawkowej) szczepionki na głowę. I teraz od tak obsobaczanego kontrahenta znowu kupujemy nową szczepionkę, która różni się od poprzedniej tym, że pierwsze warianty dawek sprawdzono na całej ludzkości, tę zaś wersję – dla dzieci – na ośmiu myszach. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Kolędy i zobowiązanie

Choć nie uważam się za fana Marka Raczkowskiego, to wiem, że niektóre jego rysunki celniej opisują świat niż niejedna sążnista analiza. Tym razem satyryk wziął na warsztat ogłoszenie apostacji przez Dawida Podsiadłę. „Przychodzi piosenkarz do księdza i prosi o wypisanie go z Kościoła. Proboszcz mówi: »W porządku, ale proszę oddać dokumenty chrztu, świadectwa z lekcji religii... i wszystkie prezenty od św. Mikołaja«”.

Nawet najzagorzalsi apostaci, chcąc nie chcąc, wyrastali w tradycji, którą kształtowały kościelne święta i rytuały chrześcijańskie. Szczególnym fenomenem jest świętowanie Bożego Narodzenia.

Żaden inny katolicki naród nie stworzył takiego bogactwa bożonarodzeniowych obrzędów: szopek, kolęd, pastorałek, kantyczek. Wystawianie jasełek, chodzenie z turoniem, z gwiazdą, szczodraki, zapusty i wiele innych zwyczajów rozwijały się we wszystkich regionach Rzeczypospolitej.

Kolędy, kantyczki i polskie pastorałki są fenomenem dziedzictwa kultury niematerialnej. Odegrały ważną wspólnotową rolę. Szczególnie w okresie rozbiorów podnosiły na duchu, wzmacniały poczucie narodowej przynależności i tożsamości. W okresie, gdy Rzeczpospolita została wymazana z map świata i utraciła niepodległość, polskość przetrwała w kulturze. Nie tylko w dziełach kultury wysokiej, w twór-

czości Chopina, Szymanowskiego, Mickiewicza, Matejki czy Wyspiańskiego, lecz także w rodzinnych, domowych zwyczajach. I właśnie kolędy i pastorałki najpełniej oddają narodowego ducha, wybierając formę ludowych i dworskich tańców. W tekstach – raz pełnych radości, innym razem z nutą nostalgii, czułości i skargi – opowiadają o cudzie Bożego wcielenia, wpisując go w polskie dzieje, w polski pejzaż i narodowy obyczaj. W zwrotkach kolęd i pastorałek, niejednokrotnie tworzonych okazjonalnie, odnajdujemy swojskie sceny albo ślady wydarzeń historycznych lub komentarz do sytuacji, w której znalazła się Ojczyzna.

Popularną praktyką było dopisywanie do istniejących pastorałek lub kolęd wersów zawierających odniesienia do aktualnych ważnych wydarzeń. Było tak w okresie zaborów, pod niemiecką i sowiecką okupacją, a także w latach Solidarności i stanu wojennego.

Aby świąteczna tradycja nie stała się wydmuszką, tę piękną i bogatą zewnętrzną obudowę musimy zawiesić na silnej konstrukcji wiary. Dobra Nowina o Bogu, który nas kocha, który z miłości do każdego z nas przychodzi, by nas podnosić, wyzwalać z ograniczeń, lęków, słabości, ma ogromną Moc. Mamy znów szansę odnaleźć w sobie prostotę i radość pastuszków, czystość aniołów i pokorę trzech mędrców – monarchów, którzy w odnalezionym małym Jezusie uznają jedynego Pana i Zbawcę. ©©

SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Toby pospadali...

Jeszcze przed tradycyjnym łamaniem się opłatkiem w Sejmie odbyło się tradycyjne odwołanie Zbigniewa Ziobry. Stop. Ktoś próbował policzyć, który to już raz, ale ponieważ nikomu się nie udało, przestano liczyć. Stop. Zespół etnografów pracuje nad wyodrębnieniem cech immanentnych owego obyczaju. Stop. Jest więc wstępne decybelowanie, że ZZ to szkodnik i nikt go nie kocha. Stop. Następnie wszyscy liczą głosy, a licząc, targują i deliberują, co się opłaca i co można ugrać ewentualnie. Stop. Przed finiszem zawsze ktoś z PiS wychodzi na mównicę i broni ZZ z Solidarnej Polski, ale (tu ważne) nie uśmiecha się, tego obyczaj surowo zakazuje. Stop. Wreszcie głosowanie i można się rozjechać. Stop. Do następnego. Stop.

Z okazji kolejnej rocznicy stanu wojennego pokazywano jeden z ważniejszych filmów dotyczących naszej ustrojowej transformacji. Stop. Podpity Adam Michnik rzuca się w ramiona zbrodniarza Wojciecha Jaruzelskiego w jego willi, entuzjastycznie świergoląc: „Ja musiałem to pokazać jednak, że ktoś ciebie kocha”. Stop. Film został nakręcony w nocy z 12 na 13 grudnia. Stop. Dziewiętnaście lat po tym, jak ZOMO-wcy zabili górników w kopalni „Wujek”. Stop. Prawdziwa miłość, mimo zawirowań broni partnera do grobowej deski. Stop. Czasem taką miłość nazywają kryszą. Stop.

Ciekawostka dotycząca meblowania. Stop. Rzecznik

praw obywatelskich Marcin Wiącek odwołał z funkcji zastępcy RPO Hannę Machińską, którą niejako odziedziczył po byłym Adamie Bodnarze. Stop. Adam Bodnar, jeśli ktoś nie pamięta, znany jest z przemówienia, którym uraczył Niemców. Stop. „Polska kultura prawna i przemiany po 1989 r. zostały zainspirowane i były wspierane przez niemiecką myśl prawniczą. Ale to powoduje – po stronie mentora – także szczególną odpowiedzialność. Jak w powieści z »Małego Księcia«. Jeśli oswoi się zwierzątko, to nie można go później porzucić” – rzekł wówczas Bodnar, odbierając nagrodę Federalnego Związku Towarzystw Niemiecko-Polskich. Stop. Częstka polskich prawników dystansowała się jednak od niemieckiej myśli prawniczej błyszczącej choćby w ustawach norymberskich. Stop. Części nie podobało się, że Bodnar uważa Polaków za oswojone przez Niemców zwierzątka, które zostają przez panów opuszczone. Stop. Nieważne, to przeszłość. Postęp protestuje teraz przeciw odwoływaniu podwładnej Bodnara przez nowego RPO. Stop. Dobieranie sobie pracowników jest takie nieludzkie. Stop.

Tancerka i aktorka Agnieszka Kaczorowska wyznała, że nie ochrzciła dzieci, bo to zamyka czakry. Stop. Powiedziała, że jest to uduchowione. Stop. Nie neguję, dodam jedynie, że Ziemia jest płaska, bo gdyby była kulista, ludzie by pospadali. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Wigilia nieobojętnych

Małgośka, mówią mi, święta są przereklamowane. Ot, typowe żale wielkomiejskiego homo sapiens, któremu się zdaje, że człowiek tylko wtedy jest rozumny, kiedy wątpi i marudzi. Jeśli nie zadowala go obecność Boga w lichym żłóbku, to sporo się musi nabiegać za konsumentką satysfakcją. Niektórzy chyba wciąż mają w sobie melancholię za owym cytrusem, który przypływał do Polski z bratniej Kuby, lub jakimś innym darem, który znaleźć można było w dzieciństwie tylko pod choinką. Bieda komunizmu sprawiała, że Wigilia była dla wielu nocą cudów. Od kiedy pomarańcze się przejadły, marzenia są w zasięgu karty kredytowej, a elity przekonały lud, że Kościół jest wyłęgarnią pederastów, święta dla wielu straciły urok. Może je uratować już tylko „Kevin sam w domu”. Jak boleśnie ostrzegał Herbert: „nie powinien przysyłać syna / lepiej było królować / w barokowym pałacu z marmurowych chmur”. Monarchowie i tyrani umieją wygzekkować pokłon, nawet gdy są tak groteskowi jak Putin.

Bardziej od infantylnych ateistów mierzi mnie jednak część polskich katolików. Owszem, po raz tysięczny wysłuchają nabożnie Ewangelii o Świętej Rodzinie, dla której „nie było miejsca w gospodzie”, ale nie skojarzą, że od tamtej pory obowiązuje nas wrażliwość wobec każdej, autentycznej relacji o odrzuceniu

i niezawinionym cierpieniu. Jeśli nie można realnie pomóc, to przynajmniej trzeba umieć wysłuchać, zamiast wciąż obnosić tylko własne rany z przeszłości. Los Ukraińców już obojętnie, bo nasze polskie sprawy są „mojsze i bardziej”. Bardzo lubimy wyrzucać światu, że nie pomógł zatrzymać fabryk śmierci i wagonów pędzących na Sybir, ale sami szybko nudzimy się relacjami, jeśli nie dotyczą naszych krzywd. Jeśli jestem katolikiem, to granice mojej ojczyzny są większe od granic mego państwa, czyż nie? Historia odsłania czasem epizody, w których widać, że pobożność zakłada klapki na oczy. W Wigilię 1734 r. wybuchł pożar w królewskim Alcazar w Madrycie, pochłaniając 500 cennych płócien i inkunabułów. Mnisi z pobliskiego klasztoru San Gil dzwoniли w dzwony jak szaleni, wzywając pomocy, ale ludzie byli pewni, że to bicie na pasterkę. W rozmodlonym mieście ogarniętym śpiewem trudniej było zorganizować ratunek. Pospiesznie wycinano obrazy z ram i wyrzucano z okien, tak ocalały m.in. „Las Meninas” Velázqueza i wiele innych oglądanych dziś w Muzeum Prado.

Nie uda mi się zapomnieć o poźdździe na Ukrainie podczas Wigilii w rodzinnym domu ledwie 50 km od granicy. I mam nadzieję, że wszystkim ludziom dobrej woli również... ©©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zasięgi

Z podwójną dawką wspomaga funkcjonowanie... kiedy ty i twoi bliscy są szczęśliwi... tabletki czyszczą... przy każdym spotkaniu... o odporność nie muszą się martwić... w dwa dni i zwrot pieniędzy... specjalna formuła pozwala uzyskać sprawność mięśni odpowiedzialnych za trzymanie moczu... ja pani nie przerywałem... dla prawidłowego funkcjonowania niezbędne jest... satysfakcja gwarantowana... trzy razy bardziej skuteczna... wyjątkowy smak, pełnia natury... zagraża twojemu życiu lub zdrowiu... ja panu nie przerywałem... chodź i sam zobacz... od ziarenka do ziarenka doskonałość... już są! Twoje zaślepki uniwersalne cudownie relaksujące... pełen niespodzianek świat tylko wtedy, gdy... mówimy o tym, co ważne... tu liczą się drobne gesty, które redukują stres... świętuj z nami... wierzymy w twój plan za jedyne dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć... nie uwierzysz, jak pasuje do pielęgnacji skóry... ja panu nie przerywałem... w ro-

Z takim przekazem mamy, chcąc nie chcąc, do czynienia w życiu codziennym, oglądając telewizję. Odbiorcą tych wszystkich komunikatów jest wielomilionowa widownia. Miliony ludzi na co dzień obcuja więc ze słowną sieczką, która ma ich przekonać, że ktoś chce im zrobić lepiej, bo jest im nie najlepiej poprzez zakup tego czy tamtego. Komunikaty te mają naprawdę imponujące zasięgi. Należało by zbadać, jaki wpływ na ludzki organizm mają te komunikaty.

Dziesiątki, a może setki tysięcy odbiorców zauważyły już, przelotną, mam nadzieję, bo całkiem beztreściową, wypowiedź panny aktywistki, która natarła zalewem słów na prezydenta Andrzeja Dudę w Szarm el-Szejk. Chodziło jej, zdaje się, o klimat, prawda? Ale czy on się ociepla czy oziębia, i dlaczego, a także, co ma z tym wspólnego prezydent Polski w Egipcie, trudno było zrozumieć, a tym bardziej zapamiętać. Być może to skutek tego, że aktywistka rzuciła już

dało się wypromować, w jeszcze większych nakładach. Dzieła trudniejsze mają mniejsze szanse, chyba że opatrzone są chwytliwym tytułem. Może więc „Między Chrystusem i Antychrystem” ks. Roberta Skrzypczaka przykuje oczy większej liczby czytelników. Oby tak się stało, bo to rzecz znakomita.

Z książki ks. Skrzypczaka można się dowiedzieć o prof. Romano Amerio (1905–1992), szwajcarsko-włoskim filozofie i teologu z Lugano, którego dzieło „Iota unum [Jota w jotę – przyp. W.R.]” jest najważniejszą bodaj syntezą współczesnej teologii katolickiej, wskazującą jej drogi i bezdroża poprzez niezwykle wnikliwe odniesienie do Ewangelii. Kto o nim słyszał, niech podniesie rękę.

Dobrze, tekst musi być krótki, bo współczesny czytelnik szybko się nuży. Otóż Romano Amerio przeanalizował katolickie „Credo”. Wedle „Katechizmu Kościoła katolickiego na początku jest Bóg Ojciec, który jest Słowem. Z niego rodzi się Syn, z Ojca i Syna zaś rodzi się Duch Święty, uważany za Rozum, ale naprawdę będący Miłością. Bo naprawdę na początku było Słowo, czyli prawda o rzeczywistości. Miłość jest wtórna, bo trudno kochać nierzeczywistość. Miłość bez rozumu prowadzi nie tylko Kościół, lecz także współczesny świat na manowce. Miłość nie może występować przeciw rozumowi. Rozum przeciw miłości też nie. Ot i cały problem.

W stosunku do zaleceń smarowania się właściwymi kremami zasięg tego komunikatu jest zdecydowanie mniejszy, ale szerzenie go w świecie jest ważne, bo może uratować równowagę duchową niejednego. ©

Z książki ks. Skrzypczaka można się dowiedzieć o prof. Romano Amerio, szwajcarsko-włoskim teologu, którego dzieło „Iota unum [Jota w jotę – przyp. W.R.]” jest najważniejszą bodaj syntezą współczesnej teologii katolickiej

dzinnej atmosferze pokazuje to, co ponad standardy... zasługujesz na więcej... wkład chłonny chroni przed wilgocią... wszyscy marzą o prezentach... zyskaj nawet tyśiąc dwieście złotych... nadchodzi lepsze... rozpuszczanie zwiększa bezpieczeństwo... zawsze miej pod ręką duże opakowanie... to najlepszy sposób na... każdy lek niewłaściwie stosowany... rozpyływa się w ustach...”

szkołę. W YouTube zasięgi, które uzyskała, były także niesamowite. Ale co zostało z jej wypowiedzi?

Na przeciwnym biegunie zasięgów jest książka. Sensacyjne bestsellery mają się jeszcze nieźle. Jeśli potrzymać je dłużej na czołówkach stron reklamujących wydawnictwa lub w witrynach księgarskich, to sprzedaje się ich kilkadziesiąt tysięcy lub, jeśli nazwisko autora



Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJARDŚWIAT.SIŁSKI

Twitter zwolnił 80 proc. pracowników i działa lepiej niż wtedy, gdy byli zatrudnieni. Serwery nie wysiadły, nie brakuje inżynierów do ich obsługi, wszystko działa, a przecież ruch na maszynach jest teraz (po zniesieniu cenzury) dużo większy, niż był. I liczba użytkowników stale rośnie. I przywracane są do życia kolejne konta wcześniej zbanowane. Czyli roboty jest o wiele więcej, pracowników o wiele mniej, a wszystko działa lepiej.

Skoro wywalenie 80 proc. pracowników spowodowało wzrost wydajności przedsiębiorstwa, to oznacza to nie tylko, że ci pracownicy byli do niczego niepotrzebni, lecz także dodatkowo znaczy, że oni spowalniaли pracę firmy – ich obecność powodowała, że system działał gorzej niż bez nich.

Co ci ludzie robili? Część zajmowała się cenzurą i tych wywalono, powiedzmy... dyscyplinarnie – za działanie na szkodę firmy i użytkowników Twittera. Reszta nie robiła nic. Dowody znajdują się na innych platformach społecznościowych. Można sobie pooglądać ważnych dyrektorów i kierowników Twittera, jak relacjonują swój typowy dzień pracy z czasów, zanim firmę kupił Elon Musk. Na Instagramie, na TikToku i na wszystkich innych platformach pokazywali swoje puste życie w firmie, do której się przychodzi, pije darmo doskonałą kawę w kilkunastu wariantach, idzie się na firmową siłownię lub do pokoiku medytacyjnego odpocząć i wyłuzować, a potem na firmowy basen, firmowy lunch, na firmowy dach poopałać, na firmową biblikę z innymi pracownikami. Cała masa relacji tego typu i ANI JEDNEGO SŁOWA O PRACY. Nic na temat tego, jak się PRACUJE.

To typowe dla grupy społecznej określanej z grubsza jako milleniali. Oni nie potrafią pracować, bo nikt ich tego nie nauczył i nikt nie wymaga. Obijają się doskonale i wykonują ruchy pozorne. Stanowią masę obciążeniową każdej korporacji oraz balast w każdej innej firmie. Są wyjątki, i ja zatrudniam takich, ale to... wyjątki – diamenty wygrzebane ze zgliszcz po etyce pracy.

Podkreślam: to nie ich wina, że nie potrafią pracować. Nie ich wina, ale ich cecha. Nikt nie wymaga niczego w podstawówce. Nikt nie egzekwuje ani nawet nie sprawdza wiedzy w szkołach średnich, bo testy nie sprawdzają wiedzy wcale. Magisterium jest dzisiaj nic niewarte, bo magister niczego nie potrafi poza tym, że się obijał i zaliczał przez kilka lat. Uczelniom zależy, by mieć duży przemiał, bo wtedy zarabiają. Wypuszczanie dobrych fachowców się nie opłaca, bo wymagałoby dużego odsiewu już na egzaminach wstępnych. Profesorowie są naciskani, że mają przepuszczać każdego, kogo tylko się da jako przepuszczać, bo gdyby uczciwie uwalili 80 proc. studentów (czyli tyłu, ilu uwalić powinni za brak wiedzy i umiejętności), to uczelnia zawałiłaby się finansowo.

Testy są doskonałym usprawnieniem. Bo test przecież jest „obiektywny i zatwierdzony przez ministerstwo”. Na egzaminie ustnym mógłbyś studenta docisnąć, gdy w jakimś temacie się ślizga i podejrzewasz, że nie umie. A przecież powinien umieć WSZYSTKO, czego był uczony, bo inżynier nie może umieć tylko kawałka, podobnie lekarz. Od tego zależy życie ludzkie. Magistrowie po-

tem mogą sobie robić specjalizacje, czyli POSZERZAĆ wiedzę w wybranym zakresie, ale na uczelni mają umieć wszystko na 100 proc., a nie tylko kawałek. Chcesz iść do lekarza, który zaliczał testy na 85 proc.? A co jeśli twoja choroba to akurat to 15 proc., którego on nie umiał? Zapisze ci jakieś pigułki i otruje, ale testy zaliczył, więc ma uprawnienia.

Test nie pozwala sprawdzić wiedzy.

Ktoś uważa inaczej – że testy sprawdzają wiedzę? Podebatujmy:

Gdybym na teście zaznaczył bezmyślnie wszystkie odpowiedzi „A”, wówczas mam z definicji 25 proc. testu zaliczone poprawnie. To za mało, żeby zdać? No ale wystarczy, by zgodnie z prawem wpisać sobie do CV, że dowolny język świata zaliczam na 25 proc. To za mało, by rozmawiać, ale jednak trochę zaliczam. I gdyby mnie w korporacji pytali, czy znam niemiecki (którego nie znam), mam prawo odpowiedzieć, że nawet najtrudniejsze testy zaliczam na jedną czwartą.

Musk wywalił z roboty 80 proc. pracowników i firma działa lepiej, a do tego koszty osobowe spadły, czyli wyniki finansowe poprawiono znacząco. Moim zdaniem ten algorytm 80/20 da się stosować z pozytywnym skutkiem w każdej korporacji, a przede wszystkim w administracji państwowej.

Podebatujmy, jeśli ktoś chce. Stawiam tezę, że państwo polskie działałoby sprawniej, gdyby zwolnił 80 proc. pracowników administracji, ZUS, skarbowki. Pójdźmy wyżej – Sejm działałby lepiej, gdyby posłów było 100, a senatorów

25 (w USA żyje 330 mln ludzi i wystarcza im 100 senatorów).

Jak zlikwidować 80 proc. darmozjadów w administracji? Czy zwalniać po trochu w każdej instytucji? Proponuję likwidować całe niepotrzebne urzędy. 80 proc. ministerstw i instytucji podobnej rangi jest obywatelom do niczego niepotrzebne. OBYWATELOM – bo sami sobie to oni są bardzo potrzebni, ale nie nam.

Przykład: Krajowa Rada Radiofonii i TV jest niepotrzebna, a nawet szkodliwa, bo zajmuje się cenzurowaniem. Częstotliwości państwo powinno dzierżawić temu, kto więcej zapłaci, i tym może się zająć małe biuro w Ministerstwie Skarbu. Ktoś wydzierżawił i potem już nikomu nic do tego, co on na tej częstotliwości nadaje.

Większość ministerstw w Polsce jest niepotrzebna obywatelom, a nawet gorzej – przeszkadza żyć.

Zostawiłbym:

Ministerstwo Wojny, Sprawiedliwości, Skarbu (zasoby stanowiące majątek państwa: muzea, parki narodowe, rezerwa złota), Finansów, Spraw Zagranicznych, Spraw Wewnętrznych (w tym infrastruktura strategiczna typu sieć autostrad). Czyli zostaje sześć zamiast obecnych 16.

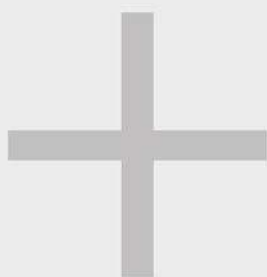
Reszta do kasacji, bo gospodarką zajmują się przedsiębiorcy i ministerstwo niepotrzebne (rolnicy to też przedsiębiorcy...), edukacją zajmują się samodzielnie szkoły i wyższe uczelnie, i ministerstwo niepotrzebne, zdrowiem zajmują się prywatne szpitale, a państwo jedynie wymusza, by każdy obywatel się ubezpieczył w dowolnie wybranej ubezpieczalni, tak samo jak w przypadku OC na samochód itd. Państwo nie powinno się zajmować ani sportem, ani turystyką, ani klimatem (nad którym przecież nie mamy żadnej kontroli), ani rodziną, ani Kościołami. © ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~1197~~ zł

**W PREZENCIE
KSIĄŻKA**

**SŁAWOMIR KOPER:
„ZAPOMNIANE KRESY. OSTATNIE
POLSKIE LATA”**

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

367,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 830 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 27b2502899

Blue Angels

 **PROMASTER**



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW